

Anna Kłodzińska:

ZŁOTA BRANSOLETA

WIELKI SEN 2010

Redaktor serii Grzegorz CIELECKI

Projekt okładki i logo serii Rafał BARTLET

Skład i łamanie Anna LEWANDOWSKA

Korekta

Aleksandra BIŁY

ISBN 978-83-62391-12-7

Wydawnictwo WIELKI SEN

Al. Jana Pawła II 65/90, 01-038 Warszawa

tel. 0-502-322-705

www.klubmord.com, prezesik13@wp.pl

ROZDZIAŁ I

Było już wpół do siódmej, a do dużego sklepu komisowego na Nowym Świecie wciąż jeszcze napływali klienci. Tłoczyli się przy ladzie, pochłaniali wzrokiem futra, telewizory, kolorowe gąbki i krawaty, pytali o cenę, czasem próbowali się targować i - zmiażdżeni wyniosłym uśmieżkiem ekspedientów (tu nie bazar, proszę pana!) - miękli, wyciągając różowe setki z portfela. Wielu jednak nie kupowało niczego. Przychodzili po prostu popatrzeć. Chłopcy w wieku szkolnym wpatrywali się roziskrzonymi oczami w nowiutkie watermany i parkery, połyskujące złotą stalówką. Kobiety oburzały się na wysokie ceny lub szeptały coś do siebie, chłonąc wzrokiem różowe słoiki z kremem Pondsa czy Elisabeth Arden, po sto kilkadziesiąt złotych za słoik.

- Taki sam moja kosmetyczka sprzeda pani za dwadzieścia złotych - powiedziała przysadzista blondynka do stojącej obok szczupłej pani w kożuszk. - Na czystym smalcu i żółtkach. Tylko ona nie nazywa się Elisabeth Arden, a po prostu Kowalska. I

tyle! - wzruszyła ramionami.

Szczupła pani westchnęła cicho. Któż by to ze zwykłego smalcu potrafił zrobić takie różowe, pachnące чудо, po którym skóra na twarzy jak aksamit. Nie uwierzyła blondynce.

Kierownik sklepu, Andrzej Zadrożny, spojrział wymownie na zegarek, a potem na wysokiego, przystojnego ekspedienta w dziale futer.

- Zaraz siódma - mruknął. - Panie Jurku, zamykamy! Wywalaj pan te baby. - Ostatnie zdanie wypowiedział samymi wargami, ścisząc głos do szeptu.

Ekspedient Jerzy Cichoń uśmiechnął się sennie do niezdecydowanej klientki, która zastygła w podziw nad brązowym puszystym zwojem nylonowych „misiów”.

5

- Dziewięć tysięcy, proszę pani - rzucił od niechcienia. I tak nie kupisz, po co tracimy czas - pomyślał, wpatrując się w nią wąskimi zielonymi oczami.

Klientka zaczerwieniła się lekko i odsunęła „misie” z zakłopotaniem.

- Nie podobają mi się - usiłowała zachować równowagę. - Przyjdę za jakiś czas, może będzie pan miał coś lepszego.

- Proszę uprzejmie! - zawiesił futro na ramiączku. Był zawsze bez zarzutu wobec klientów, lecz w duchu lekcewazył ich straszliwie, o ile nie mieli pieniędzy na słone komisowe ceny. Imponowali mu tylko ci nieliczni, którzy przychodzili z grubo wypchanym portfelem, przymierzali niedbale i płacili bez zmrużenia oka. Dla tych przeznaczał specjalną kategorię uśmiechów i ukłonów. Cichoń bowiem cenił w życiu tylko pieniądze.

Klientka odeszła. Zadrożny zakreślił się w miejscu, wyjrzał na ulicę, chwilę stał zamyślony na środku sklepu, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do działu futer. Ekspedient zasunął oszklone drzwi długiej szafy i zbliżył się do niego jakby od niechcienia. Zetknęli się ramionami.

- Ma pan coś? - szepnął kierownik chowając twarz w jasne popielice.

- Za naszyjnik... - odparł Cichoń pochylając głowę nad srebrnym lisem.

- Ile?

- Dwanaście tysięcy. Idiotka, przyniosła same pięćdziesiątki. Wyglądam, jakby mi

spuchło lewe ramię.

- Tsss... niedobrze! - Zadrożny skrzywił się. - Niech pan chowa równomiernie w obu rękawach.

- Boi się pan Zawadzkiego?

- Cholera go wie! Od pewnego czasu ma niedobre oczy, kiedy na nas patrzy. Może się czegoś domyśla...

- A pan ma coś?

- Sześć pięćsetek. Broszka i te fidrygałki złożone. Stara Szlemańska. Baba ma forsy jak lodu.

Ekspedient wydał ładne usta.

- Na co jej biżuteria? Próchno, nad grobem stoi, zębów

nie ma, tylko mamle tymi szczękami. Mogłaby sobie choć wstawić nylonowe.

- Cicho pan bądź! To nasza najlepsza klientka. Broszka miała fałszywy kamień...

Obaj parsknęli śmiechem. Zadrożny wyprostował się i odwrócił. Za nim stał drugi ekspedient, Zawadzki.

- Chciałem zapytać, panie kierowniku, czy mógłbym jutro przyjść trochę później - powiedział patrząc gdzieś w bok. - Żona mi zachorowała i mam kłopot z dzieckiem. Zadrożny odetchnął z ulgą.

- A dobrze - odparł. - To dlatego chodzi pan ostatnio taki niewyraźny? Trzeba mi było od razu powiedzieć, zwolniłbym pana na dzień czy dwa. Czeka pan, właściwie...

-spojrzał pytająco na Jerzego. Ten skinął głową. - Może pan nawet jutro w ogóle nie przyjść. Damy sobie jakoś radę. No, leć pan do domu!

Był teraz życzliwy, chętny do udzielania pomocy, bo znalazł powód, dla którego tamten wzbudzał w nim ostatnio niepokój.

- Dziękuję panu. - Zawadzki pożegnał się i wyszedł do małego pokoiku za sklepem, gdzie chowali płaszcze i grzali sobie herbatę na elektrycznej maszynie. Przy umywalni młoda kasjerka myła ręce, przecierając pumeksem palce zaplamione atramentem. Kasę miała już przeliczoną, spieszyło jej się do kina.

- Panie Dzwoniec! - krzyknęła wychylając głowę do sklepu. - Gdzie pan chowa czyste ręczniki? W tę brudną szmatę nie można już rąk wycierać.

Posługacz sklepowy, Jan Dzwoniec, odstawił miotłę i wszedł do pokoiku. Był nieduży, chudy i na lewym oku miał czarną opaskę, wymowny dowód swego inwalidztwa.

- Zaraz się zrobi - szepnął otwierając małą szafkę, w której przechowywał różne utensylia gospodarcze. - Proszę, jest czysty ręcznik. A tamten zabiorę, to się wypierze.

- Idzie pan do domu? - spytała kasjerka Zawadzkiego. Nie odpowiedział. Szybkim, chciwym wzrokiem rozglądał się po pokoiku, jakby go pierwszy raz widział. Zajrzał

6

7

do szafki, potem za wieszaki i stuknął parokrotnie zgiętym palcem w ścianę.

- Czego pan szuka? - zdziwiła się. - Wczorajszego dnia? - zachichotała.

Odburknął coś i przyjrzał jej się podejrzliwie. Potem wpakował ręce w kieszenie płaszcza i nie żegnając się wyszedł na ulicę.

- Chamidło... - wzruszyła ramionami, trochę zła. Chciała, żeby ją wszyscy lubili, miała dopiero dwadzieścia cztery lata i świat wydawał jej się wciąż jeszcze ogromnie sympatyczny.

Powiesiła ręcznik i wróciła do sklepu. Zdała kasę kierownikowi.

- Zanieś pan za mnie do banku? - przymilała się, niespokojna, że odmówi. - Tak się boję zawsze, że mnie kto napadnie!

- Zaniosę - odparł Zadrożny niecierpliwie. - Niech już pani idzie, bo on pewnie czeka przed kinem.

- O, zaraz jakiś „on”! - oburzyła się wdziwając szybko palto (a nuż się rozmyśli?).

Chwyciła torebkę, krzyknęła: - Do widzenia! - i już jej nie było.

- Taaak... - Zadrożny rozejrzał się po sklepie i zamknął drzwi wejściowe. Na ulicy posługacz powoli, z wysiłkiem, odkręcał żelazną kratę.

- Chodźmy! - powiedział przystojny ekspedient gasząc światło. Przeszli do pokoiku. - Szybko, niech pan się śpieszy, póki Dzwoniec nie wróci.

- Ech, ta łajza... - Zadrożny wzruszył ramionami. - On nigdy niczego nie zauważy.

Pełno śmieci zostawia po kątach.

Wspólnie odsunęli małą szafkę. Za nią w ścianie widniały szare metalowe drzwiczki

wielkości dwóch dłoni. Wyglądały zupełnie tak, jakby za nimi znajdował się licznik elektryczny czy gazowy.

- Swoją drogą, piekielnie ryzykujemy! - mruknął Cichoń nasłuchując, czy posługacz nie wraca. - Tyle razy panu mówiłem, że lepiej byłoby trzymać to w domu albo gdzieś na mieście.

Zadrożny rzucił mu przelotne, drwiące spojrzenie. Do-skonale wiedział, o co tamtemu chodziło. „W domu”, to

8

znaczy u jednego z nich i dlaczegóżby nie u ekspedienta? Jakże łatwo potem upozorować kradzież czy nawet cały napad z włamaniem! Nie dowierzał swemu współnikowi. Właśnie tu, przy sklepie, było najpewniej, w tej skrytce, do której tylko Zadrożny miał kluczyk.

Otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. W długim, wąskim schowku poukładane były pudełeczka z pierścionkami, trochę obcej waluty, parę zegarków wysokiej jakości i gruby pakiet stu- i pięćdziesięciozłotówek. Oddzielnie, zawinięta w bibułkę, leżała szeroka złota bransoleta.

- Dawaj pan te dwanaście tysięcy! - Odebrał od ekspedienta pieniądze, przeliczył i wsunął do schowka, dodawszy to, co sam utargował. Potem wyjął z kieszeni dwa pudełeczka z pierścionkami, których nie udało mu się sprzedać. Jerzy dorzucił dwa zegarki.

- Potrzebuję forsy - szepnął oglądając się, bo skrzywienie ściąganej kraty nagle ustało.

- Jutro po zamknięciu sklepu - odparł Zadrożny, podnosząc się i otrzepując pył z kolan. - Zostaniemy niby na przegląd futer.

Po zamknięciu... Cichoń zagryzł wargi. Pieniądzy potrzebował najpóźniej na jutro rano.

Zasunęli szafkę. W tej samej chwili Dzwoniec wszedł do pokoiku.

- Już pan sprzątnął? - zapytał kierownik myjąc ręce.

- A już, panie kierowniku - cicho odpowiedział inwalida. Zadrożny spojrzał na niego z roztargnieniem. Zobaczył,

że Dzwoniec chodzi w podartych, rozklapanych buciorach, i pomyślał, że trzeba mu

będzie jednak dorzucić coś niecoś do tych sześciuset złotych pensji. Dorzucić, naturalnie, z własnej kieszeni. Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, które od pewnego czasu rozmawiało z nim tylko tonem głębokiego wyrzutu, wytarł ręce i nałożył płaszcz.

- Czy mógłby mi pan pożyczyć dwa tysiące złotych? - zapytał Cichoń. - Do jutra tylko... Przecież... - urwał znacząco.

- Niestety, nie mam przy sobie - odparł kierownik. - Zgapił się pan - syknął przez zęby. - Trzeba było przedtem...

-Az utargu sklepowego? - rzucił ekspedient z beczelną miną.

- Coś pan zwariował?! - oburzył się Zadrożny. - Przecież to wszystko muszę odnieść do banku. Siedzieć mam za pana czy co?

W oczach przystojnego ekspedienta zapalił się gniew. Przymknął na chwilę powieki. Gdy zdejmował płaszcz z wieszaka był już jednak spokojny i opanowany. Pożegnali się, po czym kierownik wraz z Dzwoncem, sapiąc i pomrukując, założyli ciężką sztabę, zamknęli kłódkę. Zadrożny schował do kieszeni klucze i postawiwszy kołnierz, bo wieczór był mroźny, szybkim krokiem poszedł w stronę Świętokrzyskiej. Dzwoniec mieszkał na Czerniakowie, więc rozstali się już przed sklepem.

*

Maria Zadrożna ciężko podniosła się z fotela. W kuchni na palniku gazowym gniewnie podskakiwała pokrywka od imbryka i kłęby pary wydobywały się wszystkimi możliwymi otworami.

- Nastawisz, a potem nie uważasz i woda kipi - powiedziała Maria do swej czternastoletniej córki. - Imbryk się przepali.

- Tato kupi nowy! - odrzuciła Joanna i roześmiała się. - Taki z gwizdkiem, zagraniczny. Tato mi wszystko kupi!

Zadrożny wyjrzał spoza numeru „Życia Warszawy”.

- Będzie wreszcie ta kolacja? - zapytał. - Jeść mi się chce. Czekam już godzinę.

- Czekasz najwyżej kwadrans. Nakrywaj, Joanno! -Maria pobrzękiwała w kuchni talerzami i nakładała na półmisek szynkę, baleron, ser emmenthaler i suchą „myśliwską”. Andrzej lubił jeść dużo i dobrze. Zawahała się, potem sięgnęła po

patelnię.

- Usmażę jajecznicę - powiedziała. - Joanno, dla ciebie też?

- Nie, mamusiu, dziękuję...

Uczennica siódmej klasy zaczynała już dbać o linię. Moda szkolna nakazywała obecnie nie jadać kolacji. Kola-

cja była przeżytkiem, wymysłem rodziców, bezsensownym „zapychaniem kałduna” - jak określił Krzysiek, którego połowa klasy uwielbiała za zieloną skórzaną wiatrówkę, a połowa za niezwykłą znajomość tajników jazzowych. Joanna jadła kolację, ze wstydem wyłamywała się spod okrutnej tyranii, ale z czegoś trzeba było, dla spokoju sumienia, zrezygnować. Na przykład z jajecznicy - od tego podobno się tyje, nie cierpiała jajek.

- Mogę nastawić coś dla siebie? - spytała ojca przekręcając gałkę radia na krótkie fale. Na przyzwalające mruknięcie błyskawicznie przesunęła strzałkę na którąś z radiostacji amerykańskich. Przerażliwie rozkrzyczała się trąbka.

- Joanno, zlituj się! - Maria zatkała uszy.

- Mamo, to przecież Armstrong... Wciąż ci mówię i mówię, a ty nic nie pamiętasz.

- Do końca życia nie rozróżnię tych twoich samb, mamb i rock and rollów - mruknęła Maria. - Zapamiętałam tylko, że jak komuś z orkiestry się odbija, wtedy jest mambo.

- Joannie się odbija? - znad gazety wyrzało niespokojne niebieskie oko. - Daj jej trochę sody.

Obie roześmiały się.

- Tato jak czyta, to jest nieprzytomny. Ale i tak rozpoznaje Armstronga i nie pomyli go z Ellingtonem czy Good-manem.

Gdy chodziło o jazz, Joanna była nieubłagana. Za punkt honoru postawiła sobie wyszkolić rodziców przynajmniej tak, aby orientowali się w najbardziej podstawowych sprawach jazzowych. Z ojcem szło jako tako; w rzeczywistości nauczył się po prostu głuchnąć, gdy wsadzał nos w gazetę, i zapytany o jakiś utwór czy nazwisko, odpowiadał na chybił trafił. Czasami nawet trafnie...

Z matką natomiast było o wiele gorzej. Wciąż jeszcze zatykała uszy albo wstrząsała się nerwowo. Kiedyś nawet, w przystępie rozpacz, wykręciła po cichu dwie lampy

w odbiorniku i przez parę dni rozkoszowała się błogą ciszą. Potem Joanna sprowadziła Krzyśka, który przywrócił radiu jego normalny wrzask.

10

11

Dzisiaj jednak Joanna miała respekt przed matką. Przydarzyły jej się w szkole różne nieprzyjemne rzeczy, które znalazły swój wyraz w dzienniczku. Należało więc politykować. Zrezygnowała z Armstronga i z pobłażliwym westchnieniem nastawiła Warszawę: „Z kraju i ze świata”.

- Wiesz, Marysiu - powiedział Zadrożny, nakładając ser na kawałek bułki paryskiej - jutro będę mógł ci dać pieniądze na tę belgijską froterkę z odkurzaczem.

- To świetnie. Dostałeś premię?

- Coś w tym rodzaju. Zresztą, co ci do tego?

Nie pytała więcej. Wierzyła mężowi bez zastrzeżeń, a on nie miał zwyczaju wtajemniczać jej w swój pokątny handel. Gdyby знаła bliżej obroty tego handlu i udział męża w zyskach, mogłaby się zdziwić, że dopiero teraz otrzyma pieniądze na od dawna oczekiwaną froterkę. Gdyby znała...

Zadrożny miał swoje wydatki, o których żona nie musiała wiedzieć. Uważał, że ta ilość pieniędzy, którą daje na dom (a nie było to mało), powinna w zupełności na wszystko wystarczyć.

Na zegarze ściennym w stołowym pokoju, gdzie sypiał Andrzej, wybiła dziesiąta.

- Joanno, spać! - powiedziała Maria. - I umyj zęby.

- Zaaraz... - przeciągnęła Joanna pochłaniając ostatnie kartki książki. Zawsze targowała się o późniejsze chodzenie spać; nerwowa i wrażliwa, najlepiej czuła się wieczorem i zdawało jej się, że nigdy nie zaśnie przed północą. Zasnęła zresztą niemal natychmiast.

- Nie zaraz, tylko już! — zaprotestowała Maria. — Co wieczór ta sama historia. Idź do łazienki! Ja też chcę się położyć.

W pokoju Marii, która spała z córką, dawno już zgasło światło, a Zadrożny wciąż przewracał się z boku na bok na miękkim tapczanie i nie mógł zasnąć. Pamięć przywodziła na myśl gniewny wzrok Cichonia, gdy odmówił mu pożyczki, a

opowiadanie Zawadzkiego o chorej żonie wydało mu się teraz blagą, jakimś podejrzanym wykretem.

Czy on w ogóle jest żonaty? - zastanowił się i aż usiadł z wrażenia. - Nigdy o tej żonie nic nie mówił. A jeżeli to kłamstwo, jeżeli podpatrzył i...

Zapalił nocną lampkę. Spojrzał na zegarek: było wpół do dwunastej. Spuścił nogi z tapczanu, drapał się i czochrał wzdychając z niepokojem. Zobaczył w wyobraźni Jerzego Cichonia, jak wraca - właśnie w tej chwili - do sklepu, jak otwiera kłódkę zapasowym kluczem (mógł go podrobić w okresie, kiedy Zadrożny miał gripę i Cichoń go zastępował), wchodzi do pokoiku, sięga do skrytki, wyjmuje pieniądze, biżuterię...

- Idiotyzm! - mruknął do siebie. - Zresztą, jeśli w tej chwili to robi, to i tak już za późno. Zanim przyjdę, ulotni się.

Strasznie mu się nie chciało wychodzić z ciepłego łóżka na mróz. Tak. Ale jeżeli Cichoń właśnie ubiera się, wkłada płaszcz, zamyka drzwi od mieszkania i...

- Boże drogi! - westchnął wsuwając boscie nogi w pantofle. Poczłapał do okna i odsunął brzeg firanki. W świetle latarni śnieg iskrzył się na chodniku i chrzęścił pod nogami nielicznych, zapóźnionych przechodniów.

Wstrząsnął nim dreszcz chłodu. Spojrzał z tęsknotą na rozrzuconą pościel. Przez drzwi usłyszał, jak Joanna poruszyła się na łóżku, mamrocząc coś przez sen. Joanna... Obiecał jej kupić futerko z nylonowych „misiów” i po prostu zapomniał. A w sklepie są właśnie takie śliczne, nieduże, paryskie „misie”. Znał klientkę, która przyniosła je w komis; zawsze miała najładniejsze rzeczy i zawsze francuskie.

Przyszło mu na myśl, że jeżeli Cichoń okradnie skrytkę, to on nie tylko nie kupi futerka ani nie da żonie na belgijską froterkę, ale zabraknie mu w tym miesiącu na utrzymanie domu. Maria dostała pieniądze na pierwsze dziesięć dni, a dziś był już siódmy. Przy dość wystawnym trybie życia, jaki prowadzili, pensja kierownika nie wystarczała nawet na pół miesiąca.

Tak czy owak, trzeba było iść. Ubierał się szybko, uważając, aby nie sprawiać hałasu. Maria miała lekki sen, a nie chciał się tłumaczyć.

Gdy wyszedł na ulicę, mróz błyskawicznie uszczypnął go w nos, przejął dreszczem i

wycisnął łązy z rozspanych oczu. Przyspieszył kroku. Nagle opanował go dziwny lęk.

12

13

Przed czym? Przed utratą pieniędzy czy też... A jeżeli Ci-choń tam będzie, to co wtedy? Poczł raptem, że boi się tego wysokiego, silnego ekspedienta. Nie miał przy sobie żadnej broni, nic, czym mógłby w razie czego...

Co za bzdury! - zachnął się. - Przecież to w gruncie rzeczy dobry chłopak i potrafi się z nim dogadać. Ostatecznie, możemy od razu podzielić zyski, nie czekając jutra.

Ostatecznie, można mu dać te dwie, no - trzy setki więcej. Młody jest, babiarz.

Znów przyspieszył kroku. Ale dziwne, niewytłumaczalne uczucie strachu nie chciało od niego odejść.

A jeżeli przyjdzie Zawadzki - myślał. - Co wtedy zrobić, jak się wytłumaczyć?

Wciągnąć go do spółki? Nie potrafi i zepsuje interes. Ale dlaczego, u licha, w ogóle ma ktoś przyjść? Skrytkę założyli z Cichoniem jeszcze w listopadzie, a teraz był styczeń. Tylko że jeszcze nigdy nie było w niej tyle pieniędzy, co dziś. Kto o tym wie? Tylko ja i Ci-choń - pomyślał, co go bynajmniej nie uspokoiło.

Dojrzał z daleka ciemne, okratowane okna sklepu. Ulica była pusta. Podszedł, dotknął palcami kraty i syknął cofając rękę. Zapiekło jak ogień. - Ty ośle! - mruknął. -Gołą ręką do metalu, w taki mróz.

Wszedł w podwórze. Skręcił w prawo i zamarł w bezruchu. Stał tak jakiś czas, z bijącym sercem, czując strugi potu oblewające mu kark i plecy.

Na ziemi leżała kłódka, a obok niej sztaba. W wąskiej szparze pod drzwiami małego pokoiku Zadrożny dojrzał nikłe, poruszające się światelko. - Latarka - pomyślał.

- Nawet nie zasłonił szpary, widać pewny swego. Ogarnęła go wściekłość. - Ach, piękny paniczyku! - zżuł w zębach grube przekleństwo. - Zaraz się rozprawimy.

Pieniądzy mu trzeba, nie mógł zaczekać do jutra... Kanalia! Dziwkarz!

Schylił się macając pod murem. Wygrzebał spod śniegu parę cegieł, wybrał jedną i zacisnął w rękę. Podsunął się zwolna pod ścianę. Gwałtownym ruchem targnął za klamkę, konstatając jednocześnie ze zdziwieniem, że drzwi nie były zamknięte na

klucz. To spotęgowało jego

gniew. Wskoczył do środka. Światło latarki drgnęło, zamigotało po ścianach i zgasło. W tym migotaniu Zadrożny ujrzał jeszcze, jak jakaś postać, skulona obok skrytki, zrywa się i odwraca twarz w jego stronę...

Przechodzący obok sklepu komisowego sześćdziesięcioletni buchalter Józef Nawrocki przystanął nagle i zaczął nasłuchiwać. Gdzieś z głębi podwórza czy sklepu doleciał go zdławiony krzyk.

Czekał przez dłuższą chwilę, czy krzyk się nie powtórzy. Ale panowała już cisza. - Zdawało mi się... - szepnął. Wsunął ręce głębiej w kieszenie palta i podreptał do domu. Mroźna noc styczniowa nie usposabiała do dłuższych postojów na ulicy. Sklep komisowy otwierano o godzinie jedenastej. O dziesiątej zjawiał się zwykle posługacz Dzwoniec, a w chwilę po nim szybkim, energicznym krokiem nadchodził kierownik. Ale tym razem Jan Dzwoniec nie mógł się go jakoś doczekać. Zmarzł stojąc na dworze, przestępował z nogi na nogę i rozcierał zziębnięte ręce, a Zadrożnego jak nie było, tak nie było.

Przez podwórze przechodził dozorca domu, Pietruszka. Przystanął obok Dzwonia.

- Zimno, co? - zagadnął.

- A zimno - przytaknął inwalida przytupując. Chwilę milczeli.

- Kierownik się spóźnia - zauważył dozorca. - Dochodzi wpół do jedenastej.

- Ale!... - Dzwoniec zaniepokoił się. - To już tak późno?

- Może zachorował?

- A może.

- Kto wtedy przyniesie klucze?

- Klucze? Chyba pan Cichoń. A bo ja wiem... Dozorca wzruszył ramionami. - Gapa! - pomyślał. Machinalnie przyglądał się kłódce przy zasuwie, która wisia-

14

15

ła jakoś dziwnie przekrzywiona. Nagle podszedł bliżej i ujął kłódkę w rękę.

- Ej, widzi pan?! - krzyknął zdumiony. - Przecie otwarta!

- Ja-jak to „otwarta”? - zająknął się posługacz. - Wczoraj zamknęliśmy, to nie może

być otwarta.

Kłódka w rękach dozorca otworzyła się bez oporu. Teraz obaj dopadli sztaby, odsunęli ją i chwycili za klamkę. I drzwi nie były zamknięte. Dozorca cofnął się ze strachem.

- Nie, ja już wolę nie wchodzić! - powiedział stanowczo. - W sklepie pewnie byli złodzieje. Trzeba po milicję... a milicja nie lubi, jak się ślady zadcpcze.

- Święty Antoni! - posługaczowi trzęsły się ręce i głowa jak w ataku febry. -

Złodzieje w sklepie? Może jeszcze tam siedzą?

- Idź pan, głupiś czy co? Do rana by siedzieli i czekali, aż milicjanty po nich przyjdą?

Walaj pan do telefonu, tu obok w aptecce. Albo stój pan, ale nie włącz do środka i nie wpuszczaj nikogo, a ja pójdę zadzwonić. O, idzie jeden z waszych...

Z bramy wynurzył się Jerzy Cichoń.

- Co się stało? - zapytał ze zdziwieniem, widząc trzęsącego się ze strachu Dzwonca. -

Czemu nie wchodzi do sklepu?

Na wyjaśnienie posługacza ekspedient zbladł, potem poczerwieniał i zacisnął szczęki.

Chciał coś powiedzieć, ale w tej chwili nadeszła kasjerka. Była wesółka, zaróżowiona od mrozu, pełna energii.

- Co tak stoicie jak zmarznięte wróble?! - zawołała ze śmiechem. - Nie ma jeszcze kierownika? Stało się coś? -zmieniła ton widząc ich twarze.

- Sklep jest otwarty - odparł cicho Dzwoniec. - Pewnie w środku... złodzieje.

Zastanowiła się chwilę, po czym parsknęła gniewnie:

- No to przecież trzeba wejść i zobaczyć! Czemu pan stoi, panie Jerzy? Wyście wszyscy powariowali! Złodzieje o jedenastej rano?

Cichoń ujął ją za ramię.

- Niech pani tam nie wchodzi. Poczekamy na milicję...

16

- A jak się okaże, że nie było żadnych złodziei, tylko Zadrożny źle zamknął kłódkę, to dopiero wygłupimy się przed milicją! - rzuciła uwalniając rękę. - Zresztą, zostańcie, ja sama zobaczę.

Otworzyła drzwi do małego pokoiku i weszła.

Na jej krzyk, ostry i rozziewający, obaj mężczyźni drgnęli i rzucili się do drzwi. Ale ona już wycofywała się tyłem, śmiertelnie blada, trzymając palce zaciśnięte przy ustach. Patrzyła wciąż w dół, na podłogę, jakby nie mogąc oderwać oczu od czegoś, co ją przejęło taką zgrozą... Na podwórze wszedł milicjant i dozorca.

- Mamo, kiedy tatuś wyszedł? - zapytała Joanna przecierając zaspane oczy i zatrzymując zdziwiony wzrok na pustym tapczanie ojca. Stała w drzwiach i rozkręcała papiloty z białych tasiemek.

- Nie wiem, dziecko - odparła z kuchni Maria, również zdziwiona tym bardzo widać wczesnym wyjściem męża z domu, a w dodatku bez śniadania. Nigdy mu się to jeszcze nie zdarzyło. - Pewnie przypomniał sobie, że ma coś pilnego do załatwienia przed pójściem do sklepu.

- A ja nie słyszałam, jak wychodził... a przecież nie śpię już od szóstej... albo od piątej - mamrotała Joanna przeciągając się jak kotka.

- Ech, pleciesz! - zachnęła się Maria. - Spałaś jak su-seł aż do wpół do siódmej. No, ubieraj się, bo się spóźnisz do szkoły.

Przystanąła zamyślona nad stołem nakrytym do śniadania. Potem ukroiła parę kawałków chleba, posmarowała, obłożyła wędliną i zawinęła w papierowe serwetki. Postanowiła zająć w południe do sklepu i zanieść mężowi śniadanie.

- Miałem wczoraj dziwną historię - powiedział buchalter Nawrocki do swego kolegi, siedzącego przy sąsiednim biurku. - Wracalem w nocy z tych „nadliczbówek” - może 17

była dwunasta albo coś koło tego - i przechodziłem Nowym Światem obok sklepu komisowego, wiesz, tego dużego z dwoma oknami wystawowymi...

- Wiem, niedaleko Świętokrzyskiej - przytaknął kolega wsypując cukier do herbaty. - Kupiłem tam kiedyś atrament do wiecznego pióra. Watermanowski.

- No i, proszę cię, idę ulicą i raptem słyszę krzyk.

- Krzyk?

- W każdym razie zdawało mi się, że to był krzyk. Taki, wiesz, jakiś przytłumiony, okropny... Jakby z wnętrza sklepu czy jeszcze dalej. Mogę wziąć od ciebie trochę cukru, bo zapomniałem kupić?... Dziękuję. Więc przystanąłem, czekam, może się

jeszcze raz odezwie i zorientuję się, gdzie ten ktoś krzyczy. Ale nic już nie było.

Stałem, stałem, tylko mi nogi zmarzły.

- Może koty się goniły? - kolega stuknął o biurko skorupką jajka na twardo. - One wtedy miauczą i wrzeszczą jak dziecko.

- W styczniu? To nie marzec.

- Z kotami różnie bywa. Miałem kiedyś kotkę, która trzy razy do roku... Wszystko jej było jedno, marzec czy lipiec.

- I co się z nią stało? - Nawrocki lubił zwierzęta.

- No, w końcu zdechła. Stara już była. Pochowałem ją na działce.

- Ja też miałem kotkę. Szalenie lubiła ryby. Zaczęli z pasją zagłębiać się w kocie obyczaje.

Milicjant zbliżył się do trojga bezradnie stojących ludzi i zapytał:

- Czy wchodził już ktoś do sklepu? Co się pani stało? - dorzucił szybko, patrząc na kasjerkę.

- Tam... leży ktoś, cały we krwi... Jezus Maria, pełno tej krwi!... Prędko, panie! - pociągnęła go za rękaw. - Może jeszcze żyje?

Milicjant odsunął ją zdecydowanym ruchem i szeroko otworzył drzwi, wpuszczając strumień światła do mrocz-

nego pokoiku. Teraz wszyscy zobaczyli mężczyznę leżącego nieruchomo na podłodze, ubranego w popielaty płaszcz z futrem. Wokół jego głowy zakrzepła wielka, ciemna kałuża krwi.

- Kierownik! - krzyknęła kasjerka zasłaniając oczy. Milicjant ostrożnie zrobił jeden duży krok, pochylił się nad leżącym, przyjrzał mu się bystro i ujął za rękę. Wyczuł słabutkie kołatanie pulsu. Cofnął się i rozejrzał po zebranych.

- Pan jest tu dozorcą, prawda? Niech pan zadzwoni zaraz po karetkę Pogotowia. I jeżeli na ulicy jest jakiś milicjant niech go pan tu do mnie ściągnie. Ale żywo! Może da się jeszcze uratować tego człowieka.

Wyjął notes i omiótł wzrokiem blade, zastraszone twarze.

- Pracownicy sklepu, tak? Pani też? Proszę podać nazwiska, adresy... Pani? - zwrócił się wpierw do kasjerki.

Dozorca, zdemobilizowany podoficer z II wojny, uwielbiał niezwykle wydarzenia. Dotychczas trafiały mu się w kamienicy co najwyżej bójki małżeńskie i pijatyki. Teraz była to sprawa poważna. Czuł wzmożoną potrzebę działania, szukania czegoś czy kogoś, telefonowania tu czy tam, aby tylko nie pozostać na boku jako bierny świadek wypadku. Czytywał wiele powieści kryminalnych i zawsze zazdrościł detektywom.

Nie minęło pięć minut kiedy na podwórzu pojawiło się jeszcze dwóch milicjantów, ściągniętych przez dozorcę - jeden z ulicy, drugi (trochę na siłę) z pobliskiego baru, gdzie po nocnej służbie rozgrzewał się kuflem grzanego piwa.

Podeszli do zebranych, pozdrowili kolegę i wymienili między sobą parę fachowych uwag. Wyższy milicjant, w stopniu sierżanta, stanął w progu, zlustrował uważnymi oczami mały pokoik i zmarszczył nos.

- Trzeba zawiadomić wydział śledczy komendy miasta - mruknął. - A ten... żyje?

- Żyje - odparł pierwszy milicjant. - Chciałem obmyć mu głowę, ale boję się ruszyć - poharatany, cały we krwi. Nie mam przy sobie środków dezynfekcyjnych. Pogotowie powinno zaraz przyjechać.

Naraz wyprężył się i zasalutował. Sierżant obejrzał się i szeroki, poufały uśmiech rozjaśnił mu twarz. Na podwórze, wraz z dozorcą, który coś tam opowiadał półgłosem, wchodził szczupły, niewysoki kapitan milicji o pociągłej, śniadej twarzy i czarnych oczach. Sierżant podszedł do niego i zastygł w pół kroku, salutując.

- Dzień dobry, towarzyszu kapitanie! - powiedział z nie ukrywanym zadowoleniem. - Właśnie chciałem do was dzwonić. Brzydka sprawa, wydaje mi się...

Oficer uściśnął mu rękę, kiwnął głową pozostałym i o nic nie pytając wszedł do pokoiku.

- Człowieku, jak ci się udało go złapać?! - spytał sierżant dozorcę... - Szedł ulicą?

- Ten kapitan? Nie, był w aptece i słyszał mój telefon do Pogotowia. A kto to jest?

- Kolego! - Pierwszy milicjant trącił sierżanta w łokieć. - Jak on się nazywa?

Sierżant pochylił mu się do ucha,

- To przecież kapitan Szczęsny. No... Biały Kapitan! Milicjant aż gwizdnął z przejęcia.

- Skąd go znacie? - zapytał trzeci.

- Pracowałem z nim kiedyś w komisariacie, jeszcze jak był porucznikiem. Potem awansował i przeszedł do... - urwał.

- Kamiński! - dobiegło wołanie z pokoiku. - Tak jest, kapitanie! Idę.

Poprawił czapkę i ostrożnie przestąpił próg. Nadjechała szara warszawa z niebieskimi literami „MO”; do pokoiku weszli technik dochodzeniowy i fotograf śledczy. W tej samej chwili z ulicy dobiegło żałosne wycie karetki Pogotowia. Skierowany przez jednego z milicjantów popielaty samochód z czerwonym krzyżem wjeżdżał powoli w podwórze. Młody lekarz, z zaszpeconą twarzą, pochylił się nad Zadrożnym, zbadał pobieżnie puls i przyklękawszy, ostrożnie dotykał palcami zakrwawionej czaszki. Sanitariusz podał mu miskę z wodą, wrzuciwszy do niej fioletowe kryształki kali permanganicy.

Kapitan Szczęsny pochylił się, obserwując ruchy rąk doktora, który delikatnie obmywał rany z zakrzepłej krwi.

- Nożem... - mruknął lekarz na wpół do siebie, na wpół do oficera.

- Cios zadano od przodu, parokrotnie, dwa razy w głowę i raz w szyję - uzupełnił Szczęsny.

- Tak. Tętnica przecięta. Dlatego taki duży upływ krwi. Zresztą obejrzy pan sobie dokładnie przy sekcji.

Szczęsny spojrzał na niego z zastanowieniem.

- Myśli pan, doktorze, że to koniec?

- Najdalej za dwie, trzy godziny. Przecież on tu leży - zawahał się, przyjrzał raz jeszcze ranom - chyba od wczesnego rana albo i dłużej. Koński organizm, że dotąd wytrzymał.

Szczęsny odwrócił się i szepnął coś do Kamińskiego, który wybiegł z podwórza; po paru minutach był już z powrotem i powiedział do oficera:

- Zastałem go. Będzie za kwadrans.

Szofer i sanitariusz podeszli z noszami. Ale kapitan nie wpuścił ich do środka. Wraz z lekarzem ostrożnie unieśli Zadrożnego z podłogi i dopiero za progiem położyli go na noszach.

- Chwileczkę, doktorze - powiedział - czy to będzie miało jakieś konsekwencje dla rannego, jeżeli zatrzyma się pan jeszcze parę minut, zanim nadjedzie nasz lekarz medycyny sądowej?

Doktor z Pogotowia wzruszył ramionami.

- Według mnie nic mu już zaszkodzić nie może. Ani pomóc. Proszę bardzo, możemy poczekać.

Wyjął z torby strzykawkę i zrobił Zadrożnemu zastrzyk cardiasolu. Szczęsny podszedł do karetki; stał tuż przy rannym, wpijając się wzrokiem w jego lekko uchylone usta. Lecz kierownik sklepu wciąż leżał jak martwy i tylko ledwo wyczuwalny puls był oznaką, że jeszcze żyje. Sanitariusz rozmawiał o czymś z zapłakaną kasjerką, a dozorca, zrezygnowawszy z rozpędzania gapiów na podwórzu, opowiadał po raz setny, jak to on pierwszy zobaczył przekrzywioną kłódkę i naruszoną sztabę. Jeden z milicjantów poszedł pod wskazany mu adres ekspedienta Zawadzkiego, drugi rozmyślał, jak się wykręcić od za-

20

21

wiadomienia rodziny konającego kierownika. Takie misje należą bowiem do najprzykrzejszych w niełatwej i niewesołej służbie milicjanta...

Nadszedł doktor Stern z Zakładu Medycyny Sądowej, porozmawiał chwilę z lekarzem Pogotowia i karetka wraz z jednym z milicjantów odjechała. Wtedy ekspert wszedł ze Szczęsnym do pokoiku.

- Więc tak - zaczął - z tego, co powiedział mi mój młody kolega wnioskuję, że pobity leżał tu co najmniej pięć do sześciu godzin. Wystąpiły już bowiem zmiany zapalne w otoczeniu rany - zaczerwienienie i obrzęk. Na zdrowy rozum rzecz biorąc, nie przypuszczam, żeby napadnięto go po godzinie piątej rano, kiedy ludzie zaczynają już się kręcić po podwórzu. Jeżeli więc nie odzyska przytomności, a trzeba się z tym poważnie liczyć, i nic nam nie powie, można przyjąć, że napadu dokonano gdzieś między północą a trzecią lub czwartą rano.

- Spróbujemy zresztą dowiedzieć się czegoś od jego rodziny. Narzędzia zbrodni na razie nie znalazłem. Ale był to nóż niewielki o mocnym, szerokim ostrzu. Obrzydliwa

broń. W dodatku musiała być zabrudzona, bo w ranie zaczynał się już proces ropienia.

Doktor Stern rozejrzył się po pokoiku. Na ścianie, niedaleko małej szafki, dostrzegł parę ciemnych plamek. Ostrożnie zdrapał splamiony tynk do szklanej probówki i schował do kieszeni.

- Prawdopodobnie krew - rzucił szukając dalej. - Jeżeli tak, to promieniste położenie plam... rozprysk, hm... w tym kierunku, a więc - mruzczał do siebie, oglądając ścianę przez lupę - tak, to by się zgadzało, o ile uraz zadano skośnie do powierzchni ciała.

- Wygląda mi to tak - powiedział Szczęśny. - Kierownik wszedł nocą do tego pokoju i otrzymał cios od kogoś, kto już tutaj był. Musiał się zacząć czy też po prostu znajdował się... o, w tym miejscu, koło szafki. Ciekawe, dlaczego... - urwał, przyglądając się machinalnie załamaniu światła na krawędzi umywalni. - Uderzenie w szyję poszło z dołu do góry. Wskazywałoby więc na to, że przestępca w momencie wejścia kierownika siedział czy przykucnął niedaleko szafki... Potem odwrócił się i skoczył. Jak kot, wprost do gardła.

- Zupełnie słusznie - przyznał Stern, zaskoczony śmiałym rozumowaniem.

- Jeszcze jedno, doktorze... Nie wiem, czy mówił panu o tym lekarz Pogotowia, ale na wewnętrznej stronie palców rąk tego nieszczęśnika znalazł dwie małe ranki cięte, zupełnie świeże. Musiał więc zasłaniać się rękami przed ciosem w szyję, którego zresztą nie uniknął.

Porozmawiali jeszcze chwilę, po czym lekarz odjechał. Kapitan Szczęśny, oddawszy pracowników i sklep pod opiekę milicjantów, z najbliższego automatu połączył się wpierw ze swoim szefem, następnie z dzielnicową komendą MO. Poinformował znajomego porucznika, iż na polecenie wydziału śledczego komendy miasta bierze sprawę w swoje ręce. Poprosił tylko o zawiadomienie prokuratora, po czym spieszenie wyszedł na ulicę i złapał przejeżdżającą taksówkę. Był zły, że nie pojechał razem z karetką. Nie wiadomo, jak się wywiąże z polecenia młody, nieznany mu milicjant. Może ranny odzyskał przytomność, może powie, kto go tak urządził. Tak, to by było najprostsze rozwiązanie sprawy, ale z doświadczenia wiedział, że te „najprostsze” zdarzają się, niestety, dość rzadko...

22

23

ROZDZIAŁ II

W dyżurce szpitala kapitan Szczęsny stracił parę cennych minut, zanim dogadał się z portierem i wyjaśnił, o co chodzi. Okazało się, że w ostatniej godzinie przywieziono trzech pokaleczonych mężczyzn i wszyscy - jak określił portier - byli już jedną nogą na tamtym świecie.

Wreszcie ubrano go w biały kitel i znalazł się na korytarzu wyłożonym ciemnozielonym linoleum, przed drzwiami małej salki operacyjnej. Nacisnął klamkę, ale w tej samej chwili ktoś otworzył drzwi z tamtej strony i stanęła w nich pielęgniarka. Miała rude włosy pod białym czepkiem i bladą twarz w drobne piegi.

- Pan do kogo? Teraz nie wolno wchodzić... - umilkła, widząc milicyjny mundur pod rozpiętym kitem. Szczęsny odsunął ją lekko, jak zbyteczny przedmiot, i podszedł do stołu operacyjnego. Pochylony nad pacjentem lekarz, ze strzykawką w ręku, miał bardzo zafrasowaną minę. Spojrzał na wchodzącego, skrzywił się i potrząsnął głową przecząco.

- On już żadnych zeznań nie złoży! - powiedział ze złością, odrzucając strzykawkę na tacę z narzędziami. - Przywożą człowieka pokrajanego jak wieprza, i to Bóg wie po ilu godzinach! Trzeba być chyba cudotwórcą...

Kapitan długo spoglądał na bladą, nieruchomą twarz, spowitą w bandaż. Psiakrew! - pomyślał. - Szukaj teraz wiatru w polu.

Głodził w zamyśleniu swoje jasne, prawie białe włosy, dziwnie odbijające od śniadej twarzy i czarnych oczu.

- Czy odzyskał przytomność? - spytał chirurga.

- Na krótko.

- I nic nie mówił?

Lekarz zawahał się przez sekundę. Szczęsny zanotował w pamięci to wahanie.

24

- Nie - odparł chirurg.

Uchyliły się drzwi i ktoś powiedział półgłosem:

- Pan doktor Kępiński proszony jest do profesora Szczerbińskiego. Profesor jest w dużej sali operacyjnej.

- Zaraz wróć - rzucił lekarz przez ramię, wychodząc spieszonym krokiem.

Kapitan ujął leżącą bezwładnie rękę zmarłego. Wrażliwymi nerwami odczuł grozę śmierci i wzdrygnął się lekko.

- Przecież on nie żyje! - doleciało go z kąta sali. Stała tam ruda pielęgniarka i patrzyła na niego z dezaprobatą.

- Czy pani była tu przez cały czas, odkąd go przywieźli? - spytał.

- Prawie cały... - zastanowiła się przez chwilę. - Wychodziłam tylko po butlę z tlenem.

- To doktor panią posłał? - Tak.

Szczęśny rozejrzał się po sali.

- Mimo iż tam leży druga butla? Tam, na stole pod oknem... A może jest nienapełniona albo zepsuta?

- Chyba nie - odparła pielęgniarka ze zdziwieniem, jakby teraz dopiero zauważyła drugą butlę. Obejrzała ją i wzruszyła ramionami. - Jest zupełnie dobra. Widocznie doktor Kępiński jej nie dojrzał, bo kazał mi iść do magazynu.

- A pani - zaakcentował to słowo - jako pielęgniarka, nie widziała, że butla jest pod ręką, i poszła aż na dół, do magazynu? Może te kilka minut zaważyło na życiu chorego?

Zaczerwieniła się z gniewu.

- Moją rzeczą jest wykonywać polecenia lekarza - odparła. - Nie jestem siostrą operacyjną, nie znam dobrze tej sali.

- Więc dlaczego właśnie panią tu przysłano?

- W tej chwili odbywają się operacje na wszystkich pozostałych salach. Siostry są zajęte.

- Rozumiem. Czy zmarły nie powiedział nic przed śmiercią? - zapytał powtórnie.

- Nic nie słyszałam - odparła, a oficerowi zdawało się, że w głosie jej zabrzmiała lekka nuta niepokoju. Otworzyła usta, jakby chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili na korytarzu rozległy się kroki. Wszedł doktor Kępiński.

- Ciało zostanie naturalnie zabrane do Zakładu Medycyny Sądowej. Zaraz porozumiem się z prokuratorem - powiedział kapitan.

- A, to już nie moja sprawa - szepnął lekarz nie patrząc na oficera. - Proszę załatwić formalności w sekretariacie. Świadcstwo zgonu wystawiłem przed chwilą. Ma on przecież jakąś rodzinę, czy pan zawiadomił?

- Czy mogę prosić o pańskie nazwisko, imię i adres, doktorze? - Oficer wyjął notes.

- Jan Kępiński. Rozbrat dwanaście mieszkania osiem.

- ... i pani?

- Irma Szymańska. Wawelska sześć mieszkania jedenaście.

- Dziękuję. Pytał pan, czy zawiadomiłem rodzinę. Tak, pojechał tam milicjant i przypuszczam, że ktoś czeka w tej chwili w dyżurce albo na korytarzu.

Mówiąc to, Szczęsny otworzył drzwi i stanął w progu. Od strony schodów starsza pielęgniarka prowadziła pod ramię bladą, zapłakaną Marię Zadrożną. Na widok białego kitla lekarskiego Maria rzuciła się w jego stronę, ale dojrzała milicyjny mundur i zawahała się. Kapitan odsunął się w milczeniu, wpuszczając ją do środka i cicho zamknął drzwi za wchodzącą.

Na korytarzu pozostała starsza pielęgniarka.

- Umarł? - spytała.

Oficer skinął głową. Z sali dobiegł ich krzyk bólu, a potem żalosny płacz.

Pielęgniarka westchnęła, poprawiła szpilkę przy czepku i odeszła, miękko stąpając filcowymi pantoflami.

Z dużej sali operacyjnej wywożono pacjenta, jeszcze w narkozie. Zapachniało eterem i czymś kwaśnym. Pielęgniarz pchający wózek zatrzymał się obok Szczęsnego i zapytał:

- A z tym - wskazał głową drzwi - jak? Wykitował?

- Tak - odparł oficer częstując go papierosem. Pielęgniarz wziął jednego i wetknął do kieszonki białego kitla.

- Teraz nie wolno, wypalę po dyżurze - wyjaśnił. - Widziałem, jak go przywieźli, niosłem z tym z Pogotowia na salę. Cała głowa we krwi. Jęczał jak poraniony kot.

- Jęczał? A nic nie mówił?

- E, coś tam bajał, alem nie słyszał. Jedno czy dwa słowa... Doktor Kępiński prędzej by wiedział, bo szedł obok niego przy noszach.. Albo ta ruda Irma.

Pacjent w narkozie stęknął i z wysiłkiem odwrócił głowę.

- Muszę jechać, bo zaraz będzie rzygał - stwierdził fachowo pielęgniarz, spojrzawszy na pozieleniałą twarz chorego. I potoczył wózek w stronę windy.

Chirurg Jan Kępiński skończył ostatnią na ten dzień operację i długo, powoli mył ręce, głęboko nad czymś rozmyślając. Wciąż mydlił je i spłukiwał, mydlił i spłukiwał, aż siostra operacyjna Elżbieta wystraszyła się i zapytała ostrożnie:

- Pan doktor źle się czuje?

- Co? - ocknął się z zamyślenia. - Nie, dlaczego?

- Bo pan od kwadransa ciągle myje ręce, a przecież już po operacjach. Szkoda skóry!
- uśmiechnęła się.

- Tak... - mruknął sięgając po ręcznik. - Czy tego zmarłego z małej operacyjnej zabrali już do Zakładu Medycyny Sądowej?

- Myślę, że tak - odparła wyrzucając na tacę narzędzia ze sterylizatora. - Widziałam ich samochód przed bramą.

- Hm... siostra Irma już poszła?

- Pan doktor życzy sobie ją widzieć? - zapytała chłodno. Nie lubiła rudej koleżanki.

- Nie. Tak tylko pytam. Milicja tu była, ciekawym, czy z nią później jeszcze rozmawiali.

Powiesił ręcznik i wyszedł do pokoju lekarskiego, gdzie zostawił marynarkę i płaszcz. Ubrał się, wciąż jeszcze nad czymś intensywnie rozmyślając i skierował kroki w stronę wyjścia.

Stary portier wylazł na schody i zatrzymał go mówiąc gderliwie:

- Panie doktorze, a kapelusz? W taki mróz z gołą głową?

Kępiński machinalnie dotknął ręką włosów i stwierdził ze zdumieniem, że wybierał się do domu bez nakrycia głowy.

Cóż za roztargnienie! - pomyślał wracając na górę.

Pielegniarka Szymańska, która właśnie telefonowała z dyżurki i obserwowała tę scenę, pokręciła głową. Jeszcze nigdy doktor Kępiński nie był tak roztargniony jak dzisiejszego dnia. Znała go blisko trzy lata, był dokładny, niemal pedantyczny. A dziś? Najpierw posłał ją po tlen, chociaż pełna butla leżała pod ręką; potem wrzucił do kubła nożyczki zamiast tamponu, a teraz znów zapomniał kapelusza.

Długo patrzyła za nim, jak opuszczał gmach szpitala, a w jej wypukłych niebieskich oczach błyszczał na przemian to gniew, to niepokój.

Sierżant Kamiński powitał powrót Szczęsnego z nieukrywanym zadowoleniem.

- Wiecie, kapitanie, że ze sklepu, zdaje się, nic nie zginęło? Siedzi tam od godziny komisja z dyrekcji i zachodzą w głowę, co ci bandyci mogli ukraść! Jak dotąd, nic nie brakuje.

- Tak, to rzeczywiście zastanawiające - odparł oficer wchodząc do sklepu. Przywitał się z członkami komisji i porozmawiawszy chwilę, zamyślił się.

- Są wszystkie futra, kupony, jedwabie, aparaty fotograficzne i radiowe - powtarzał starszy z urzędników rozkładając ręce ze zdumieniem. - Jeszcze sprawdzamy drobiazgi. Ale czyż dla słoika z kremem albo wiecznego pióra morduje się człowieka?

- Zdarza się - mruknął kapitan Szczęsny myśląc o czymś innym.

- Jak pan przypuszcza, kapitanie, dlaczego kierownik przyszedł w nocy do sklepu? - zapytał drugi urzędnik, przerywając liczenie buteleczek z lakierem do paznokci „L'Onglex”.

- Może zapomniał czegoś... może zdawało mu się, że źle zamknął drzwi. Nie wiem. Sprawdzaliście, panowie, czy odniesiono wczoraj wieczorem dzienny utarg do banku?

- Sprawdzalem. Odnosił sam Zadrożny.

Kapitan przeszedł do pokoiku i zamknął drzwi za sobą. Fotograf z Zakładu Kryminalistyki wyjmował właśnie drugą rolkę z aparatu. Technik kończył protokół oględzin.

- Wszystko zdjęte? - upewnił się oficer.

- Tak, kapitanie. Przywiozłem walizkę śledczą, o którą pan prosił przez telefon.

- Dobrze, dziękuję.

Wraz z technikiem raz jeszcze przeprowadzili dokładne oględziny pokoju. Obmacali ściany i podłogę, ostukali każdą cegłę, cal za cal posuwali się naprzód, nie omijając niczego, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Na krawędzi umywalni technik znalazł dwa wyraźne ślady linii papilarnych, które sfotografowano i zdjęto na folię. Inne, wzorem swym różniące się od poprzednich, były na porcelanowym kubku, stojącym w szafce.

Kapitan Szczęsny opylił proszkiem aluminiowym ścianki i drzwiczki szafy, ale nie było na nich żadnych śladów.

- Nie ma tu nic - mruknął rozczarowany. - Chociaż... zaraz, na tym prawym kancie... Nie, to chyba tylko nadłamany kawałeczek drzazgi... zobaczymy przez lupę. Ależ to jest... Poświećcie latarką!

Oficer wyjął z walizki pincetkę i probówkę, ostrożnie zdjął z ostrego kantu szafki coś, co przypominało strzępek zeschniętego liścia, i włożywszy do próbówki zatkał starannie korkiem. Milczący i uważny, jak cień chodził za nim fotograf, niestrudzenie przenosząc wszystkie czynności i zdobycze na błony swoich filmów.

- Co to jest? - zaciekawiał się Kamiński, nie mogąc zorientować się w zawartości próbówki.

- Naskórek - odparł Szczęsny, oglądając dalej róg szafy przez lupę. - Tutaj są minimalne ślady krwi... nie da się to nawet zdrapać.

- Znaczący się, jeden drugiego pchnął na szafę?

- Musiała między nimi toczyć się walka. Myślę, że w pewnym momencie napadnięty kierownik odepchnął przestępcę tak silnie, że ten stracił równowagę, uderzył widocznie ręką - pewnie prawą - o róg szafy i zdarł sobie

28

29

naskórek. Musiał mieć odsunięte rękawy marynarki i koszuli i ręce co najmniej do łokcia obnażone. Nie mogę tylko zrozumieć, po co on siedział tu, przy szafce, a nie w sklepie. Przecież tu nic nie ma do rabowania! Umilkł rozglądając się jeszcze raz

dokoła.

- Czy przesłuchiwaliście pracowników sklepu?

- Tak. Nikt nic nie wie, jak to zwykle bywa. Każdy ma murowane alibi.

Powiedziałbym, że trochę podejrzany wydaje mi się ten wysoki ekspedient Cichon...

Kręci w zeznaniach.

- Zajdźcie teraz do nich i obejrzyjcie im ręce. Całe ramiona, na wszelki wypadek.

Kamiński wyszedł. W mieszkaniu dozorca, który też był przesłuchiwany, co go mocno dotknęło, siedzieli zmęczeni, zdenerwowani pracownicy. Był i Zawadzki, doprowadzony z domu przez milicjanta, przeciw czemu przez całą drogę gniewnie protestował.

- Sam pójdę, zostaw mnie pan! - szeptał rozglądając się, czy nie spotka znajomych. -

Co się stało? Pożar był w sklepie czy co?

Dowiedziawszy się od Cichonia i kasjerki o napadzie na kierownika, Zawadzki przestraszył się i siedział ponury, nastroszony jak sowa. Tylko posługacz Dzwoniec, uprzykrzywszy sobie widać beczynność, pomagał dozorczyńni łupać drzewo, rozpałił w piecu i pogadywał z nią cicho.

Sierżant zwrócił się wpierw do Cichonia.

- Proszę zdjąć marynarkę i odsunąć rękawy koszuli - powiedział uprzejmie, ale stanowczo.

Ekspedient zaprotestował gwałtownie. O co chodzi? O co go posądzają? Rzucił się i krzychał, aż kasjerka fuknęła na niego ze złością, wymyślając mu od histeryków.

Wreszcie zdjął marynarkę i odpiął mankiety koszuli, podciągając niechętnie rękawy. Ramiona miał mocne, muskularne, noszące jeszcze z lata złotawy odcień opalenizny. Sierżant nie znalazł na nich żadnego śladu zadrapania.

Zawadzki również gniewał się i opierał, więc zdenerwowany Kamiński machnął ręką i wrócił do pokoiku.

- Nic nie znalazłem - oznajmił zaraz od progu, nie chcąc, by kapitan zbyt dokładnie go wypytywał. - Może

ten naskórek to jakaś stara historia? A może było odwrotnie: przestępca pchnął kierownika.

- Trzeba będzie sprawdzić przy sekcji.

- To jednak umarł?

- Tak. Ten młody milicjant, którego posłałem karetką Pogotowia, wart aby go wsadzić do paki. Odwiózł tylko rannego do szpitala i ulotnił się. Dałbym głowę, że kierownik mówił coś przed śmiercią.

- A lekarz? Nic nie słyszał? - zdziwił się Kamiński.

- Twierdzi, że nie, ale coś mi to nie wygląda na prawdę. Milczeli chwilę, patrząc na siebie.

- Czego on mógł tutaj szukać? - powrócił Szczęsny do poprzedniej kwestii. -

Dlaczego właśnie tu, a nie w sklepie... Zaraz - co to jest właściwie za licznik, tu, za szafą... Tak nisko? Dziwne. I przecież nad umywalką jest drugi. Hm...

Kamiński spróbował podważyć paznokciem szare metalowe drzwiczki, ale nie drgnęły nawet.

- Zamknięte na mur. E, to pewnie jakiś wymysł tych nowoczesnych architektów.

- Przyprowadźcie do sklepu wszystkich pracowników -zdecydował nagle Szczęsny. - Chcę z nimi porozmawiać.

- Kierownik sklepu, Andrzej Zadrożny, zmarł przed godziną w szpitalu - mówił w chwilę później, przesuwając wzrok z jednej twarzy na drugą.

Kasjerka krzyknęła lekko i pochyliwszy głowę zaczęła płakać. Zawadzki patrzył na niego wystraszonymi oczami i mrugał bez przerwy; był to tick wyniesiony jeszcze z obozu koncentracyjnego, który powracał, ilekroć ekspedient się denerwował. Jerzy Cichoń zmarszczył brwi i odwrócił głowę w stronę pokoiku, przygryzając wargi.

I tylko sprzątac najzwyczajniej w świecie gapił się przez okno, jak gdyby nie zrozumiał słów oficera albo też wiadomość o śmierci kierownika nie uczyniła na nim żadnego wrażenia.

- Porozumiałem się już z rodziną Zadrożnego - mówił dalej Szczęsny. - Jak się okazało, nie można przy jej pomocy ustalić dokładnej godziny wyjścia kierownika z do-

30

31

mu, gdyż żona i córka spały i nie słyszały, jak wychodził. W każdym razie było to po godzinie dwudziestej trzeciej. Proszę więc teraz wszystkich o możliwie dokładne opowiadanie mi, jak wyglądał przebieg wczorajszego dnia w sklepie, o której godzinie kierownik wyszedł, kto go widział ostatni... Czy był tego dnia zdenerwowany, podniecony... Czy w ogóle nigdy nie wspominał o jakichś swoich wrogach, o kimś, kto go szantażuje, źle mu życzy... Jednym słowem, wszystko, cokolwiek mogłoby naprowadzić na najmniejszy choćby ślad dla wykrycia przestępcy. Przerwał, dając im czas do namysłu. Potem dodał:

- To jest niezmiernie ważne dla pracy milicji... Pomoc społeczeństwa. Nie wolno ukrywać nic, nic!

Milczeli dłuższą chwilę.

- Ja... - zaczęła wreszcie drżącym głosem kasjerka - wyszłam parę minut przed wpół do ósmej. Zdałam kasę kierownikowi i poprosiłam, czyby nie mógł za mnie odnieść pieniędzy do banku. Zgodził się. Włożył je do teczki... ja wyszłam. Byłam w kinie - urwała namyślając się. - Kierownik był taki jak zawsze, raczej wesoły, uprzejmy. Nie wspominał o niczym - żeby się czegoś bał, czy coś takiego.

- W każdym razie nie zauważyła pani u niego żadnej zmiany? - spytał oficer. - Żadnego zdenerwowania, strachu?

- Nie - zaprzeczyła żywo. - Na pewno nie.

- A pan? - odwrócił się zniechęca do Cichonia. Ten drgnął i poruszył się niespokojnie. Zmierzyli się oczami. Na twarzy przystojnego ekspedienta ukazał się nikły rumieniec.

- Cóż ja... - wzruszył ramionami. - Też nic specjalnego nie zauważyłem. Jak wychodziłem ze sklepu, został w nim tylko kierownik i ten - pokazał głową na posługacza. - Mieli właśnie zakładać sztabę i zamykać drzwi.

- Czy w sklepie nie przechowywano nigdy pieniędzy? Albo złota czy biżuterii?

- Nie, skądże - wtrąciła się kasjerka. - A biżuteria to u nas tylko sztuczna. Inną nie wolno nam handlować.

- Ja pytałem pana - powiedział kapitan do Cichonia.

- A koleżanka mnie wyręczyła - odparł Cichoń próbując się uśmiechnąć. Wypadło to

jednak dziwnie nienaturalnie.

- A poza sklepem? - zapytał Szczęsny. - Na przykład tam? - wskazał na mały pokoik. Zawadzki otworzył usta, spojrzął na oficera, ale nic nie powiedział. Szczęsny dojrzał jednak, że powieki jego powoli opuściły się, jakby chcąc ukryć wyraz oczu. Cichoń milczał.

- No, dobrze - rzekł oficer zastanawiając się nad czymś. -Przykro mi, ale muszę państwa jeszcze trochę tu potrzymać.

Wyszedł z Kamińskim do pokoiku, zamykając drzwi za sobą.

- Tak, a teraz dawajcie tu tego niższego ekspedienta, Zawadzkiego. I starszego urzędnika z komisji!

Gdy obaj weszli, Szczęsny pokazał wymownym ruchem na szare drzwiczki w ścianie.

- Co to jest?

Urzędnik przyjrzał się i pokręcił głową.

- Licznik? Cholernie nisko umieszczony. Nigdy tego nie widziałem.

Zawadzki na widok drzwiczek poczerwieniał, a potem zbladł. Nagłym ruchem przypadł do ściany i dotknął palcami szarego metalu. Ręce mu się trzęsły jak w febrze.

- To tu! - mamrotał obmacując drzwiczki. - Tu chowali! Miałem rację, że „to” jest gdzieś w sklepie, a nie w domu. Ach, jakież ze mnie idiota. Tuż pod samym nosem...

-urwał, spojrzął z lękiem na oficera i zacisnął usta.

Starszy urzędnik przykucnął z trudem obok drzwiczek i popatrzył zdumiony na ekspedienta.

- Kto tu co chował? - spytał. - Na pewno znowu jakieś łajdactwa. Ach, ten nasz handel!

- Kamiński! Drugiego ekspedienta... - Szczęsny żelaznym chwytem ręki przygwoździł Zawadzkiego do ziemi. -Niech pan się nie rusza. I proszę nic nie mówić!

W drzwiach ukazał się Cichoń. Spojrzął obojętnie w stronę szafki.

- Koszula panu wyłazi... - mruknął do starszego urzędnika, który poczerwieniał i gwałtownie uporządkował garderobę.

- Co to za drzwiczki - zapytał Szczęsny.

Zawadzki i urzędnik lojalnie milczeli. Cichoń również się nie odzywał. Wodził wzrokiem po suficie.

- Do pana się zwracałem, panie Jerzy Cichoń - powiedział oficer z naciskiem. - Co to za drzwiczki, tu w ścianie.

- Ach, pan kapitan do mnie? Nie wiedziałem. Te drzwiczki? Nie mam pojęcia. Pewnie jakieś przewody.

- Czy pan ich nigdy nie otwierał?

- Nie! - odparł ekspedient szczerze. - Nigdy.

- I nigdy pan nie widział co tam jest w środku?

- Proszę pana, do mnie należy sprzedaż w dziale futer, a nie grzebanie po skrytkach. Jeżeli ktoś tu coś widział, to tylko Zadrożny.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Bo zauważyłem parokrotnie, jak odsuwał szafkę i manipulował przy ścianie.

- Świnia! - wrzasnął nagle Zawadzki, który korzystając z chwili nieuwagi Szczęsnego, ostrożnie wyswobodził rękę z uścisku. - Łobuz i świnia! Obaj chowaliście tu... Ach, psia... - urwał, bo Cichoń doskoczywszy do niego trzasnął go pięścią w twarz. Zawadzki zachwiał się, a potem runął na Cichonia całym ciężarem, chwytając go za gardło.

- Milicja! - jęknął starszy urzędnik zza szafy, gdzie umieścił się na wszelki wypadek. Znowu koszula wystawała mu spod swetra.

Ale Szczęsny był już przy rozwścieczonych ekspedientach. Szybkim, ostrym chwytem rozerwał splecione ramiona i rozepchnął obu tak silnie, że zatoczyli się - jeden pod jedną ścianę, drugi pod drugą. Jego czarne, podłużne oczy lśniły gniewem, a śniadą twarz ściągnął grymas niesmaku. Kamiński, który usłyszawszy krzyk wpadł do pokoiku, splótł ręce na brzuchu jak stara baba i wydał lekceważąco wargi. Też frajery!

- Czy panowie pozwolą mi dokończyć śledztwa? - usłyszał chłodny, spokojny głos Szczęsnego.

Cichoń wycierał czoło chusteczką, dysząc ciężko. Zawadzki głośno przełknął ślinę.

- Sierzancie, poślijcie po Gruszkę. Niech przyjeżdża z narzędziami. Ale natychmiast!

- Tak jest! - Kamiński wypadł do telefonu.

- Tak. A my poczekamy. Czy nie ma pan mi nic do powiedzenia, panie Cichoń?

- Odmawiam dalszych zeznań - odparł. - Raz powiedziałem: nie wiem o niczym, tych drzwiczek nie otwierałem, widziałem, jak to robił Zadrożny. Koniec. Więcej ze mnie nie wyciągniecie.

- A pan? - kapitan zwrócił się do Zawadzkiego.

- Żeby mnie zabił? - warknął ekspedient. - Tak jak Zadrożnego?

Cichoń targnął się gwałtownie w jego stronę, ale Szczęsny stanął pomiędzy nimi.

- Oto ludzkie namiętności! Krew się poląła...- szeptał w kącie starszy urzędnik. -

Boże mój, świat jest jednak kiepsko urządzony.

- Panie Zawadzki, rzuca pan na kolegę bardzo ciężkie oskarżenie - powiedział surowo oficer. - Niech pan się zastanowi nad swymi słowami. Czy ma pan jakieś dowody na to, że zabił on Zadrożnego?

- Gdybym miał, to bym je dawno panu powiedział! Ale ja czuję, rozumie pan? - uderzył się parokrotnie w piersi. - Tutaj czuję, że to on! Handlowali, handlowali, a potem jeden drugiego fiut! na tamten świat. Niech pan otworzy skrytkę, na pewno jest pusta! Do wczoraj wieczór jeszcze była pełna.

- Skąd pan wie?

- Mało razy ich obserwowałem? Myśleli, że ja głupi! Złoto, biżuteria, zagraniczne zegarki... z rączki do rączki, po cichutku, niby to futerko, niby szalik sklepowy... I tyśiączki płynęły!

- Gnida... - mruknął Cichoń.

- Parszywy spekulant!

- Milczeć! - huknął oficer. Spojrzał niecierpliwie na zegarek. - Czegóż ten Gruszka tak marudzi...

- Pietruszka zamiata podwórze - powiedział urzędnik, któremu wszystko już się pomyliło.

Wreszcie drzwi od podwórza otworzyły się. Wszedł sierżant Kamiński, a za nim maleńki, gruby człowieczek z potężną łysiną. W ręku niósł drewnianą walizkę.

- Szanowanie kapitanowi! - uśmiechnął się. - Robótka dla mnie, co?

- Te drzwiczki, panie Gruszka. Byle szybko!

- Będzie szybko. Będzie już - zaraz!

Ale nie było „zaraz”. Gruszka, specjalista z Zakładu Kryminalistyki w dziedzinie otwierania skomplikowanych zamków i skrytek, tym razem długo, cierpliwie dłubał przy szarych drzwiczkach, sapiąc z niezadowoleniem.

- Cholerny zamek! - burknął, dobywając coraz to nowe narzędzia z walizki. - Jeszcze minutkę... zaraz damy mu radę.

- Proszę zwrócić uwagę, czy skrytka nie była ostatnio otwierana jakimś narzędziem, a nie kluczem? - zapytał kapitan Szczęsny.

Gruszka zastanowił się chwilę.

- Nie - odparł. - Zamek nie jest zardzewiały ani zakurzony, pewnie dość często go otwierano, ale kluczem. Nie widzę tu żadnej rysy czy zadrapania... mhm... - Trzymał teraz w zębach latarkę, oświetlając drzwiczki.

Nagle Szczęsny odwrócił głowę w stronę technika i zapytał:

- Gdzieście położyli klucze, które kierownik miał w kieszeni marynarki? Tam był taki jeden maleńki, mosiężny...

Technik wyjął ze swego płaszcza kilka kluczy.

-Ten?

-Tak.

Oficer pochylił się i włożył kluczyk w zamek drzwiczek. Przekręcił. Otworzyły się gładko i bez szmeru, ukazując wnętrze. Było puste. Długa, ciemna skrytka nie kryła już w sobie nic.

Przez chwilę panowało milczenie. Nagle Zawadzki wybuchnął śmiechem. Śmiał się aż do łez, krztusił, parskął, oczy wychodziły mu nieomal z orbit. Wszyscy patrzyli na

niego ze zdziwieniem. Wreszcie uspokoił się i ocierając załzawione oczy powiedział do Cichonia:

- Okradli cię, co? Biedna ofiara. Zrewidujcie go, psiakrew! - krzyknął. - Zabierzcie mu, on ma drugi klucz! To morderca, mor-der-ca!!!

Kamiński położył mu rękę na ramieniu.

- Nie możesz pan trochę ciszej, jak pragnę zdrowia? Organa dźwiękowe nam popękają.

Cichoń stał blady, nieruchomy, z zaciśniętymi wargami. Widać było, że pasuje się ze sobą, aby nie wybuchnąć.

- Więc nie wie pan, co było w tej skrytce? Czy w dalszym ciągu odmawia pan zeznań? - Głos Szczęsnego brzmiał teraz ostrzegawczo.

- Odmawiam - ekspedient ledwo poruszał ustami. - Nic o tym wszystkim nie wiem.

- Dobrze. Obaj jesteście aresztowani aż do wyjaśnienia sprawy. Sierżancie!

Kamiński wychylił się z podwórza i kiwnął na przechadzającego się tam milicjanta.

- Taksówkę! - rzucił mu. - Odwieziemy dwóch na komendę.

Gdy zaaresztowani ekspedientki odjechali pod eskortą milicji do komendy miasta, Szczęsny przeszedł do sklepu.

- Pani może na razie iść do domu - powiedział do wystraszonej, zapłakanej kasjerki. -

Otrzyma pani później wezwanie do komendy dzielnicowej względnie do mnie.

- Dobrze, proszę pana.

Dzwoniec wysunął się z kąta i spytał jęklonie, poprawiając czarną opaskę na oku:

- Czy ja mam zostać w sklepie? Trzeba by trochę posprzątać... - Rozejrzał się dokoła niezdecydowanie.

- To pan wczoraj z kierownikiem zamykał drzwi od podwórza? - Szczęsny przyglądał mu się trochę z roztargnieniem.

- Tak, ja.

- A co było potem?

- Potem? No, pan kierownik poszedł do banku... a ja do domu.

37

- A dzisiaj rano?

- Przyszedłem jak zwykle koło dziesiątej. Stałem i czekałem, aż ktoś przyjdzie z kluczami. Potem...

- Co to znaczy: ktoś? - przerwał mu kapitan. - Czy oprócz kierownika jeszcze ktoś inny miał klucze od sklepu i tamtego pokoju? Drugie klucze?

- A nie... tylko jak pan kierownik był chory, to go zastępował pan ekspedient Cichoń. Wtedy on przychodził otwierać.

- Więc stał pan i czekał. I kto przyszedł?

- Przyszedł pan Pietruszka - znaczy się, tutejszy dozorca - i zobaczył, że kłódka wisi krzywo, no i drzwi otwarte, tak mówił, że otwarte, bo ja się tam nie patrzyłem... Więc ja na to, że jak to otwarte, kiedyśmy wczoraj z panem kierownikiem... nieboszczykiem - zająknął się - znaczy się, jak jeszcze był żywy...

- Przypuszczam - mruknął Szczęsny pod nosem. - Czy brał pan sztabę do ręki? Dziś rano, naturalnie.

- Sztabę? - Dzwoniec zamyślił się. - Może i brałem. Ale chyba to było wczoraj.

- Co pan ma w prawej kieszeni? - padło nagle pytanie. Dzwoniec zbaraniał. Wsadził rękę w kieszeń i coś z niej wyciągnął.

- O - podał oficerowi usłużnie. - Może pan kapitan się poczęstuje.

Były to dwa małe, pomarszczone jabłka.

- Idź pan do diabła! Zaraz... chwileczkę. Jada pan jabłka ze skórką czy bez?

Starszy urzędnik uniósł brwi w górę. Cóż to raptem za rozmowa?

- Czy ze skórką? A bo ja wiem? Jak twarda, to obieram.

- Czym?

- Nożem.

- Proszę go pokazać.

Dzwoniec znów zapuścił rękę do kieszeni i wyjął mały, cienki scyzoryk z jednym ostrzem. Starszy urzędnik wzruszył ramionami. Kapitan chyba zwariował! U takiego na wpół ślepego dziada szukać narzędzia mordy? Chyba że mu ktoś umyślnie do kieszeni podrzucił. Bywa i tak, ale w powieściach kryminalnych. Spojrzał na posługacza z nagłym zainteresowaniem. Może to jakaś

ofiara zwyrodniałego przestępcy?

- No, dobra, może pan już iść do domu. Lubi pan jabłka?

- A lubię, panie kapitanie. Bardzo lubię.

- To proszę... może moje będzie lepsze. - Szczęśny podał inwalidzie duże, rumiane jabłko. - Ja też jestem wielkim amatorem owoców i często noszę je przy sobie - roześmiał się na widok zdumionej miny obu urzędników.

Gdy posługacz ubrał się i wyszedł, starszy urzędnik powiedział do oficera:

- Wie pan, tyle lat chodzę po świecie, a jeszcze nigdy nie spotkałem się z taką sprawą jak dzisiejsza! Kto mógł zabić tego biednego Zadrożnego?

- Gdybym to już wiedział, zdradziłbym panu tajemnicę - odparł Szczęśny żartobliwie. Począł na powrót Kamiń-skiego; opieczętowali sklep i pokoik i wyszli, głęboko wdychając świeże, mroźne powietrze. Zbliżał się wieczór.

- Kapitanie - spytał Kamiński, gdy obaj urzędnicy pożegnali się z nimi i odeszli - jak myślicie, czy to jednak Cichoń?

Szczęśny spojrzał na niego swymi spokojnymi, czarnymi oczami.

- Tyle lat się znamy, sierżancie, i wciąż próbujecie zadawać mi głupie pytania...

ROZDZIAŁ III

Ostry dźwięk telefonu przerwał ciszę nocną. Raz, drugi, trzeci. Śpiący zbudził się, westchnął z irytacją i nie otwierając oczu wyciągnął rękę po słuchawkę. Macał chwilę po biurku, zanim na nią natrafił.

- Mhm... kapitan Szczęśny, słucham - mruknął zasypiając na nowo. Ale twardy głos w słuchawce nie dał mu spać. Nawoływał usilnie: Halo! Halo, kapitanie, słyszycie mnie? - aż Szczęśny wytrzeźwiał, odchrząknął i powiedział normalnym głosem: - Dobra, już nie śpię. Kto mówi?... Słucham, poruczniku, co się tam stało?... Gdzie, w szpitalu? - usiadł na łóżku. - Co noc ktoś umiera w szpitalu, czy musicie mnie dlatego budzić - rozgniewał się. - Kto? Lekarz?... Ach, taaak... rozumiem. Kiedy to się stało?... Dobrze, będę gotów za parę minut, przyślijcie mi wóz. Jaki to szpital?... Dobrze. Czekam na samochód.

Odłożył słuchawkę, ziewnął i spojrzał na zegarek. Dochodziła druga.

- Że też ludzie nie mogą się mordować o jakiejś przyzwoitej godzinie! - powiedział

do siebie zrzucając piżamę. Przeszedł do łazienki i przez parę minut wypędzał z ciała resztki snu pod zimnym tuszem. Gdy odzyskał humor, przyszła mu złośliwa ochota zbudzić swego szefa, majora z wydziału śledczego komendy miasta, ale rozmyślił się.

Nałożył popielate ubranie i chwilę trwał w zadumie nad krawatem, po czym zdecydowanie odwiesił go do szafy. O drugiej w nocy można nie mieć na sobie krawata.

Podszedł do okna, odsunął żółtą zasłonę i otworzył je szeroko. Od wschodu niebo pojaśniało; zbliżał się świt, pogodny świt majowego dnia. Spojrzał w dół: z miękkim szelestem opon zatrzymywała się szara warszawa. Szofer wyjrzał i zatrąbił dwukrotnie. - Bałwan! - zirytował się Szczęsny. - Pobudzi cały dom.

Zgasił światło, zabrał małą walizeczkę śledczą, w której zawsze miał przygotowane wszystko, co mogło mu być w takich okazjach potrzebne, i zatrzasnąwszy drzwi zbiegł po schodach z piątego piętra dużymi skokami, starając się nie robić zbytniego hałasu.

Wielki gmach szpitala wyrósł tuż za zakrętem, milczący i raczej ponury w szarym świetle poranka.

W hallu dwóch milicjantów z komendy dzielnicowej rozmawiało o czymś z portierem. Na widok wchodzącego mężczyzny w popielatym ubraniu przerwali rozmowę, jeden z nich podszedł do Szczęsnego i zatrzymał go w połowie schodów.

- Dokąd, obywatelu? - zapytał przyglądając mu się spod oka.

Szczęsny okazał legitymację. Milicjant zasalutował, po czym powiedział uprzejmie:

- Poprowadzę, kapitanie. To na pierwszym piętrze. Porucznik Wirski jest na górze.

Fotograf właśnie odjechał..

- Jak się nazywa zabity? - spytał Szczęsny.

- Kępiński Jan. Chirurg, lat trzydzieści dwa. Dostał nożem w tył czaszki i w kark.

- Kiedy to się mogło stać?

- Gdzieś koło północy.

- Zaraz... - Szczęsny zatrzymał się na schodach. - Co mówił portier, czy ktoś wychodził z gmachu od tamtej pory?

- Nie, nikt, o ile ten stary nie łąze. Są jeszcze dwa inne wyjścia na podwórze, ale na noc zamykane, a klucze w portierni. Nikt ich nie zabierał do tej pory.

- To znaczy, że prawdopodobnie zabójca jest jeszcze w gmachu - powiedział kapitan na wpuł do siebie.

- Tak. Chyba tak - milicjant mimo woli rozejrzał się po korytarzu, którym przechodzili. - Trudna sprawa, kapitanie, bo nie chcemy straszyć chorych, obstawiać całego budynku i przeszukiwać pokoi. Trudna sprawa w szpitalu...

Zatrzymali się przed otwartymi drzwiami pokoju lekarskiego, w których tłoczyło się kilka pielęgniarek w białych fartuchach. Były niewyspane, przerażone, jedna płakała.

40

41

W pokoju rozmawiało cicho dwóch lekarzy, znany chirurg, doktor Krystian Aster, i internista, doktor Waclaw Miłobędzki, starszy siwy pan o zatroskanej twarzy. Na tapczanie, okrytym białym prześcieradłem, leżał człowiek, w spodniach tylko i zakrwawionej koszuli. Leżał obrócony trochę na prawy bok, z podgiętymi nogami i rękami rozrzuconymi bezwładnie. Jeden rękaw koszuli miał odsunięty, widocznie robiono mu zastrzyk. Z tyłu głowy i na karku widniały dwie niezbyt głębokie rany, obmyte już, otoczone wąskim brzeżkiem zastygłej krwi.

Szczęśny przyglądał się ranom ze zdziwieniem. Nie powinny być śmiertelne, chyba że... ach, no tak. Uszkodzona tętnica.

- Stracił bardzo wiele krwi - powiedział siedzący na brzegu tapczanu Miłobędzki. - Znaleźliśmy go w jakąś godzinę po zabójstwie. Według mnie zresztą, umarł nie od razu pod ciosem, ale znacznie później. Właśnie z upływu krwi.

Porucznik Wirski, młody i nie bardzo doświadczony, z zaciekawieniem spoglądał na Szczęśnego, którego znał dotąd tylko ze słyszenia. Był zadowolony, że komenda miasta, zawiadomiona o wypadku, kazała mu zwrócić się do Białego Kapitana. Obawiał się, że w historii tego zabójstwa zajdzie jeszcze niejedna komplikacja.

- Dziwi mnie tylko - mówił dalej internista - że taki silny, młody mężczyzna jak Kępiński wcale się nie bronił! Można by powiedzieć, że po prostu położył się dobrowolnie pod nóż.

- Po czym pan tak sądzi? - zapytał Wirski,

- Nie widzę tu żadnych śladów walki! - odparł lekarz rozglądając się po pokoju. - Nie widzę przewracanych mebli, podartego czy choćby ściągniętego z tapczanu prześcieradła, bo ja wiem... no, tu obok stoi karafka z wodą, szklanka, przecież gdyby się bronił, musiałby ją stłuc albo co najmniej zrzucić czy przewrócić. Tymczasem w pokoju panuje idealny ład i porządek. Nawet... za idealny. I to mnie dziwi.

- Czy ktoś tutaj sprzątał? - spytał Wirski surowo, zwracając się do pielęgniarek. - Ustawiałyście meble czy coś w tym rodzaju?

42

Dwie pielęgniarki potrząsnęły przecząco głową. Trzecia płakała jednostajnie i bez przerwy, jak gdyby już nigdy nie miała przestać. Przypomnieli się jej wszyscy zmarli, których pielęgnowała, wszyscy nieżyjący krewni i znajomi; przelotnie zastanowiła się również, w jakiej sukni pójdzie na pogrzeb doktora. Lubiała go.

Szczesny, który nie brał udziału w rozmowie, obejrzał tymczasem pokój, wyjrzał przez okno, potem założył przezroczyste lekarskie rękawiczki i wziął do ręki szklankę z wodą. stojącą na stoliku. Powąchał, wsadził palec i posmakował, po czym odstawił na miejsce.

- Sądzi pan... - zaczął Miłobędzki i umilkł, zdumiony. Teraz on z kolei obejrzał szklankę.

Jedna z pielęgniarek trąciła swoją koleżankę i szepnęła:

- Ty... może przynieść z kuchni kawy? Im się chce pić.

- Głupia! - tamta wzruszyła ramionami. - Śladów szukają, od paluchów.

Kapitan Szczesny odnalazł na szafce porcelanowy kubek z resztką zastygłej herbaty. Długo wahał i przyglądał się jej w zadumie, ale tym razem nie skosztował. Wyjął tylko z walizeczki dużą szklaną probówkę, wlał zawartość kubka i zatkawszy szczelnie, po raz pierwszy zwrócił uwagę na swego młodszego kolegę.

- Poruczniku, proszę to natychmiast odesłać do Zakładu Kryminalistyki. Niech wyciągną z łóżka któregoś z laborantów. Trzeba zrobić analizę na zawartość... - zawahał się - środka nasennego. Wynik proszę mi dostarczyć jak najprędzej. Z kubka proszę zdjąć odciski palców, o ile tego jeszcze nie zrobiliście.

- Myśli pan, że wpierw został uśpiony? - odezwał się po raz pierwszy doktor Aster.

- Tak sądzę - odparł Szczęsny. - I dlatego się nie bronił. Po prostu zginął we śnie.

Musiał to być zresztą jakiś środek, który nie zmienił - albo w niewielkim tylko stopniu - smaku herbaty.

- Czyli zabójstwo według najczystszych reguł kryminalnych — wtrącił Miłobędzki - silna dawka narkotyku i cios. Właśnie, jeszcze i to! - umilkł potrząsając głową.

43

- Co? - rzucił Szczęsny przysiadając na brzegu tapczanu. Internista powiódł delikatnie palcami po brzeżkach ran.

- Zadane z prawidłową znajomością zasad anatomii - odparł gorzko. - Tętnica, o tu, to miejsce... i tutaj, niech pan patrzy. Ten, kto uderzył, znał się na rzeczy.

- Znał się na anatomii, tak? I pewnie wiedział, że tej nocy doktor Kępiński ma dyżur. Że w wolnej chwili będzie siedział w tym pokoju. Jednym słowem, ten ktoś orientował się zarówno w rozkładzie zajęć szpitala, jak i w anatomii. To pan ma na myśli, doktorze?

Lekarz wzdrygnął się i zakrył twarz dłońmi.

- Jeżeli to się okaże prawdą... - szepnął. - Boże drogi, cóż za hańba dla całego świata lekarskiego!

- Rany zadane są nożem - powiedział kapitan - krótkim nożem o szerokim, mocnym ostrzu... Doktorze Aster, czy wśród instrumentów chirurgicznych szpitala znajduje się coś podobnego?

- Mój Boże, chyba tak! - Doktor Aster wzruszył ramionami. Przyjrzał się ranom. - Mógł to być którykolwiek z noży. Tylko że... - ściągnął brwi. Jeszcze raz obejrzał uderzenia. - Ciekawe, w tej chwili wydaje mi się, że nie pasowałby do tego żaden nóż chirurgiczny... Tak, na pewno, to był jakiś inny instrument.

- Mimo to nie chciałbym, aby któreś z narzędzi chirurgicznych zginęło jeszcze tej nocy... - szepnął Szczęsny jakby do siebie, rzuciwszy na Astra przelotne spojrzenie.

- Poruczniku, proszę posłać jednego z milicjantów do sali operacyjnej. Niech tam pozostanie, póki ja nie przyjdę.

Chirurg zbladł.

- Do tego bym się nigdy nie posunął, kapitanie! Mam jeszcze w sobie jakieś poczucie sprawiedliwości... Trudno. Jeżeli to był ktoś z nas, musi ponieść karę.

Wstał z tapczanu, nerwowo pomacał kieszenie kitla i rozejrzał się bezradnie.

Szczesny podsunął mu pudełko papierosów i zapalki, po czym powiedział:

- Chciałbym dowiedzieć się bliżej, w jakich okolicznościach i kto znalazł ciało. Czy pan również miał tutaj dyżur, doktorze?

- Nie, zatelefonowano do mnie do domu zaraz po znalezieniu ciała.

- Kto telefonował?

- Ja - odpowiedziała siostra operacyjna Elżbieta, wysoka, szczupła, o ciemnych oczach, podkrążonych z bezsenności. - Doktor Kępiński przyszedł na dyżur o godzinie ósmej wieczór, w parę minut po mnie. Przez pierwsze dwie godziny był spokojny. Po dziesiątej Pogotowie przywiozło mężczyznę przejechanego przez samochód. Trzeba było zszywać ranę na lewej nodze. Asystowałam doktorowi przy operacji. Była trudna, pacjent długo nie mógł zasnąć pod narkozą. Doktor Kępiński denerwował się...

- Chwileczkę - przerwał Szczesny - czy pani często pracowała z doktorem Kępińskim?

- Tak. Jestem w szpitalu już szósty rok, w tym trzy ostatnie lata przy operacjach.

- A doktor Kępiński?

- Przeszło dwa lata. Zdaje się, że we wrześniu byłoby akurat trzy.

- Czy to był wyjątkowy wypadek, że on się denerwował przy operacji, czy też robił to dość często?

Siostra Elżbieta zamyśliła się.

- Teraz sobie przypominam, że od pewnego czasu doktor Kępiński był inny niż zwykle. Jakiś nieswój, zdenerwowany, czasami trochę szorstki i opryskliwy.

- Od jak dawna? Proszę sobie przypomnieć.

- Chyba od paru miesięcy. Od zimy.

- Może jeszcze dokładniej? Na przykład od połowy stycznia czy lutego?

- To już trudno mi stwierdzić... być może. W każdym razie od dłuższego czasu zdarzały mu się pewne roztargnienia przy operacjach. Zwrócił nawet na to uwagę

jeden z jego asystentów.

- Dobrze. Więc operacja była trudna, doktor Kępiński denerwował się, że chory długo nie zasypia. Co potem?

- Po operacji przewieziono chorego do separatki, bo stan jego był poważny. Doktor mył ręce, ja sprzątałam salę. Usłyszałam, że doktor wyszedł.

44

45

- Która to była godzina?

- Gdzieś koło jedenastej.

- Czy doktor nie sprawiał wrażenia człowieka sennego, nie ziewał?

- Nie zauważyłam.

- Czy mówił coś do pani po operacji?

- Wydał dyspozycje co do pacjenta. I zaraz przeszedł do umywalni przy sali operacyjnej. Aha, mówił jeszcze, że mu się chce pić. Na sali było gorąco.

- Czy te słowa, że mu się chce pić, słyszał jeszcze ktoś oprócz pani? I gdzie to było powiedziane? Na sali czy w umywalni?

- Nie wiem... chyba nikt nie słyszał. To było w umywalni.

- Czy mógł je usłyszeć ktoś, przechodzący właśnie korytarzem? Czy drzwi od umywalni na korytarz były otwarte albo uchylone?

- Naprawdę nie pamiętam, proszę pana... Może były otwarte. W każdym razie w umywalni był wtedy tylko doktor Kępiński i ja.

Umilkła. Zamrugła powiekami, na twarzy jej odmalował się strach.

- I ja... - powtórzyła. - Ale nie dawałam mu nic do picia.

- Zaraz... Przed chwilą powiedziała pani, że sprzątała salę operacyjną, podczas gdy doktor mył ręce w umywalni. Teraz dowiaduję się, że byliście w umywalni oboje.

Więc jak było naprawdę, siostró Elżbieto?

- Byłam na sali i kiedy doktor zaczął coś mówić, weszłam do umywalni. Mówił właśnie, że mu się chce pić, ale nie dosłyszałam z daleka, więc spytałam „co?” i weszłam do umywalni.

- To znaczy, że wpierw doktor był sam, a potem z panią. Więcej nikogo nie było,

prawda?

- Nie. Potem doktor wyszedł. Ja poszłam do separatki. Przy chorym siedziała jedna z sióstr.

- Jak się nazywa?

- Irma Szymańska.

- Ruda, niewysoka?

- Tak. Pan ją zna? - Nie byłaby kobietą, gdyby nie zadała tego pytania.

- Co pani robiła w separatce? - Szczęsny pominął pytanie.

- Posiedziałam chwilę z Irmą, powtórzyłam jej, co mówił doktor o zastrzyku i lekarstwach, no i wyszłam. Też mi się chciało pić, więc pojechałam windą na piąte piętro, do pokoju sióstr. Zrobiłam sobie kawy na maszynie... zdaje się, że się trochę zdrzemnęłam.

- Kto jeszcze był z panią w pokoju?

- Dwie inne siostry, Zagrodzka i Andrzejczak. Te, co tu stoją - wskazała na pielęgniarki, ale Szczęsny nie okazał zainteresowania.

- Co dalej?

- Obudził mnie dzwonek telefonu. Dzwonił portier, że znów zajechała karetka Pogotowia, żebym schodziła. Obmyłam tylko oczy i zesłam... nie, zjechałam windą na pierwsze piętro. Weszłam tutaj...

- Co pani wpierw zobaczyła? Co panią uderzyło, przykuło wzrok?

- Krew. Dużo krwi - na podłodze, na tapczanie. I postać, leżąca tak jak teraz, trochę na boku. W pierwszej chwili byłam przekonana, że sanitariusze z Pogotowia położyli tutaj rannego. Rozgniewałam się i wyszłam na korytarz, ale zobaczyłam, że właśnie niosą na noszach jakąś kobietę. Nic nie rozumiejąc, wróciłam do pokoju lekarskiego i podeszłam bliżej. Jeszcze nie poznałam doktora Kępińskiego, twarz była zalana krwią, ale na krześle wisiała jego marynarka... i potem... po włosach i po czole... Musiałam mocno krzyknąć, bo ktoś wbiegł do pokoju, jakiś pielęgniarz, zdaje się, Michalski. Spojrzał na tapczan, kogoś tam zawołał, przybiegła z góry siostra Andrzejczak. Rzuciliśmy się ratować, ale było już za późno. Obmyliśmy rany, potem zadzwoniłam po doktora Astra i doktora Miłobędzkiego...

- Przyszedłem najdalej po kwadransie, mieszkam tu obok - powiedział internista. -
Dałem mu zastrzyk, próbowałem wszystkiego... Rzeczywiście było za późno. Zawia-

46

47

domiłem milicję. Trzeba będzie teraz zatelefonować do profesora Szczerbińskiego,
dyrektora szpitala - dźwignął się z krzesła i podszedł do aparatu.

- Gdzie jest pielęgniarz Michalski? - spytał Szczęsny zwracając się do siostry
Elżbiety. - Proszę go zawołać!

Ku zdziwieniu obecnych okazało się jednak, że Michalski zwolnił się poprzedniego
ranka i nie było go w szpitalu. Dwaj inni pielęgniarze, pełniący dyżur, wykazali
niezgodne z przepisami, ale dość wiarogodne alibi, śpiąc do tej pory snem
sprawiedliwego w ambulatorium na trzecim piętrze. Nie dochodziły tu żadne hałasy
ani nie dotarła jeszcze milicja. Toteż teraz, zaspani i wystraszeni widokiem
mundurów, przyznali zupełnie otwarcie, że przyszli na dyżur „ździebko pod gazem i
pospali się”.

- Kogo więc pani widziała, siostrzo Elżbieto? - zapytał kapitan Szczęsny, patrząc na
nią badawczo. - Może to był portier? Jak ten ktoś był ubrany, czy na biało?

- Tak - odparła stanowczo. - Był w białym kitlu pielęgniarzkim... ale teraz mi się
wydaje, że jego twarz była mi obca. Mimo to musiał być w czymś podobny do
Michalskiego, jeżeli zdawało mi się, że to on.

- Michalski jest niewysoki, szczupły, ma ciemne włosy. To wszystko, co można by
powiedzieć o jego wyglądzie zewnętrznym - wzruszył ramionami doktor Aster. -
Zdaje się, że oczy ma niebieskie czy też szare. Jest blady.

- Czy posłać po niego do domu? - spytał porucznik Wir-ski zwracając się do
Szczęsnego. Ten zawahał się. Jakimś instynktem czuł, że nie rozpoznana postać
pielęgniarska odgrywa w całej tej sprawie poważną rolę. Wyszedł z Wirskim na
korytarz. Gdy oddalili się na kilkanaście kroków, powiedział:

- Chciałbym, poruczniku, abyście sami do niego zaszli. Sprawdźcie możliwie
najdokładniej, czy był przez całą noc w domu. Zorientujcie się w jego stosunkach
domowych i w ogóle... A potem porozumcie się ze mną. Jeżeli natraficie na

najmniejszy ślad lub jeżeli cokolwiek wyda się wam podejrzane, przyprowadźcie Michalskiego do mnie na komendę. Zresztą przyprowadźcie go niezależnie od wszystkiego. Tylko postarajcie się nie spłoszyć ptaszka!

Porucznik skierował się w stronę schodów, a kapitan Szczęsny wrócił do lekarskiego pokoju. Zwłoki nakryto już białym prześcieradłem. Profesor Szczerbiński, wyrwany ze snu tragiczną wiadomością i przerażony zbrodnią popełnioną na terenie szpitala, sprzeczał się o coś z doktorem Miłobędzkim. Był też prokurator Małynicz, którego zawiadomiła komenda.

- To niemożliwe, panie kolego! - wołał profesor z irytacją, wkładając i zdejmując na przemian okulary w jasnej oprawie. - Nigdy się z tym nie zgodzę. Obcy lekarz nie mógł wejść do szpitala w nocy, nie zauważony przez portiera czy chociażby którąś z sióstr, a moi - podkreślił to słowo - moi lekarze... nie, wykluczone!

Internista opuścił siwą głowę i trząśł nią bezradnie.

- A jednak, profesorze, wszystko na to wskazuje...

- No więc kto? Kto?! - krzyczał Szczerbiński wymachując mu okularami przed samym nosem. - Jezierski? A może Goldberg? Albo Zawiej ski? No? Niech pan ma odwagę wymienić jakieś nazwisko i powiedzieć: to ten zabił! A może ja albo pan? Albo Aster? No?

Z furią zakręcił okularami w powietrzu, aż lekarz musiał cofnąć się o dwa kroki, aby nie dostać w oko.

- Doktor Miłobędzki tego nie powie - usłyszał profesor czyjś głos za sobą. - Rzucić na kogoś podejrzenie bez dowodów, to rzecz bardzo ryzykowna, profesorze!

Szczerbiński odwrócił się gwałtownie. Za nim stał szczupły mężczyzna w popielatym ubraniu, bez krawata. Od śniadej twarzy o regularnych rysach dziwnie odbijały jasne, niemal białe, włosy.

- Kto pan jest, u licha?! - rzucił niegrzecznie. Był zdenerwowany. - Muszę panu zwrócić uwagę, panie prokuratorze, że za dużo ludzi tu się kręci. To jest podejrzane. A w ogóle, gdzie jest ten facet z milicji? Mówili mi o jakimś kapitanie...

- To jest właśnie kapitan Szczęsny z wydziału śledczego - uśmiechnął się Małynicz. - Panowie pozwolą...

Uczył gest prezentacji z taką swobodą, jakby nie stali obok trupa, lecz w salonie, na przyjęciu dyplomatycznym.

48

49

Przepraszam! - mruknął Szczerbiński, lekko zmieszany. - Milicję widuję tylko w mundurze. Przeważnie zatrzymuje mój samochód i wlepi mi kary za szybką jazdę. Rozumie pan więc, że nie bardzo - tego...

- Rozumiem - odparł Szczęsny z uśmiechem. - Bardzo żałuję, że moi koledzy z komendy ruchu są tak niewyrozumiali, ale stanowczo lepiej nie jeździć za prędko. Zwykle źle się to kończy.

- Ot, choćby ten sławny malarz Reszke, co go dzisiaj przywieźli - wtrąciła siostra Elżbieta. - Lewa noga poharatana i...

- Co, Reszke tu jest? — zapytał zdumiony profesor. - To mój kolega szkolny. Co mu się stało?

- Wpadł pod samochód. Był trochę... jakby to powiedzieć - siostra Elżbieta zająknęła się.

- Zalany, co? Czego się siostra wstydzi? Znam go jak własną kieszeń. Upija się przynajmniej raz na tydzień. Gdzieście go położyli?

- W separacie numer sześć - odparła Elżbieta, wieszając sobie w duchu, że tak zarządziła.

- Zajdę tam później.

- Ach, właśnie! - podchwycił oficer. - Chciałbym prosić, aby siostra zaprowadziła mnie do tego chorego.

Zawahała się i spojrzała na profesora. Ten wymownie rozłożył ręce: w takiej chwili milicja ma prawo wpakować się nawet do rury od pieca, jeżeli uzna to za stosowne - i on, dyrektor szpitala, nie może się temu sprzeciwić- Trudno... niech ten białowłosy kapitan idzie, gdzie ma ochotę.

przeszli na drugie piętro. Siostra Elżbieta szła o pół kroku naprzód, wskazując drogę.

Od czasu do czasu oglądała się, czy oficer nie zginął jej za którymś zakrętem- Z milicją - zwłaszcza tą w cywilu - nigdy nic nie wiadomo... Powie, że chce do

chorego, a zainteresuje go jakaś szafa po drodze albo niedopałek papierosa. Dobrze zresztą, że „ten” nie ma na sobie munduru; chory nie będzie się bał. Ciekawe, czy Irma już wie o wszystkim? I skąd ona go zna?! Bo że zna, tego Elżbieta była pewna. Patrzcie państwo, taki wstrętny rudzielec, a ma takie przystojne znajomości. I to wśród oficerów milicji!

Dumając tak o tym wszystkim zatrzymała się przed drzwiami separátky numer sześć i otworzyła je cicho. Na delikatny szmer klamki ruda pielęgniarka poruszyła się w fotelu.

- Czy już? - spytała szeptem. Odwróciła głowę. - Ach, to ty, Elżbieto? - Za plecami siostry operacyjnej dojrzała jednak postać mężczyzny i uniosła się z fotela. Szczęsny widział w półmroku jej przestraszone oczy, które, w miarę jak mu się przyglądała, traciły wyraz lęku. Teraz malowało się w nich zdziwienie.

- Irmo, ten pan z milicji chciał zobaczyć pacjenta - powiedziała Elżbieta przenosząc wzrok na leżącego. - Profesor pozwolił. Zresztą to jest przecież twój znajomy! - zaakcentowała ostatnie słowo.

Irma nie odpowiedziała. Ściągnęła brwi i zapytała ostro:

- Po co w szpitalu milicja? Chorzy się zdenerwują. I skąd się wziął o tej porze profesor?

- Zdaje się, że więcej od chorych są zdenerwowane pielęgniarki - rzekł Szczęsny. - Czemu pani tak się boi milicji? Przecież my się już znamy. Nie przypomina pani sobie?

Odwróciła twarz poprawiając coś na kołdrze.

- Czy ja tam mogę wszystkich pamiętać? O co chodzi, Elżbieto? Po co ten... pan przyszedł?

- Ktoś za... - Elżbieta nie skończyła zdania. Kapitan nagłym, niemal bolesnym ruchem zacisnął palce na jej ramieniu.

- Proszę teraz zostawić nas samych - rzekł stanowczo. - Proszę zejść na dół i powiedzieć profesorowi, że ja niedługo wrócę.

Gdy zamknęły się drzwi za siostrą Elżbietą, kapitan nie zwracając uwagi na Irnę usiadł na brzegu łóżka, przypatrując się choremu, który spał. Kiedy przez dłuższy

czas nie padło ani jedno pytanie, siostra Szymańska zdziwiła się. Czegóż on chce?

50

51

Usiadła z powrotem w fotelu i założyła nogę na nogę.

- Milczeć to ja mogę i do rana! - mruknęła. - Potem dyżur się kończy i żadna siła ludzka, nawet milicja, nie zatrzyma mnie w szpitalu... Słyszysz pan?

- Słyszę - odparł Szczęsny uprzejmie. - Koniecznie chce pani, abym o coś pytał? Ano, dobrze. Powiedzmy: co oznaczały te dwa słowa „czy już”, gdy siostra Elżbieta weszła do separatki?

- Nie rozumiem.

- To bardzo proste. Kiedy siostra Elżbieta weszła, albo raczej, kiedy wchodziła do tego pokoju, pani zapytała: „czy już”. Otóż chodzi mi o to, co miały oznaczać te dwa słowa?

- Nic.

- To było ot tak... bez sensu? -Tak.

- Często pani mówi od rzeczy? Poczzerwieniała ze złości.

- Myślałam, że to wchodzi doktor Kępiński. Że mi każe dać choremu zastrzyk.

- Nikt pani poprzednio nie dał takiego polecenia? Choćby tam, na sali operacyjnej?

Dostrzegł na jej twarzy przelotny błysk triumfu.

- Przecież mnie nie było na sali! Siostra Elżbieta przywiozła tu chorego i wtedy mnie zawołano.

- I siostra Elżbieta też nic pani nie mówiła o lekarstwach i zastrzykach?

- O lekarstwach tak, o zastrzyku nie.

Szczęsny uśmiechnął się. Gdyby go znała bliżej, obawiałaby się tego uśmiechu bardziej niż krzyku czy gniewu. Biały Kapitan nie znosił, gdy go okłamywano.

- Okropny bałagan w tym waszym szpitalu! - powiedział z naganą w głosie. - Muszę poskarżyć się profesorowi. Najpierw przychodzi siostra, aby powiedzieć o lekarstwach, potem trzeba czekać, aż raczy przyjść doktor i wydać dyspozycje co do zastrzyków... Chory może tymczasem umrzeć.

- No, więc skłamałam. Myślałam, że doktor Kępiński przyszedł dać choremu

zastrzyk. Ja nie mogę.

- Jest więc pani tylko posługaczką, prawda? Dziwne, że przy ciężko chorym sadza się na dyżur zwykłą salową, a nie wykwalifikowaną pielęgniarkę.

Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Jak pan śmie! Od sześciu lat pracuję jako siostra. Tylko... ja w nocy nie robię zastrzyków. Nie widzę dobrze. Mogę pomylić fiołki. Co pan się zresztą na tym wszystkim zna!

Przyjrzał się jej z zaciekawieniem. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął małą ampułkę z zastrzykiem.

- Proszę, oto witamina BI forte. - Zrzucił marynarkę z lewej ręki i odwinął rękaw koszuli. - Proszę mi zrobić zastrzyk.

Przyszło mu na myśl, że ryzykuje wiele. Jakże łatwo jej było odwrócić się do szklanej tacy, na której leżała strzykawka, i zamienić fiołki... o ile, rzecz jasna, podejrzenia jego są słuszne.

Irma siedziała nieruchomo. Oczy jej pałały złością.

- Mówiłam już panu, że w nocy nie robię zastrzyków. Zresztą nie obowiązuję mnie obsługiwanie milicjantów. Macie chyba swój szpital i swoje pielęgniarki. A w ogóle, proszę stąd wyjść. Mam dyżur przy chorym i pan mi przeszkadza. Proszę wyjść! W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich profesor Szczerbiński. Na widok jego zdziwionej miny Szczęsny wyjaśnił, uprzedzając pytanie, że czuje się nieszczególnie i poprosił właśnie siostrę Szymańską o zrobienie mu przy okazji zastrzyku z aneuryny.

- Naturalnie, proszę bardzo! - odparł uprzejmie profesor, dla którego przedstawiciel władzy przeobraził się w jednej chwili w pacjenta. - Siostro, ma pani tutaj wszystko przygotowane do zastrzyków, prawda? Pani to świetnie robi. Proszę pokazać chore... tee, kapitanowi, jak pracują nasze pielęgniarki.

Pochyliła głowę, w milczeniu wzięła z rąk Szczęsnego ampułkę i odwróciła się po strzykawkę.

- Wprawdzie siostra Irma mówiła mi... - zaczął Szczęsny - no, ale mniejsza o to. Poza tym właściwie noc już minęła.

Profesor, nie zwracając uwagi na to trochę dziwne zdanie, pochylił się nad pacjentem.

52

53

~ Śpi. Co siostra dawała?

- Cardiasol w iniekcji.

Szczesny obrzucił ją lekko kpiącym spojrzeniem i z wyrzutem pokiwał głową.

Zacisnęła wargi. Zastrzyk wykonała szybko i z wyraźnym wstrętem na twarzy, całą swoją postacią wyrażając sprzeciw.

Profesor zbadał choremu puls i położył mu rękę na czole.

- Zajmie się nim teraz doktor Goldberg - powiedział. -W lekarskim pokoju zostanie na dyżurze doktor Aster, jak tylko wyniosą zwłoki. Niech się pani do niego zwraca w razie potrzeby.

- Dobrze - szepnęła. - Czy wszystkich pacjentów doktora Kępińskiego przejmie doktor Goldberg?

~ A co się stało z doktorem Kępińskim? - zapytał nagle Szczesny, naciskając mocno lewy but profesora, który stał tuż przy nim.

Irma zbladła. Profesor syknął, cofnął nogę i zdjawszy okulary zaczął nimi zataczać młynka w powietrzu.

-Skąd pani wie, że zamordowano doktora Kępińskiego? - zapytał profesor surowo. - Czy wychodziła pani z pokoju?

Szczesny skrzywił się tak wyraźnie, że lekarz umilkł skonsternowany, czując, że znowu palnął jakieś głupstwo.

- Wychodziłam - odparła Irma - słyszałam głosy na korytarzu... szły siostry z góry... Andrzejczak i Zagrodzka. Mówiły między sobą, że doktor Kępiński nie żyje. Że go zamordowano.

- Ach, tak, no to jasne! - Profesor spojrział na Szczesnego z widoczną ulgą. - Idziemy na dół, kapitanie? Prokurator chciał się z panem zobaczyć, no i czekamy z przeniesieniem zwłok do kostnicy szpitalnej, bo pewnie będziecie chcieli wziąć je do Zakładu na sekcję, prawda?

Gdy

mijali drugie piętro, Szczerbiński zatrzymał się nagle na schodach. -Czy pan ją o coś posądza? Wy tłumaczyła przecież, że słyszała od tamtych sióstr o jego śmierci.

- Naturalnie, to byłoby zupełnie prawdopodobne - odparł Szczęsny. - Gdyby nie fakt, że obie pielęgniarki zjechały wówczas windą. I... - urwał. Nie chciał wtajemniczyć profesora w szczegóły śledztwa. Ruda Irma powiedziała mu przecież, że słowa „czy już” odnosiły się do doktora Kępińskiego. Miał wielką ochotę zapytać ją teraz, czy wierzy w duchy.

- Skąd pan wie? - lekarz przeraził się. - To by znaczyło, że ona... Nie, to niemożliwe!

- Myśli pan, profesorze, że ona zabiła doktora Kępińskiego. Nie. Nie pomylę się chyba, jeśli powiem, że nawet na pewno nie. A jednak... Czy ona trochę niedowidzi, na przykład w nocy?

- Nonsens! Cóż za bzdura! - oburzył się profesor. -Któż panu o tym powiedział? Czy myśli pan, że trzymałbym w szpitalu pielęgniarkę, która nie mogłaby robić zastrzyków, odmierzać lekarstwa! Pokłula pana przy zastrzyku?

- Nie! - Szczęsny roześmiał się. - Wprost przeciwnie.

- Nie bardzo wiem, co może być wprost przeciwnego od klucza - mruknął Szczerbiński wzruszając ramionami. -Chyba nie pogłaskała pana igłą?

- Chciałem powiedzieć, że doskonale ten zastrzyk wykonała. Tak dobrze, że na pewno ma wspaniały wzrok.

- Ech, wy z milicji zawsze macie jakieś dziwne powiedzonka, ni przypiął, ni przyłatał... Nigdy nie wiadomo, o co wam naprawdę chodzi. Gdzie pan kupił takie ładne skarpetki?

- Na „ciuchach” - odparł Szczęsny i zaczerwienił się.

55

ROZDZIAŁ IV

Zastukano do drzwi.

- Proszę - powiedział Szczęsny przerywając pisanie. Porucznik Wirski zatrzymał się

w progu, stuknął obcasami i podszedł do biurka. Miał tak zafrasowaną minę, że widać było od razu, iż przynosi coś niezwykłego.

- No, co? Znaleźliście go?

- Kapitanie, to jakaś draka z tym Michalskim! - Usiadł ostrożnie na brzegu krzesła, jakby w obawie, czy nie załamie się pod jego atletyczną postacią. - Wcale nie mieszka na Tamce pod szesnastym i w ogóle nigdy nie mieszkał. Ani pod czwórką, ani pod żadnym innym numerem mieszkania. Rozpytywałem dozorców sąsiednich domów, obleciałem chyba całą Tamkę. Znalazłem dwóch pielęgniarzy, ale na pewno nie mają z tamtym nic wspólnego.

- Ciekawe... - powiedział Szczęsny w zamyśleniu. - Czy zaszliście potem jeszcze do szpitala?

- Właśnie stamtąd wracam. W biurze byli zaskoczeni wiadomością, że adres jest fałszywy. Wyciągnąłem od nich wszystko, co tylko mogłem, o Karolu Michalskim. Okazało się, że przyjęto go do pracy jakieś dwa miesiące temu, na telefoniczne polecenie jednego z urzędników Wydziału Zdrowia. Dziś nikt nie potrafi sobie przypomnieć, jak ten urzędnik się nazywa. Michalski złożył świadectwo ze szpitala numer dwa w Krośnie, zresztą świadectwo bardzo pochlebne.

- Jak długo pracował w Krośnie?

- Cztery lata.

- A po co przenosił się do Warszawy?

- Właśnie, podobno Wydział Zdrowia przeniósł go służbowo do stolicy. Że niby taki doskonały pielęgniarz, a w szpitalu teraz brak ludzi.

- Czy sprawdzaliście to wszystko w Wydziale Zdrowia?

- Nie, nie zdążyłem.

- Poczekajcie, mam tam znajomego. Może się jednak dowiemy czegoś bliższego o Karolu Michalskim.

To mówiąc, Szczęsny odwrócił się w stronę stolika, gdzie stały aparaty telefoniczne.

- Wydział Zdrowia?... Poproszę z magistrem Zakrzewskim... Janek? Słuchaj, mam do ciebie taką sprawę. Dwa miesiące temu przyjęto do szpitala... Skąd ty wiesz, o co mi chodzi?... Ale skąd?... Ach, sam profesor Szczerbiński! No tak, szukają na własną

rękę. Nie ma nic gorszego niż ci amatorzy w śledztwie. Więc jak to jest z tym Michalskim?... Nikt?... Słuchaj, sprawdziłeś dobrze w całym Wydziale?... I nikt wtedy nie telefonował?... Mój drogi, ja w tej chwili posądzam każdego. Ciebie też, tak! - dorzucił żartobliwie. - Dobrze, nie złość się. Jak byś się czegoś dowiedział, daj mi znać. Serwus!

Odłożył słuchawkę i z innego aparatu połączył się z dalekopisami komendy.

- Tu kapitan Szczęsny, dajcie wiadomość na Krosno, komenda powiatowa... Tak, podyktuję: „Proszę sprawdzić w szpitalu numer dwa, czy pracował tam i kiedy pielęgniarz Karol Michalski”... Nie, jeszcze nie koniec, „oraz zebrać o nim wszystkie możliwe dane. Odpowiedzcie szybko, sprawa bardzo ważna”... Tak. Jak przyjdzie odpowiedź, proszę mnie zawiadomić.

- Zabił i uciekł. Ale dlaczego zabił? - zastanawiał się Wirski. - Nie dla rabunku, bo w marynarce doktora zostawił portfel z pieniędzmi i dokumentami. Nie zdjął mu nawet zegarka z ręki.

- Zabił i uciekł, powiadacie... Wcale nie jestem tego pewny. A jeżeli ten fałszywy adres, fałszywy telefon i ucieczka - zresztą może jutro czy pojutrze zjawi się w szpitalu i wszystko wyjaśni - więc jeżeli zrobił to wszystko po to, aby odwrócić naszą uwagę od właściwego sprawcy? Kto wie, jakie powiązania miał Michalski w szpitalu.

- Słusznie, kapitanie. Ale...

Wirski urwał, bo do pokoju wszedł laborant Bielak z Zakładu Kryminalistyki. Miał olbrzymi, wspaniały nos,

56

57

który zupełnie nie pasował do jego drobnej postaci. Mawiano w Zakładzie, że przez ten nos uniknął służby wojskowej, gdyż członkowie komisji poborowej na jego widok załamywali się nerwowo. Nie można było po prostu wyobrazić sobie Bielaka w mundurze.

- Proszę, kapitanie - powiedział kładąc na biurku jakiś papier. - Analiza herbaty. Luminal, mocna dawka.

- Dziękuję. Zastanawia mnie jedno: przecież duża ilość luminalu musiała bardzo

zmienić smak herbaty. Jakże on tego nie poczuł pijąc?

Bielak zamyślił się na chwilę.

- Mógł nie poczuć, o ile bardzo mu się chciało pić. Herbata była gorzka, to znaczy - niesłodzona; luminal naturalnie dodał jej tej goryczy w trójnasób. Zresztą, przecież denat nie wypił do końca, widocznie jednak mu nie smakowała. Jeżeli człowiek jest bardzo spragniony, to przy pierwszych łykach prawie nie rozróżnia smaku.

- Odciski palców na kubku?... - rzucił Szczęsny w stronę porucznika.

- Tylko Kępińskiego, Bardzo wyraźne. Żadnych innych, nawet częściowo, pod tamtymi.

- Jeżeli więc ktoś mu przyrządził tę herbatę z luminalem, to albo wytarł ślady, albo robił to w rękawiczkach.

- Powiedzieliście: jeżeli ktoś". Czy istnieje inna możliwość?

- Pewnie! Doktor Kępiński mógł sam zażyć luminal w herbacie, o ile cierpiał na bezsenność i chciał się trochę przespać po operacji.

- Taką dawkę? - zdziwił się Bielak. - Toż na wypadek nowej operacji byłoby mu trudno ją wykonać. Zasnąłby chyba na stojąco. Brrr! Nie chciałbym wtedy być jego pacjentem.

-Toteż skłonny jestem raczej przypuszczać, że zrobił to zabójca czyjegoś współlnik.

Ale wykluczać doktora nie można i dlatego... - Szczęsny sięgnął po książkę telefoniczną. - Dlatego teraz... - umilkł przerzucając kartki. - Aha, jest: Kępiński Jan, dr med., Rozbrat 12 m. 8. Nie wiecie, poruczniku, czy jego żona została już zawiadomiona?

58

- Tak, miał to zrobić doktor Aster. Może wpierw do niego zadzwonić?

- Dobrze, zapytajcie.

Doktor Aster poinformował Wirskiego, że był u pani Renaty Lubicz-Kępińskiej o dziewiątej rano, a koło południa wybierał się do niej profesor. Czy był - lekarz nie wiedział.

Szczęsny spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta. Zaledwie piętnaście godzin minęło od chwili, gdy telefon z wiadomością o morderstwie w szpitalu wyrwał go ze snu.

Piętnaście godzin, z których niemal każda przynosiła jakąś ważną wiadomość. Nici śledztwa były jednak na razie bardzo zaplątane. Wstał, zamknął biurko i szafę, wsunął do kieszeni notes.

- Idziecie do niej? - zapytał Wirski.

- Mhm. Czy zabraliście z biura szpitalnego papiery, które składał Michalski, i ankietę? Nie było tam zdjęcia?

- Mam ankietę i świadectwo z Krosna. Proszę. Ale zdjęcia nie było. Przyznali, że z początku nie miał fotografii i obiecał przynieść, a potem wszyscy o tym zapomnieli. Cóż, człowiek polecany przez Wydział Zdrowia...

Szczesny zabrał oba dokumenty, zżymając się na niedbalstwo szpitala, i wyszedł z komendy. Złapał przejeżdżający tramwaj, wysiadł przy placu Konstytucji i parę minut tkwił przy ladzie baru „Arkady” nad filiżanką czarnej kawy. Obok niego siwy pan w białej wykładanej koszuli i spodniach koloru słomy usiłował przekonać kelnerkę, że to, co mu podała, dalekie jest od pojęcia prawdziwej kawy.

- Widzi pani, kawa powinna mieć trzy cechy - mówił, usiłując zmieścić się na małym barowym stołku - trzy cechy podstawowe. Powinna być czarna jak smoła, gorąca jak piekło i słodka jak miód!

- Gdzieś to czytałam - odparła uprzejmie. - Czy nie w „Przekroju”?

- Sęk w tym, że nikt nie wie dokładnie, jak gorąco jest w piekle. Więc praktycznie można stosować tylko tamte dwie cechy.

- Naturalnie! - potwierdziła kelnerka. Było jej zupełnie wszystko jedno. Cokolwiek powiedzą goście z tamtej stro-

59

ny lady, zawsze kawa w barze będzie taka sama. Według przepisu.

Na placu Szczesny zawahał się przez chwilę. Był głodny, zapomniał po prostu zjeść w stołówce obiad. Trzeba gdzieś wstąpić i coś przegryźć. Ale gdzie? Wybrał restaurację na rogu Pięknej i wszedł do środka. Jak zwykle, nie było wolnego stolika, więc przeprosił i przysiadł się do małego, chudego jegomościa, który kończył właśnie jakieś danie. Obok stały dwa brudne talerze.

Podszedł kelner. Oficer zamówił rumsztyk i piwo.

- Dla mnie też rumszyk - szepnął jego sąsiad, odstawiając na bok trzeci pusty talerz.
- A potem może tego karpia w szarym sosie...

Kelner wzruszył ramionami i odszedł. Widząc zdziwiony wzrok Szczęsnego, chudy pan smutnie pokiwał głową.

- Mam solitera - powiedział i westchnął. - Muszę go karmić, bo mi zje żołądek. Inni mają dzieci, a ja... Powinienem dostawać na niego dodatek rodzinny.

Kelner przyniósł talerze i przyłapawszy spojrzenie oficera, wymownie nakreślił kółko na czole. Szczęsny chrząknął, nie wiedząc, co powiedzieć.

- A pan ma dzieci? - zapytał go właściciel solitera.

- Nie. Nie jestem żonaty.

- To przecież nie ma znaczenia. Niech pan uważa na solitery. Panie, ile mnie ta bestia kosztuje! Całą pensję pcham w jedzenie.

Szczęsny parsknął śmiechem.

- Czemu pan się nie leczy? - rzucił, aby coś powiedzieć.

- Chciałem, ale... widzi pan, jak mi go zabiorą, to już będę całkiem sam. A tak, to jesteśmy we dwóch. Zawsze jakoś różniej.

- Czterdzieści osiem złotych dwadzieścia groszy - wtrącił rzeczowo kelner.

Położył przed chudym panem rachunek. Z takim to nigdy nie wiadomo; naje się, głupstw nagada, a potem ucieknie i nie zapłaci.

Szczęsny uregulował swój rachunek i wyszedł na

ulicę z niejasnym przeświadczeniem, że ma w żołądku solitera. Ominął trolejbus jadący w kierunku Myśliwieckiej, doszedł do Alei Ujazdowskich i skręcił w prawo.

Postanowił nadłożyć trochę drogi i dojść na Rozbrat przez Agrykolę. Wieczór był taki piękny, ciepły, a park Ujazdowski kusił zapachem jaśminów. Starym zwyczajem wiosna przejmowała niepokojem i zupełnie nierozsądną tęsknotą.

Szczęsny szedł wolno przez Aleje, myśląc o czekającej go rozmowie. Na brzegu jednej z ławek widniała kartka z napisem: „świeżo malowane”. Jak zwykle nie oparł się pokusie i dotknął palcem farby, umazał go, po czym zwymyślał własne niedowiarstwo.

- Wiesz, dlaczego akacja nie pachnie? - pytała dziewczyna z gałązką akacji w rękę,

kiedy mijał przytuloną do siebie parę.

- Bo wywąchałaś cały zapach - odmruknął chłopak zanurzając twarz w jej włosy.

- Nie! Bo ona ma teraz urlop.

Roześmieli się. Dziewczyna spojrzała na Szczęsnego i przymrużyła oczy. Kapitan przyspieszył kroku. Solitery, miłość... ech!

Pani Renata Lubicz-Kępińska przyjęła go spokojnie i tylko zaczerwienione oczy w pobladłej twarzy świadczyły, iż ubiegła noc była dla niej ciężkim przeżyciem.

- Chciał pan ze mną pomówić czy przejrzeć jego biurko? - zapytała, ucinając tym rzeczowym wstępem wszelkie ewentualne kondolencje.

- I jedno, i drugie - odparł Szczęsny obserwując ją nieznacznie, lecz uważnie.

Wysoka, bardzo ładna blondynka w szarym angielskim kostiumie, o włosach splecionych w duży węzeł. Na prawej ręce szeroka złota bransoleta. W oczach - chłód i opanowanie.

- Jeżeli pani pozwoli, wpierw chciałbym zobaczyć biurko i w ogóle cały pokój, w którym spał i pracował.

Wprowadziła go do niewielkiego gabinetu. Stał tam tapczan jednoosobowy, biurko, okrągły stół na środku i parę ładnych drobiazgów w ludowym stylu.

- Z ilu pokoi składa się to mieszkanie? - spytał kapitan, nie znajdując w gabinecie żadnych śladów kobiecych drobiazgów.

- Z dwóch. Mój pokój jest obok. Po drugiej stronie kuchnia, łazienka i służbowy.

Szczęsny podszedł do biurka. Szuflady były otwarte. Pani Renata usiadła na brzegu tapczanu, głęboko zaciągając się papierosem.

- Czy to pan prowadzi śledztwo? - zapytała. W głosie jej wyczuł stłumiony szloch.

Odszedł od biurka, usiadł przy niej i łagodnie ujął za rękę. Przelotnie pomyślał, że przecież i ona może być wplątana w zbrodnię. Cóż wiedział o ich pożyciu

małżeńskim... o rozmowach, prowadzonych w późnych nocnych godzinach, o jakiejś

- być może - sprzeczce sprzed paru dni... liście, który przeczytał nie adresat,

kwiatkach, które jednemu z nich nie były przeznaczone...

Zaczęła mówić szybko, dużo - nie pytana. Więc byli dobrym, kochającym się małżeństwem. Łączyło ich wiele wspólnych zainteresowań, wiele wspólnie

przeczytanych książek, oglądanych sztuk i filmów. Mieli niedużo czasu dla siebie w ciągu pracowitego dnia i może właśnie dlatego nie było w ich pożyciu kłótni, sporów, gniewu. Ufali sobie wzajemnie, było im dobrze razem.

Czy Janek miał wrogów? Mój Boże, chyba nie... Mógł ich mieć co najwyżej w środowisku lekarskim, gdzie zazdrozczono mu sukcesów i dobrego stanowiska w szpitalu. Kogo podejrzewa? Nikogo. Nie potrafi wymienić nazwisk, czuła jednak zawsze tę zawiść zawodową, która wyzierała z jakichś półsłów, plotek, niechętnych spojrzeń.

Kto u nich bywał najczęściej? No, profesor Szczerbiński z żoną, doktor Goldberg, Żytnicy, mecenas Chmura... doktor Aster. Poza tym koledzy z teatru, paru dziennikarzy, filmowców.

62

- Proszę pani - Szczęsny podał jej papierosy - czy w ostatnich tygodniach, a może i miesiącach, nie zauważyła pani u męża jakiejś zmiany w usposobieniu?

- Tak. Był wyraźnie zdenerwowany, roztargniony, miał nawet z tego powodu pewne kłopoty w szpitalu.

- Kłopoty?

- Widzi pan, ostatnio Janek bardzo przejmował się krytyką - uwagami krytycznymi - kolegów czy profesora. Wystarczyło nawet żartem powiedzieć, że źle przeprowadził operację, a już się unosił, dyskutował, brał te rzeczy na serio... Jakies dwa tygodnie temu dość mocno posprzeczał się z Astrem, który zarzucił mu błąd w diagnozie.

- Czy nie zna pani przyczyny tego zdenerwowania? Renata zamyśliła się.

- Myślę, że był po prostu przepracowany. Chcieliśmy kupić samochód i Janek wziął jeszcze półtęty w klinice chirurgicznej.

- Czy mąż nie wspominał nigdy, że miał jakiś spór z pielęgniarzem? Czy nie wymienił przy tym jakiegoś nazwiska?

- Z pielęgniarzem? - zdziwiła się. - Nie, nigdy. Kiedyś, opowiadając mi o ciekawej operacji, zaznaczył tylko mimochodem, że przyjęto do szpitala nowego pielęgniarza, który ma protekcję z Ministerstwa Zdrowia.

- Chyba Wydziału Zdrowia?

- Może.

- Jak się ten pielęgniarz nazywa?

- Och, nie pamiętam... głowa mnie boli - poskarżyła się dotykając palcami skroni.

Wstała i zbliżyła się do stolika obok tapczanu. Otworzyła małą szufladę, pogrzebała w niej i wyjęła białą tabletkę.

- Przepraszam na chwilę, muszę czymś popić proszek.

- Jeszcze tylko jedno pytanie: od kiedy mąż zażywał środki nasenne?

Popatrzała na niego ze zdziwieniem.

- Środki nasenne? Ma pan na myśli luminal czy wero-nal? Nigdy tego nie brał... o ile wiem.

63

Wyszła do kuchni.

Szczęśny szybko podszedł do otwartej szuflady. Wśród papierków i pudełek bieliło się na spodzie kilka okrągłych tabletek. Zebrał je, zawinął w chusteczkę i schował do kieszeni.

Półtoragodzinne przeglądanie biurka nie dało właściwie żadnych rezultatów.

Wreszcie Szczęśny zakończył swoje czynności, wstał i wyszedł na korytarz, aby pożegnać panią Renatę, do której w międzyczasie przyszło kilka osób z rodziny.

Kiedy podawała mu rękę, zauważył od niechcenia:

- Jaką piękną ma pani bransoletę! Złota, prawda?

- Złota. Gwiazdkowy prezent od Janka. Kupił ją na placu Konstytucji, u „Jubilera”.

- Czy może mi ją pani na chwilę pokazać? - zapytał uśmiechając się z zażenowaniem.

- Mam... chciałbym coś podobnego kupić żonie na imieniny.

- Proszę. Ale to droga rzecz - odparła zdziwiona. Niechętnie podała mu bransoletę.

Jeden rzut oka pozwolił Szczęsnemu stwierdzić, że było to rzeczywiście złoto.

- Bardzo dziękuję. Do widzenia!

Renata zamknęła za oficerem drzwi wejściowe i wolno zawróciła do pokoju.

Cóż za nietakt! - myślała. - W takiej chwili rozmawiać ze mną o biżuterii i prezentach dla swojej żony. A wydawał się delikatny i nawet miły...

*

Biały Kapitan wrócił do komendy. W swoim gabinecie na biurku znalazł telefonogram z Krosna.

pielęgniarka Karol Michalski nieznaną w szpitalu numer dwa ani numer jeden stop nie odnaleźliśmy dotychczas śladów jego pobytu w Krośnie stop może chodzi o Krosno Odrzańskie stop komendant powiatowy Czubek.

Szczęśny podumał chwilę nad depeszą i połączywszy się z centralą, rozkazał wysłać identycznej treści noty do wszystkich pozostałych Krosien, jakie jeszcze w Polsce się znajdują. Bogiem a prawdą, nie wierzył już w autentycz-

ność wystawionego świadectwa. Należało jednak wyczerpać wszystkie możliwości.

Zadzwoił do szpitala, poprosił lekarza dyżurnego i zapytał, czy pielęgniarka

Michalski nie zgłosił się do pracy. Przy telefonie był doktor Goldberg. Powiedział:

- Chwileczkę, pójdę sprawdzić...

Trwało to jednak tak długo, że Szczęśny, zniecierpliwiony, już miał odłożyć

słuchawkę i połączyć się po raz drugi, kiedy usłyszał niski, nosowy głos Goldberga:

- Jest pan tam jeszcze, kapitanie?

- Jestem i czekam - odparł Szczęśny. - Dowiedział się pan?

- Tak. Michalskiego nie ma i nie było od tego ranka, kiedy zwolnił się na jeden dzień.

Portier jest uprzedzony, aby w razie jego powrotu natychmiast dać mi znać. Czy mam pana wtedy zawiadomić?

- Tak, proszę zadzwonić do komendy. Gdyby mnie nie było, niech pan zostawi wiadomość u dyżurnego oficera.

- Przyjeliśmy dziś nowego pielęgniarkę, nazywa się Słupski - dodał jeszcze Goldberg.

- Chce pan z nim porozmawiać?

- Nie, on mnie nie interesuje. Do widzenia!

Odłożył słuchawkę i wyszedł z pokoju. W gabinecie szefa wydziału, majora

Daniłowicza, paliło się jeszcze światło. Major pracował. Szczęśny ominął jego drzwi i poszedł dalej. Na zakręcie korytarza zaszalutował mu młody kapral milicji.

- Towarzyszu kapitanie, sierżant Wiązek jest już na miejscu.

- Nazywa się teraz Słupski, tak? - zapytał Szczęśny z uśmiechem. - Oby się tylko nie skompromitował jako pielęgniarka.

- Myślę, że nie. Przeszedł u nas przecież kurs Czerwonego Krzyża, zastrzyki robi jak stary felczer.

- To dobrze. Dla was mam równie interesujące zadanie. Przebierzecie się po cywilnemu i na kilka dni... może zresztą i na dłużej, to się jeszcze okaże, wynajdziecie sobie jakieś zajęcie na ulicy Rozbrat, obok numeru dwunastego.

64

65

Do obserwacji: mieszkanie numer osiem, a przede wszystkim jego lokatorka, pani Renata Lubicz-Kępińska.

- Żona tego doktora? Właściwie, to już wdowa...

- Tak. Aktorka i reżyser teatralny. Wysoka, jasna blondynka. Bardzo ładna. Wszystko, co się da, o niej, o zmarłym, o rodzinie... Kto ją odwiedza i tak dalej. Tam jest stara gosposia. Przychodzi mi w tej chwili na myśl... - Szczęsny zawahał się. - Uważajcie, żeby im się co nie stało.

- Rozumiem. Obserwować i czuwać.

- Tak. W razie czego zaraz mnie poinformujcie. Tu albo w domu.

Szczęsny zawrócił do swego gabinetu, otworzył wysoką żelazną szafę i wyjął z niej grubą teczkę. Położył ją na biurku i zapaliwszy papierosa, wolno przerzucał kartki protokołów i notatek.

Na okładce teczki napisane było „Sprawa Zadrożnego”. Tajemnicze, do dziś dnia nie wyjaśnione morderstwo kierownika sklepu komisowego... Niejedną noc przesiedział nad protokołami zeznań, niejedną dzień spędził na tropieniu nieznanego przestępcy.

I nic. Żadnego śladu, żadnego znaku, który by go naprowadził na właściwą drogę.

Jeden z dzienników zamieścił niedawno na temat tego morderstwa ironiczny felieton pod wiele mówiącym tytułem: O sprawności MO słów kilkoro...

Przerzucił parę kartek. Jerzy Cichoń. smukły, przystojny ekspedient, otrzymał półtora roku więzienia za nielegalny handel złotem. Czy to on zabił? Prokurator do tej pory waha się z oskarżeniem. Brak dowodów, są tylko poszlaki, przypuszczenia.

Zawadzki... młoda kasjerka, jakże ona się nazywała? Aha, Tomczakówna... i ten inwalida-niedojdą, co tak lubi jabłka...

Nic. Żadnego śladu, żadnych wrogów czy współników Zadrożnego. Nic, oprócz...
Szczęsny otworzył szarą kopertę, dołączoną do teczki, i wyjął z niej maleńką szklaną
płytkę. Uniósł w górę i popatrzał pod światło, mrużąc oczy. Na płytce naklejony był
mikroskopijny kawałeczek czegoś, co na pierwszy rzut

66

oka nie dawało się w ogóle określić. Strzęp papieru? Drzazga? Okruch zwiędłego
liścia?...

Był to płatek skóry ludzkiej z trzema - pod szkłem powiększającym tylko
widocznymi - włoskami i dwoma ciemnymi pręgami tatuażu. Krótki, fachowy
komentarz na kartce papieru objaśniał, iż Zakład Medycyny Sądowej rozpoznał skórę
jako ludzką, zerwaną prawdopodobnie z ręki mężczyzny o ciemnych włosach, w
średnim wieku.

Szczęsny raz jeszcze sięgnął po raport sierżanta Ka-mińskiego. Było w nim wyraźnie
napisane, iż żadna z zatrzymanych wówczas i badanych osób nie miała na rękach
zadrapania.

Żadna. A więc i Cichoń nie, ani tamci... Może więc ten strzępek skóry tkwił w rogu
szafki już przed zabójstwem. Kto miał dostęp do małego pokoiku za sklepem? Mógł
zachodzić tam czasem któryś z klientów czy dostawców Zadrożnego. Obok szafki
była umywalnia, jeżeli ktoś mył ręce i zagiął rękawy koszuli, a potem - odwracając
się szybko, z jakiegoś tam powodu - otarł ręką o szafę... To prawda. Strzępek skóry
może nie mieć nic wspólnego ze zbrodnią.

Ciemnowłosa mężczyzna w średnim wieku. Psiakrew, wspaniały rysopis! Połowa
mężczyzn w Warszawie może tak wyglądać. A czyż to zresztą musiał być
mieszkaniec Warszawy? Może przyjechał z Poznania, Gdańska, Krakowa... Koziej
Wólki.

Zadrożny umiał kryć swój proceder. W jego papierach nie pozostał ani jeden adres
czy nazwisko, które nasuwałoby podejrzenie wspólnego handlu złotem. Ot,
paręnaście adresów i telefonów znajomych, u których bywał z żoną i którzy
prawdopodobnie bywali u nich w domu. Kilka osób z centralnego zarządu, z
wydziału handlu, jakaś para malarzy, jakiś lekarz... zaraz, jak ten lekarz się nazywał?

W jednej z kopert znajdowały się dwa notesy zmarłego kierownika sklepu. Szczęsny przewertował dokładnie pierwszy, zanim w drugim, na samym początku, odnalazł drobnym, wyraźnym pismem adres i nazwisko lekarza: dr Jan Kępiński, Rozbrat 12 m. 8. Przypadek czy powiązanie? Może prosta znajomość, a może - pierwszy ślad.

67

Nagle drgnął i przyjrzał się bliżej. Przy nazwisku była maleńka, z trudem widoczna cyferka: 9.800. Dziewięć tysięcy osiemset złotych. Za co? Jeden z nich był drugiemu winien albo też coś zapłacił. Co mógł kupić doktor Kępiński od Zadrożnego - bo to było prawdopodobniejsze. Co mógł kupić zamożny lekarz, który ma ładną żonę, artystkę, od człowieka handlującego biżuterią? Powiedzmy, że złotą bransoletę. Tę, którą pani Renata miała dziś na rękę.

Parę dni temu Szczęsny był świadkiem - w zupełnie innej zresztą sprawie - rozmowy, prowadzonej przez wywiadowcę Komendy Głównej z kierownikiem sklepu „Jubiler” na placu Konstytucji. Przy tej okazji obaj oficerowie oglądali szczegółowo wyroby ze złota. Kierownik uskarżał się na skąpy asortyment i mały wybór towaru, jaki otrzymuje z centrali. Jako przykład podawał brak szerokich, ładnych bransoletek ze złota, zamiast których od dawna przysyłają mu tylko wąskie, dużo tańsze, tak zwane „plecionki”. Na to Szczęsny zwrócił mu uwagę, że w oknie wystawowym leżą przecież dwie szerokie bransolety.

- Bo nareszcie je wywalczyłem - odparł kierownik z dumą. - Dopiero tydzień temu przysłali mi parę sztuk. Ale to wszystko „mucha”. Szerokich nie było w centrali od wielu miesięcy, chyba od jesieni. Mógłbym je natomiast kupić bez trudu na czarnym rynku. Rzecz jasna, cena byłaby o wiele wyższa.

Nie ulega wątpliwości, że doktor Kępiński kupił bransoletę od Zadrożnego. No i co z tego? Fakt pewnych transakcji handlowych pomiędzy lekarzem a kierownikiem nie naświetla bynajmniej osoby zabójcy.

Zabójcy... obydwóch? Skąd ta myśl... A nóż? Te same ciosy, to samo narzędzie zbrodni... Czy na pewno to samo?

Szczęsny zerwał się od biurka i zaczął chodzić szybkimi krokami po pokoju. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta w nocy. Zawahał się, wzruszył ramionami i

podszedł do telefonu.

Doktor Stern nie spał jeszcze.

- Proszę wybaczyć, doktorze, późną porę... chciałem pana zapytać o coś bardzo dla mnie ważnego. Czy to pan przeprowadzał dziś sekcję zwłok chirurga Jana Kępińskiego?

68

- Tak - odparł Stern. - Ustaliłem obecność w ciele dość dużej dawki luminalu. Zabito go we śnie. Poza tym nic szczególnego. Przykra sprawa, bo to był mój kolega.

- Doktorze, czy pamięta pan sekcję, którą robił pan w styczniu tego roku, po zabójstwie kierownika sklepu komisowego na Nowym Świecie?

- W styczniu? - Stern milczał przez chwilę. - Zimą miałem sporo roboty. Jak on się nazywał?

- Zadrożny. Ja byłem przy...

- Ach, zaraz! - przerwał mu lekarz. - Już wiem. Kilka paskudnych ciosów w szyję i kark nożem. Zabierało go Pogotowie, zmarł w szpitalu.

- Tak. Chodzi mi o taką rzecz: czy nie uderzyła pana zbieżność pomiędzy obu morderstwami? Zbieżność w metodzie i w użyciu narzędzia?

- Rzeczywiście... teraz, jak pan mi to podsunął, widzę, że tu i tam użyto prawdopodobnie takiego samego noża.

- Albo: tego samego, doktorze!

- Zaraz, zaraz... nie tak ostro, kapitanie. W sklepie było morderstwo wybitnie rabunkowe, a tutaj... czyja wiem zresztą? W każdym razie podobieństwo metody i narzędzia jest zaskakujące.

- Właśnie!

Obaj milczeli chwilę, myśląc o tym samym.

- Ma pan jakiś ślad? - ostrożnie zapytał doktor Stern. Wiedział, że Szczęsny nie znosi takich pytań.

- Minimalny. I być może, do niczego nieprowadzący... Ano, zobaczymy. Dobranoc, doktorze.

- Myślę, że jest pan w tej chwili na dobrej drodze. Dobranoc.

Biały Kapitan w zamyśleniu wsunął rękę do kieszeni i znalazł w niej coś zawiniętego w węzełek. Wyciągnął to „coś”, zdziwiony. Ale była to przecież jego własna chusteczka, w którą zawinął białe tabletki z pokoju doktora Kępińskiego. Przyjrzał im się, posmakował jedną ostrożnie i skrzywił się. Prawdopodobnie zwykłe proszki od bólu głowy. Albo też...

Zastanawiał się przez chwilę. Potem wsunął tabletki do szuflady biurka. Dziś było już za późno na analizę proszków.

69

Zastukano do drzwi. Dyżurny milicjant przyniósł trzy telefonogramy. Z Krosna Odrzańskiego, Olsztyńskiego i Poznańskiego, koło Śremu. Wszystkie trzy zawierały podobną treść. Żaden pielęgniarz Michalski w tamtejszych szpitalach nie pracował i nie pracuje.

Szczęśny raz jeszcze zadzwonił do szpitala, choć właściwie było to zbyteczne. Mieli go zawiadomić, poza tym czuwał tam przecież milicyjny „anioł stróż” w osobie sierżanta Wiązka vel pielęgniarza Słupskiego.

Doktor Goldberg był na sali operacyjnej, więc telefon odebrała jedna z pielęgniarek. Nie, Michalskiego nie było. Jak przyjdzie, to zadzwonią, doktor już zaalarmował cały personel.

- Winszuję... - mruknął Szczęśny. - Teraz to już Michalski na pewno się nie zjawi.

Cóż za nadgorliwiec z tego Goldberga!

- Serdecznie dziękuję! Pan kapitan jest bardzo grzeczny - odparła wzruszona pielęgniarka. - Ale skąd się pan dowiedział?

- O czym? - spytał ze zdumieniem.

- No, że dziś moje imieniny. Nie spodziewałam się, że nawet milicja będzie mi winszować.

- A... ach, tak! Naturalnie. Widzi pani, milicja wszystko wie. Nawet o imieninach.

- Nie pleć, Biały Kapitanie! - usłyszał za swymi plecami dudniący głos Daniłowicza.

- Gdybym to ja naprawdę wszystko wiedział, ha! nie byłoby przestępców na świecie. Szczęśny z uśmiechem odłożył słuchawkę.

- Nawet przez pięć minut nie mogę gadać głupstw? -zapytał z oburzeniem.

Przeciągnął się, aż chrupnęło w stawach, i sięgnął do kieszeni swego szefa, wyciągając stamtąd papierosy.

- Mógłbyś to robić sprawniej - burknął major sadowiąc się w fotelu. - Nie masz w sobie żadnego złodziejskiego treningu. Poza tym wypaliłeś mi w ostatnim tygodniu dwa pudełka mielników, a to są moje ulubione papierosy.

- Czy wiesz, stary, że zdaje się, wpadłem na trop? -Szczęsny lekceważąco ominął kwestię papierosów. - Pa-

70

miętasz morderstwo kierownika sklepu komisowego, Andrzeja Zadrożnego?

- Czy pamiętam? Do tej pory Komenda Główna wierci mi dziurę w brzuchu, że nie schwytaliśmy zabójcy. Powiedziałem im wczoraj: umyłam ręce i odczepcie się! Niech się teraz zwracają tylko do ciebie. Ty prowadzisz śledztwo, nie ja. Ty będziesz wisiał na suchej gałęzi, jak tego nie rozplączesz... Znalazłeś ślad?

- Nitkę. Wspólną nitkę. Myślę, że zaprowadzi mnie do kłębka.

- Żebyś się tylko tą nitką nie udławił. Może raczysz mnie wtajemniczyć w swoje kłębki?

- Posłuchaj, Stefan...

Gdy wychodzili z komendy, było już dobrze po północy. Na mokrym od deszczu asfalcie odbijały się rzadkie światła latarni.

- Ciemno jak u Murzyna w brzuchu, niech to szlag trafi! - sarknął major poprawiając na nosie okulary. - Mogliby raz wreszcie zacząć tę stolicę po ludzku oświetlać.

- A w „Przeglądzie Kulturalnym” napisali, że nawet w powieściach kryminalnych powinny być problemy ekonomiczne - powiedział Szczęsny, na pozór bez związku.

-Poradź temu młodemu literatowi, co do ciebie przychodzi, żeby napisał, jak wskutek złego oświetlenia - problem ekonomiczny! - gdzieś tam popełniono morderstwo.

- W nosie mam literata. Oddaj papierosy!

- Och, jaki zły szef! Zły, skąpy... Papierosy od dawna masz w kieszeni.

- Naprawdę? - major przystanął i pomacał się po mundurze. - Masz jednak złodziejski trening.

- Sam je wsadziłeś do kieszeni, jeszcze w komendzie. Starzejesz się!

Roześmieli się. Obaj byli w równym wieku.

71

ROZDZIAŁ V

Jasnowłosa, dobrze ubrany mężczyzna o śniadej twarzy wszedł do sklepu komisowego na Nowym Świecie.

Od niechcenia rzucił okiem na telewizory, skrzywił się nad krawatami i zatrzymał na chwilę przy wiecznych piórach. Sprzedawca ocenił go krótkim, lecz wytrawnym spojrzeniem i postąpił za ladą pół kroku. Pół kroku, oznajmiającego życzliwość i gotowość do zawierania większych transakcji.

Jasnowłosa ze znużoną miną sprawdził zawartość dobrze wypchanego portfela.

Sprzedawca zrobił jeszcze pół kroku. Na więcej nie było miejsca. - Parker?

Waterman? Mont Blanc?

- Colombo? - odparł przybysz pytająco. Ekspedient uniósł brwi z szacunkiem.

- Nie mieliśmy jeszcze. Może w przyszłym tygodniu. Szczęsny powstrzymał uśmiech. Ciekawe, czy istnieją gdzieś na świecie pióra colombo.

- Nie ma pana Jerzego?

- To znaczy... o kogo panu chodzi?

- Taki wysoki, przystojny ekspedient. Kupowałem u niego kiedyś - hm, pewne rzeczy. Potrzebuję tego samego.

Sprzedawca westchnął. Zniżył głos do szeptu.

- Uniemożliwiono mu działanie - odparł.

- Nie ma towaru?

- Nie o to... Odebrano mu wszelką inicjatywę. Marnuje się chłopak, ze szkodą dla społeczeństwa.

- Mówże pan po ludzku! - zniecierpliwiał się Biały Kapitan. - Gdzie on jest?

- Siedzi.

- O, cholera! I za cóż to?

Sprzedawca popatrzał na niego podejrzliwie.

- Nic pan o tym nie słyszał?

- Tydzień temu wróciłem z zagranicy. Za co on siedzi?
- Drobne nieporozumienia. Z milicją, widzi pan, trudno dojść do ładu. Pan z nią nigdy nie tego? - wykonał nieokreślony gest w powietrzu.
- Jakoś nie zdarzało się.
- To ma pan szczęście. Tu była wielka awantura, jeszcze w styczniu. Zabito kierownika sklepu. Posądzono Cichonia, znaczy się Jerzego, ale nie było żadnych dowodów. Bo oni razem kombinowali. Podobno mieli skrytkę w ścianie tam, w pokoiku. Potem zmieniono cały personel sklepu. Wtedy ja tu przyszedłem z Marszałkowskiej.
- To Jerzy siedzi - powiedział Szczęsny w zadumie. -No, a gdzie się podzieli inni? Był tu jeszcze drugi ekspedient, taki nieduży, tęgi...
- Zawadzki. Poszedł na moje miejsce. Kasjerkę wzięto do centrali. Nawet posługacza mamy innego. Zresztą tamten to był inwalida. Ktoś mówił, że teraz i na drugie oko zaniewidział.
- Został bez pracy? Biedny człowiek, Ach, te nasze czasy!
- Prawda? Coś strasznego, co się wyprawia... Proszę, może pan zapali? A brakoróbstwo jakie okropne! Panie, aż wstyd! Patrz pan, nawet te zapalki - usiłował zapalić - o, trę i trę... co trzecia się zapala. Trę - i nic!
- Zwłaszcza gdy się pociera odwrotną stroną - zauważył Biały Kapitan, rzuciwszy przelotne spojrzenie na jego palce.
- Co? Ach, rzeczywiście! - ekspedient zmieszał się. -Wszystko jedno, i tak są złe. Więc... gdyby pan życzył sobie - obejrzał się; dwaj pozostali sprzedawcy zajęci byli klientami - miałbym może podobne rzeczy jak pan Ci-choń. Tylko to trochę więcej dziś kosztuje. Pan rozumie, ryzyko, milicja i tak dalej. Ale cóż dla pana znaczy tych parę tysięcy! Ja człowieka od razu poznam. Na wylot.
- To niezwykle - powiedział Szczęsny z głębokim szacunkiem. - Mnie się to niestety nieczęsto udaje. A przydałaby mi się taka zaleta w pracy zawodowej.
- Pan robi w handlu?

- Och, ja... podejmuję się tylko większych spraw. Im trudniejsza, tym bardziej mnie pociąga. Zna pan ten nawyk?

- Cóż, mój Boże, ja raczej dotychczas... Ale w pełni rozumiem i podziwiam wielkich działaczy na niwie handlowej. Może będzie pan miał kiedyś możliwość zainteresować się bliżej moją skromną osobą?

- Z tego, co usłyszałem dziś od pana, to nie wątpię -odparł Szczęsny z całą szczerością. - Przystępując do rzeczy: czy nie ma pan szerokiej złotej bransolety?

- W tej chwili nie, ale mogę się postarać. Widzi pan -roześmiał się - odziedziczyłem, że tak powiem, niektóre znajomości po nieboszczyku Zadrożnym. On sprzedawał takie bransolety przez całą zimę. To znaczy, do owej tragicznej nocy...

- W jakiej cenie?

- Różnie. Zależnie od wagi i jakości. W granicach, o ile pamiętam, od dwóch do sześciu tysięcy. Miał przez jakiś czas piękne bransolety po dziewięć tysięcy osiemset złotych, zdaje się.

- Ile? - Szczęsny przymknął oczy, aby nie zdradzić ich przelotnego błysku.

- Dziewięć tysięcy osiemset. Warte były tego.

- Nie wątpię. Coś takiego właśnie by mnie interesowało. Proszę, to moja wizytówka, żeby pan nie miał wątpliwości czy obaw.

Na małym, prostokątnym kawałku brystolu wydrukowane było: Mr Anthony Sliwinsky, 16A Queens Gardens, London.

- Mój Boże, z samego Londynu! - rozczulił się nie wiadomo czemu sprzedawca. - Cudowne miasto. A ludzie! Bogactwo, kultura...

- Dawno pan był?

- Nie, ja... tak, z filmu, z książek.

- Miasto mgliste i zakopcone, ludzie jak wszędzie -Szczęsny wylazł na moment ze skóry spekulanta. Przygryzł wargi. - Wszędzie dobrze, gdzie zarobić można.

- Panie! Miałem niedawno indyjskie szmaragdy. Prosto z Odessy. Przywiózł mój znajomy, dyrektor pewnej insty-

74

tucji. I platynę miałem! Dziesięć łańcuszków. Na kiedy przygotować bransoletę?

- Będę tutaj pod koniec czerwca. Ale poproszę o zwrot wizytówki, bo niechby tak i pana przyskrzynili, to mógłbym mieć nieprzyjemności.

- Służę panu. Niech pan w złą godzinę nie wymówi! Wyszedłszy na ulicę, Szczęsny wstąpił do kawiarni

„Nowy Świat”. Zamówił małą czarną, wyciągnął z kieszeni „Życie Warszawy” i pobieżnie przeglądał wiadomości. Jak przystało na rasowego spekulanta, ominął polityczne, zatrzymując się na ogłoszeniach.

Nagle ręka, którą podnosił do ust filiżankę z kawą, drgnęła tak silnie, że kilka kropeł brunatnego płynu spadło na stół. Chrząknął i napotkawszy zdziwiony wzrok przechodzącej kelnerki, uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Mam reumatyzm, proszę pani - powiedział, gdy w pełnym nagany milczeniu wycierała stół ściereczką. - Czasem złapie mnie taki krótki, ostry ból, że aż ręka drgnie.

- Nic nie szkodzi, już wytarłam.

Gdy odeszła, powrócił do gazety. Obok drobnych ogłoszeń rzucał się w oczy dwuszpaltowy nekrolog:

Śp. Karol Michalski, pielęgniarz, zmarł 3 czerwca br., przeżywszy lat 47.

Wyprowadzenie zwłok z kaplicy na cmentarz na Powązkach odbędzie się 6 czerwca o godzinie 11, o czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku - żona, syn i rodzina.

Szczęsny odłożył „Życie Warszawy” i nerwowo zapalił papierosa. W tej chwili nic już nie rozumiał. Michalski umarł?!

Całe dotychczasowe śledztwo wskazywało na to, że pielęgniarz sfalszował świadectwo, podał mylny adres, wkręcił się do szpitala drogą wyimaginowanej protekcji - jednym słowem, zrobił wszystko, aby pozacierać później za sobą ślady, w jakimś jednym, jemu tylko wiadomym celu. Prawdopodobnie w celu zabicia doktora
75

Kępińskiego. Powód morderstwa pozostawał dotąd najgłębszą tajemnicą.

Ale w takim razie cóż znaczyło ogłoszenie? I ta żona, syn, rodzina podpisana w nekrologu! Co oznaczało to raptowne zrezygnowanie z konspiracji i jak rodzina

wy tłumaczy dotychczasowe... Och! Cóż za idiota ze mnie! Przecież już wpół do dwunastej...

Zerwał się od stolika, podłożył pod filiżankę cztery złote i nie czekając na resztę, spieszenie wyszedł z kawiarni. Cmentarz na Powązkach - toż to kawał drogi, gotów przyjechać po wszystkim, a wówczas szukaj wiatru w polu! Skinął na przejeżdżającą taksówkę, ale kierowca patrzył gdzieś w przestrzeń, jak patrzy wszyscy warszawscy kierowcy, gdy nie mają ochoty na jazdę z pasażerem.

Wrócił do kawiarni. Na dole w hallu był telefon. Szybko wyminął starszą panią, zdążającą w tym samym kierunku, i zajął kabinę tuż przed jej rozgniewanym nosem. Połączył się z komendą.

- Tu Szczęśny. Wóz natychmiast! - rzucił w słuchawkę. - Przed kawiarnię „Nowy Świat”.

- A jak żadnego nie znajdę? - zapytał na wszelki wypadek porucznik Kręglewski.

- To urodź. Za pięć minut muszę mieć samochód.

- Wezmę majorowi, dobrze? Będzie na ciebie - ucieszył się Kręglewski. Miał ostatnio na pieńku z szefem wydziału. Zabranie Daniłowiczowi wozu w samo południe było srogą zemstą.

- Rób, co chcesz. Ale pośpiesz się.

Dokładnie za siedem minut przed kawiarnię zajechała ciemnozielona warszawa.

Oczywiście był to samochód majora; Kręglewski nie omieszkał wykorzystać okazji.

- Na Powązki! - mruknął Szczęśny sadowiąc się obok szofera. - Ale nie zajeżdżajcie przed samą bramę.

Gdy Biały Kapitan podchodził do kaplicy cmentarnej, schodami wysypywał się właśnie malutki orszak pogrzebowy. Przodem szedł chłopiec z krzyżem i chudy, blady ksiądz, czterech czarno ubranych mężczyzn niosło trumnę, za którą postępowało w milczeniu kilka osób. Była

wśród nich kobieta w ciężkiej żałobie, z twarzą zasłoniętą krepeą; prowadziła za rękę może dziesięcioletniego chłopca z czarną opaską na lewym rękawie. Starszy, siwy kolejarz niósł skromny wieniec, ktoś tam jeszcze wiązanek ciętych kwiatów.

Szczęśny poczuł się nieswojo w swym jasnopopielatym, eleganckim garniturze, toteż

postępował w sporej odległości za konduktem.

Wreszcie ceremonia pogrzebowa skończyła się, odszedł ksiądz i grabarze. Rodzina zmarłego zatrzymała się przed bramą cmentarza, po czym po uściskach i pożegnaniach kobieta w żałobie wraz z dzieckiem wolnym krokiem skierowała się w stronę miasta, widocznie zamierzając iść pieszo.

- Przepraszam panią - Szczęsny zawahał się, jak rozpocząć rozmowę - wiem, że chwila jest nieodpowiednia... chciałbym jednak zamienić z panią parę słów.

Kobieta zatrzymała się, odsłoniła krepę i spojrzała na mówiącego. Twarz jej miała wyraz zdecydowany.

- Nic nie płacę! - powiedziała stanowczo. - Niech się pan od razu pożegna z pieniędzmi. Dałam, chwała Bogu, ogłoszenie do trzech gazet na rok przed jego śmiercią. Nic nie płacę i skończone. Za długi nieboszczyka nie odpowiadam. Niech się cieszy, że mu uczciwy pogrzeb wyprawiałam, z księdzem i kwiatami. Taka łajza zapowietrzona... Wacuś, idź naprzód, nie słuchaj! Taki pijak, cholera, całe noce chlał tylko i chlał wódkę, a ja sobie ręce urabiałam, żeby to dziecko nieszczęśliwe, tę sierotę biedną... - rozpląkała się i sięgnęła do torebki po chustkę. - O Boże, mój Boże, co ja przez tego drania... żeby on z piekła nie wyszedł! Wacuś, idź naprzód - żeby go robaki zeżarły...

- Chwileczkę - powiedział Szczęsny oszołomiony - ale ja nie w sprawie długów.

- Nie o długi? - Wytarła nos i spojrzała na niego nieufnie. - No, to o co?

- Chciałem zapytać... gdzie państwo mieszkacie? Na jakiej ulicy?

- Na Tamce. A o co chodzi? Pan może z kwaterunku? Nic z tego, już siostrzeńca zameldowałam. Zagęszczenie jest.

76

77

Oficer zrozumiał, że w ten sposób się nie dogada. Postanowił więc mówić otwarcie.

- Nie jestem z kwaterunku, tylko z milicji.

- Iii... - obrzuciła go drwiącym spojrzeniem. - Milicja to golce, a pan ubrany jak hrabia!

- Czy woli pani rozmawiać ze mną w komisariacie?

- O Boże! - krzyknęła załamując ręce, przy czym torebka upadła jej na ziemię. -
Dziękuję panu - otrzepała ją z kurzu. - Cóż on znowu zmalował przed swoją us...
śmiercią? A bodajby umarł z pięć lat temu! Bodajby go robaki...

- Gdzie pani mąż pracował w ubiegłym roku? - Szczęsnemu udało się wtrącić
pytanie.

- Tam gdzie przed śmiercią i od dwudziestu lat. W gazowni.

- W ga... gdzie?

- No w gazowni, przecie mówię po polsku. Na Ludnej. Proszę - pogrzebała w torebce
i wyjęła zniszczoną książeczkę w ciemnej okładce. - Proszę, tu wszystko jest
-podsunęła mu pod nos. - O, ślusarz-mechanik Franciszek Sołtysiak. Proszę, niech
pan ogląda, jak pan taki ciekawy.

Machinalnie wziął do ręki legitymację, wiedząc już, że nastąpiła tu fatalna, a przy
tym obrzydliwie komiczna pomyłka. Z książeczki patrzyła na niego szelmowsko
uśmiechnięta, pijacka gęba jakiegoś Franciszka Sołtysiaka, podczas gdy...

Oddał legitymację, przeprosił i zostawiwszy wdowę zdziwioną, obrażoną i nic nie
rozumiejącą, szybko zawrócił w stronę cmentarza. W kancelarii pokazał nekrolog i
zapytał, kiedy i czy w ogóle odbył się pogrzeb Karola Michalskiego.

Kierownik kancelarii przeczytał uważnie ogłoszenie i zerknąwszy do swoich
papierów, ze zdumieniem potrząsnął głową.

- Coś nieprawdopodobnego! - powiedział do oficera. -Albo pomyłka w gazecie, albo
ktoś komuś zrobił głupi kawał. To się jeszcze czasami zdarza, wprawdzie po wojnie
coraz rzadziej... Ludzie takiego humoru już nie mają. Więc tak: żaden Karol
Michalski nie został u nas dziś ani w po-

przednich dniach pogrzebany. Nie mam też żadnego zawiadomienia na następne dni.

A pan co: krewny, znajomy?

- Znajomy.

- Wie pan co? Niech pan da znać na milicję. Trzeba ludzi oduczyć łobuzerstwa...
choć, komu by się chciało wyrzucać dla żartu tyle pieniędzy! Przecież takie
ogłoszenie kosztuje ze siedemset złotych albo i więcej. Podejrzana sprawa. Niech pan
idzie na milicję. Pójdzie pan? Bo jak nie, to ja zadzwonię na nasz komisariat.

- Na pewno pójdę - odparł Szczęsny.

- No, to dobrze. Bo jakby nie, to ja, tego... - mrucał, raz jeszcze czytając nekrolog. -

A pójdiesz! - krzyknął tak nagle, że Szczęsny odruchowo wyskoczył na korytarz.

Duży, rudy kot poszedł w jego ślady, lepiej rozumiejąc, do kogo się to odnosiło.

- Jedziemy do komendy? - zapytał szofer, kiedy Biały Kapitan usiadł koło niego z nachmurzoną twarzą. - Mnie tam wszystko jedno, ale szef kapitana ochrzani.

.- Nie wasza sprawa. Jedziemy do redakcji „Życia Warszawy”.

- Ja mogę i do „Życia”... ale ochrzani. Mnie tam wszystko jedno. O dwunastej major miał być w ministerstwie. Jak pan kapitan chce.

- Chcę. Jedź do „Życia”.

W dziale ogłoszeń na parterze łysy, nieduży pan w okularach nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała osoba, która płaciła za nekrolog Karola Michalskiego.

- Na kwicie podpisana jest Janina Michalska - rzekł w zadumie - co zresztą niczego nie dowodzi. I mówi pan, że nie było pogrzebu? Dziwna historia! Jeżeli w biurze cmentarnym w ogóle nie zamawiano ani nie opłacono pogrzebu, to znaczy, że sprawa polega tylko na ogłoszeniu.

- Czy nie mogło być omyłki? - zapytał Szczęsny. - Na przykład w dacie albo w nazwie cmentarza. Może pogrzeb odbył się na Bródnie?

Łysy pan zajrzał do kartoteki i wyjął kartkę z treścią nekrologu. Było na niej wyraźnie napisane: Powązki i data - 6 czerwca, godzina 11. Szczęsny okazał swoją legity-

78

79

mację służbową i poprosił o wydanie mu kartki oraz kwitu z podpisem Janiny Michalskiej. Łysy pan skrzywił się.

- Musiałbym wobec tego zostawić sobie odpis kwitu. No, dobrze. Zaraz panu wydaję.

- Nikt z państwa nie przypomina sobie, jak wyglądała ta osoba? - zapytał oficer.

Dwie panie, siedzące pod oknem, potrząsnęły przecząco głowami.

- Mamy tylu interesantów! - szepnęła jedna ze współczuciem, bo podobał jej się przystojny kapitan. - I zazwyczaj codziennie przychodzą nowi. Trudno zapamiętać...

- W każdym razie, gdyby się państwu przypomniało, to proszę bardzo dać mi znać. Zostawił im numery telefonów i poprosił o zachowanie sprawy w tajemnicy do czasu bliższego jej wyjaśnienia.

Gdy Szczęsny wrócił do komendy i wszedł do swego pokoju, odezwał się telefon wewnętrzny. Mówił Daniłowicz.

- Podobno niosłeś wieniec na pogrzebie nieznanego bohatera twoich kłębków? Razem z kolejarzem i żalobną wdową...

- Idź, ty diable! - warknął ze złością Biały Kapitan. -Już ci nagadali?

- Wczoraj zapewniałeś kogoś przez telefon, że milicja wszystko wie. Kto ci dał mój wóz? Kręglewski?

- Naturalnie - odparł Szczęsny z satysfakcją.

- Dostanie po łbie. Musiałem zabrać warszawę pułkownikowi.

- To i ty dostaniesz po łbie. Stefan, skąd się dowiedziałeś? Major zmienił ton.

- Byłem w twoim pokoju, kiedy zadzwonił ze szpitala doktor Goldberg. Przeczytał nekrolog, był zdziwiony i chciał się z tobą porozumieć. Przypuszczając, że będziesz na cmentarzu, posłałem tam milicjanta z komendy dzielnicowej .

- Gdzie on był?

- Szedł w kondukcje. Jako zboleły krewny elektryka z gazowni.

- Ślusarza - poprawił Szczęsny. - Wszystko jedno. To nie ja jeden się nabrałem...

Marna pociecha. Byłem w re-

80

dakcji - nie pamiętają niestety, jak wyglądał ten ktoś, kto dawał ogłoszenie. Na kwiecie podpisana jest Janina Michalska. Jak myślisz, po co ta komedia z nekrologiem?

- Żeby się milicja odczepiła od osoby pielęgniarza Michalskiego. Jasne, nie?

- Nie. Zbyt prymitywne. Facet jest na to za sprytny. Świadczenia z Krosna, telefon z Wydziału Zdrowia, fałszywy adres... Musiał zdawać sobie sprawę, że jak go milicja szuka, to po takim ogłoszeniu ktoś przyjdzie na cmentarz.

- Albo i nie przyjdzie. Umarł, no to sprawa skończona. Rozumuję w tej chwili nie jak pracownik MO, tylko jak w miarę sprytny przestępca. Nie przeceniaj go! Może to

jego pierwsza zbrodnia?

- Wątpię. Stefan, musi być jakiś związek między tą sprawą a zabójstwem kierownika sklepu komisowego, wtedy w styczniu. Musi! Dałbym głowę, że to ten sam człowiek.

- Żebyś nie został bez górnej kończyny. Pomyśl nad motywem zbrodni. Przecież lekarzowi nic nie zabrano.

- Nie wiemy! Właśnie tego na pewno nie wiemy. Nie musiał to być koniecznie zegarek czy portfel. Kępiński mógł mieć przy sobie jakiś kompromitujący dokument, coś, czego dobrowolnie by nie oddał.

Major pomyślał chwilę.

- Więc uparcie twierdzisz, że w obu sprawach działał jeden przestępca. Ha, próbuj dalej! Może twój kierunek jest słuszny. Ja ci się przyznam, że co do zabójstwa w sklepie straciłem już nadzieję.

- A *esperanca e ultima que morre* - jak mawia mój przyjaciel Eugeniusz. Co po polsku brzmi jeszcze ładniej: nadzieja jest ostatnią, która umiera.

- To ten literat, co był ileś tam lat w Brazylii?

- Dwadzieścia. Stefan, daj mi jeszcze dwóch ludzi. Na parę dni, dobrze? Muszę trochę przetrząsnąć stolicę.

Umówili się i Szczęsny spędził dłuższy czas na rozmowie z młodymi absolwentami Szkoły Ekspertów Kryminalistyki. Zaopatrzeni w dokładne wskazówki, co, jak i gdzie mają robić, wystawili nosy na wiatr jak wyżły i wyruszyli na miasto.

81

Biały Kapitan zaś wyciągnął z garażu komendy swój mocno zdezelowany, ale dziwnym trafem jakoś trzymający się motocykl i pognął do Wilanowa. Tłumaczył sam sobie, że czyni to dla odprężenia nerwów. W rzeczywistości chciał uniknąć dalszych ewentualnych pytań, jak to było na pogrzebie...

Późnym wieczorem pielęgniarz Słupski otrzymał dwie godziny wolnego dla załatwienia nie cierpiącej zwłoki sprawy rodzinnej. Ominąwszy jednak beztrąsko ulicę Śniadeckich, na której mieszkał, skręcił w Mokotowską, nie zatrzymując się aż na piątym piętrze wysokiego domu przy Pięknej.

Szczęsny czekał już na niego, choć nie spodziewał się specjalnie ciekawych

informacji. Tak też i było. Słupski powoli, systematycznie - był bardzo dokładny w robocie - zdawał mu sprawę z atmosfery w szpitalu, z rozmów, jakie przeprowadził i jakie słyszał; rzecz jasna, niemal wszyscy bez przerwy rozmawiali o zabójstwie doktora Kępińskiego. Wprawdzie profesor Szczerbiński jak najsurowiej zabronił mówić o tym przy chorych, niewiadomym jednak sposobem chorzy dowiedzieli się i sale, zwłaszcza kobiece, trzęsły się od plotek, przypuszczeń i wniosków. Pod wieczór wielu pacjentów dostało gorączki, niektórzy obawiali się pić herbatę (może zatruta?), a dwie kobiety z nieustalonej bliżej przyczyny pobiły się w łazience.

Po tym fakcie Szczerbiński zadzwonił wprost do generała MO, prosząc, aby milicja, jeżeli już musi, pokazywała się w szpitalu w jakiejś zdecydowanej odmiennej postaci - wszystko jedno: kominiarzy, sióstr zakonnych czy żonglerów, bo inaczej cały porządek tego przybytku chorób diabli wezmą i on za nic nie odpowiada.

To wszystko opowiedział Szczęsnemu pielęgniarz Słupski vel sierżant Wiązek, siedząc w jego mieszkaniu i popijając mocną herbatę.

- Żadnego śladu, jakiegoś słowa czy nazwiska - nic?

- Na razie nic, kapitanie. Obrobiłem już portiera; stary jest łasy na dobry tytoń fajkowy... Może co z niego wyciągnę. Przyuważyłem też sobie taką małą dziewczuszkę, pielęgniar-

gniarkę; nazywa się Andrzejczak. W niedzielę idę z nią na ksiuty, to... tego... - chrząknął i umilkł.

- Lekarze was nie podejrzewają?

- A gdzieżby tam! Ze mnie, kapitanie, naprawdę dobry pielęgniarz, nie bójcie się o nic. Ale, ale! Zapomniałem. Wiecie, tam jest taki doktor Aster...

- Wiem. Był wówczas przy zabitym.

- Tak. Gadałem z dozorcą jego kamienicy. Powiedział mi, że z całą pewnością Astra nie było w domu do północy, że potem przyszedł skądś i może w kwadrans po przyjściu wyleciał jak oparzony w stronę szpitala.

- Siostra Elżbieta dzwoniła do niego po znalezieniu ciała. Widocznie wybiegł tak szybko z domu po otrzymaniu tej wiadomości.

- Ano, tak by wypadało.

- Pytaliście portiera, czy Aster nie przychodził do szpitala gdzieś między godziną dwudziestą a dwudziestą trzecią?

- Pytałem. Ale stary mówi tak: „Lekarzy, to ja tam nie rachuję, ile razy i kiedy wchodzą i wychodzą. Może i był”. Myślę, kapitanie, że Aster mógł wejść poprzednio i wyjść nie zauważony. Albo też... - zawahał się.

- Właśnie! Czy jako etatowy lekarz nie posiadał przypadkiem klucza od głównego lub tylnego wejścia?

- Będę go miał na oku. No, to już pójdę. Jakby co, zadzwonię.

Uścisnęli sobie ręce i wywiadowca znikł za drzwiami. Szczęsny usiadł w fotelu, przerzucił nogi przez poręcz i zamyślił się głęboko. Doktor Aster. Czy to możliwe? Jaki byłby powód zabicia? Jakies zawodowe ambicje, zawiści... zaraz, jak to mówiła pani Renata Kępińska: „Ostatnio mąż posprzeczał się z Astrem, który zarzucił mu błąd w operacji”... czy diagnozie, mniejsza z tym. Przychodził do nich, był jednym z częstszych gości, bliższych znajomych.

Doktor Aster. Przystojny, ciemnooki, starszy pan... Hm. Pani Renata jest bardzo ładna.

Aster dobrze wiedział, kiedy Kępiński ma dyżur i nie będzie go w domu. Przez całą noc nie będzie w domu...

82

83

Ciekawe, czy wywiadowca, który obserwuje mieszkanie na Rozbrat, zdołał już zapoznać się ze starą gospożą.

- Nie! Psiakrew, to mi nie pasuje! - wykrzyknął, zrywając się z fotela i zaczynając szybki spacer dookoła stołu.

Nie pasowało do koncepcji dwóch zbrodni i jednego zbrodniarza - w sklepie komisowym i w szpitalu. Doktor Aster na pewno nie zabił Zadrożnego.

A może... może złota bransoleta na rękę pani Kępińskiej to bynajmniej nie prezent od męża?

Zadzwonił telefon, przerywając Szczęsnemu tok myśli.

- Słucham...

- Ona była ruda! Teraz mi się przypomniało - usłyszał męski głos.
- Kto mówi? - spytał zdziwiony.
- Ja mówię z działu ogłoszeń „Życia Warszawy”. Pan mnie dziś zapytał, jak wyglądała ta osoba, która opłacała nekrolog pielęgniarza Michalskiego. Więc to była ruda kobieta.
- Niewysoka, oczy niebieskie, trochę wytrzeszczone, tak?
- E, to pan już wszystko wie? A ja się ucieszyłem, że pomogę.
- Nic nie wiem - odparł miękko Biały Kapitan - tylko przypuszczam. Jak pan powiedział, że ruda, wyobraziłem sobie resztę. I bardzo dziękuję za informację. Więc to była Irma Szymańska? Cóż za plątanina. Irma i doktor Aster czy Aster i pani Kępińska? Może Michalski to Aster? Nie, to niemożliwe. Cichoń, Aster... Irma?
- Zwariować można! Niedługo zacznę posadzać tego kretyna od jabłek - mruknął. Rzucił się na tapczan i utkwilił oczy w sufit, jakby tam spodziewał się znaleźć rozwiązanie zagadki.

... Ciemnowłosy mężczyzna w średnim wieku, z tatuażem na prawym ramieniu, stanął bezszelestnie w drzwiach. Miał twarz Astra i Cichonia jednocześnie, a zza jego pleców wychylała się ruda pielęgniarka. Trzymała w ręce nóż o krótkim, szerokim ostrzu, ociekającym krwią...

84

Szczesny drgnął i usiadł przecierając oczy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Przespał w ubraniu prawie dwie godziny, w dodatku męcząc się jakimś idiotycznym snem.

Coś go jednak zbudziło. Nie telefon, bo milczał. Jakiś szelest... cóż by to było?

Szelest, jakby od strony drzwi wejściowych.

Zapalił światło i wyszedł do przedpokoju. Na podłodze bielila się kartka, wsunięta widać przez szparę między drzwiami a progiem. Podniósł ją, zaintrygowany, i zaniósł do pokoju. Ale był to tylko raport od młodego wywiadowcy z Rozbrat. Donosił, że na razie nic szczególnego nie zauważył, zdążył jednak wejść w kontakt ze starą Antosią, gospodynią pani Kępińskiej.

- To dobrze - powiedział Szczesny. - To bardzo dobrze.

Ignacy Reszke poruszył się niecierpliwie i przymknął oczy. Żeby już sobie poszła ta ruda, blada pielęgniarka, taka nudna i „niemalarska”, że aż przykro na nią patrzeć. Bo Reszke dzielił ludzi na dwie kategorie, uczciwie rozpatrując wszystkie za i przeciw: na „malarskich”, których mógłby i chciał malować, i „niemalarskich”, których mijał obojętnie, jak uliczne latarnie.

Ruda pielęgniarka miała zawsze nieruchomy, jakby kamienny wyraz twarzy. Ignacy dokuczał jej we właściwy sobie, kpiarski sposób. Nie reagowała, cierpliwie znosząc jego humory i zrzędzenia. Jako stary znajomy profesora Szczerbińskiego i znany malarz, cieszył się w szpitalu wyjątkowymi prawami, czego najlepszym dowodem była separotka, no i często zaglądnąca pielęgniarka.

Pielęgniarka, której nie mógł znieść.

- Cóż za kretyństwo przydzielać mi tak „niemalarską” twarz! - krzyczał w pasji, kiedy Szczerbiński usiłował wytłumaczyć mu, że to jedna z najlepszych sił w szpitalu.

- To daj mi najgorszą, ale żebym mógł na nią patrzeć.

- Pielęgniarki nie są od patrzenia, tylko od zastrzyków - odpowiadał dyrektor, z tym genialnym talentem do zu-

85

pełnego ignorowania wszelkich artystycznych upodobań i fantazji.

I nie zmieniono Army Szymańskiej na inną „siłę”. Kiedy robiła zastrzyki albo pochylała się nad nim, mierząc temperaturę, Reszke odwracał oczy w bok. Nocami wymyślał dla niej rozmaite straszliwe tortury, wobec których inwencja Torquemady była dziecinną igraszka, a rano mówił z diabelskim uśmieszkiem:

- Wie siostra, śniło mi się dzisiaj, że zagryzło siostrę trzysta nietoperzy. To musiała być okropna śmierć!

- Pewnie ma pan obstrukcję. Przyniosę coś na przeczyszczenie - odpowiadała rzeczowo, czym doprowadzała go do pasji.

*

Irma wyszła. Reszke odetchnął z ulgą, przewrócił się na drugi bok i usiłował podrzemać chwilę przed śniadaniem. Zmęczyła go ranna toaleta. Był jeszcze bardzo

osłabiony.

Nie upłynęło jednak dziesięć minut, kiedy wróciła z tacą. Doleciał go zapach kawy. Poruszył nozdrzami.

- Śniadanie - oznajmiła stawiając tacę na stoliku.

Wrodzone łakomstwo wzięło w nim górę nad chęcią dokuczania jej od samego rana. Usiadł posłusznie i zajął z ciekawością do kubeczka nakrytego spodkiem.

- Dzisiaj ma pan jajka po wiedeńsku, bo gorączka spadła. No, proszę jeść.

Spojrzał na nią i najeżył się. Jej blada, kamienna twarz znów rozbudziła w nim wszystkie opory.

- Nie mogę! - potrząsnął głową. - Ten chleb ma pchły.

- Co ma? - zdziwiła się.

- Pchły. O, to czarne... - ze wstrętem pokazał palcem.

- Przecież to kminek!

- A skąd siostra wie, że to nie pchły, które udają kminek? Ciekawe, swoją drogą, że pchła może być tak bardzo podobna do kminku. I smakuje tak samo, kiedy ją rozgryźć.

- Niech pan nie plecie głupstw. Skąd by się w chlebie wzięły nagle pchły?

- Właśnie, to dziwne... Może piekarz ma kota? Pielęgniarka westchnęła.

- Proszę jeść, bo jajka wystygną.

Konsekwentnie wydłubywał kminek z chleba i rozsypywał na pościeli, zerkając od czasu do czasu, jak na to zareaguje. Kiedy wyszła z pokoju, szybko zabrał się do śniadania. Mimo osłabienia miał dobry apetyt.

Odstawił tacę. Zamierzał się przespać, ale ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołał ze zdziwieniem. W szpitalu nikt nie pukał.

Do pokoju wszedł mężczyzna w szarym ubraniu. Miał czarne oczy i śniadą twarz, od której żywym kontrastem odbijały jasne, prawie białe włosy.

- O! - powiedział Reszke i usiadł na łóżku. - Kto pan jest, gdzie pan mieszka? Prędko, bo muszę to zapisać. Będę pana malował.

- Dobrze - zgodził się Szczęsny bez oporu. - Ale chyba nie dziś? Wpierw chciałbym z panem trochę porozmawiać.

- Po co? Ja jestem chory. Kim pan jest? Lekarzem?
- Jestem oficerem milicji. Nazywają mnie Białym Kapitanem albo po prostu Szczęsnym. Czy może pan tak urządzić, aby pielęgniarka nie była obecna przy naszej rozmowie? Bo pewnie zaraz nadejdzie.
- Wyrzucę ją za drzwi - powiedział malarz z zadowoleniem. - Budzi we mnie wszelkie najgorsze instynkty. Mówmy o czym innym.
- Nie - odparł Szczęsny. - Właśnie chcę z panem o niej pomówić. To dla mnie bardzo ważne. Proszę posłuchać, dobrze?

Rozmowa trwała blisko godzinę. Reszke wpieryw rzucał się, wymyślał, wyrażał gwałtowny sprzeciw; wreszcie jednak zaczął się wahać. Wymowa i wybitnie „malarski” wygląd Szczęsnego zrobiły swoje. Poza tym projekt, który przedstawił Biały Kapitan, zawierał w sobie pewne ryzyko, a Reszke to lubił.

Ruda pielęgniarka przyszła w momencie, kiedy omówili już wszystkie szczegóły. Toteż Szczęsny, przywi-

86

87

tawszy ją obojętnie, wstał i wyciągnął do chorego rękę na pożegnanie.

- No, to do widzenia, panie Ignacy! Przyniosę panu tę książkę i pisma. Może jeszcze coś potrzeba?
- Jak pan przyjdzie, to niech mi pan przyniesie solniczkę.
- Solniczkę? - powtórzył oficer zdumiony. - Po co?
- Ostatnim razem śniło mi się, że byłem jajkiem, które ugotowano na twardo. A siostra nie chciała mi rano dać solniczki.
- Boże mój, znowu zaczyna! - westchnęła Irma. -Przedtem pchły, teraz jajko... Stoi przecież sól na tacy, niech się pan posoli, nawet na głowie. Jak tak będzie dalej, to przeniosą pana na oddział neurologiczny.
- Siostra by mnie już dziś wsadziła do wariatów, ja wiem. Nic z tego. Ja tylko przy siostrze wariuję, zazwyczaj jestem normalny. Do widzenia, Szczęsny! Do jutra. Po wyjściu oficera Irma prześcielając łóżko zapytała od niechcienia:
- Czego chciał tutaj ten z milicji?

Reszke pokuśtykał do umywalni i odparł sięgając po grzebień:

- To mój model. Zacząłem go malować jeszcze przed wypadkiem. Prawda, że ładny chłopiec?

Wzruszyła ramionami.

ROZDZIAŁ VI

Rysopis - jakże skąpy i ogólnikowy - Karola Michalskiego przekazano do wszystkich w kraju komend i posterunków Milicji Obywatelskiej. Rozdzwoniły się telefony, po specjalnych kablach pobiegło „zarządzenie poszukiwań”, zaopatrzone wymownym dopiskiem: Pilne! Podejrzany o morderstwo.

W Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Białymstoku -w komendach wojewódzkich, powiatowych, dzielnicowych - dyżurni milicjanci odrywali białe kartki z dalekopisów lub notowali spiesznie ze słuchawkami na uszach. Oficerowie i podoficerowie przebiegali oczami treść zarządzenia marszcząc brwi.

Poszukiwany Karol Michalski, lat około czterdziestu. Szczupły, ciemnowłosy, oczy niebieskie, z zawodu pielęgniarz. Uwaga! Nazwisko prawdopodobnie fałszywe, sprawdzać dokumenty. Pilne! Podejrzany o morderstwo... Poszukiwany Karol Michalski lat około czterdziestu...

W ciągu tygodnia Warszawska Komenda Miasta MO otrzymała jedenaście telefonogramów z różnych stron kraju. Jedenastu zatrzymanych Karolów Michalskich -osłupiałych ze zdumienia i oburzenia - siedziało w aresztach miast wojewódzkich i powiatowych. Wprawdzie ani jeden z nich nie był z zawodu pielęgniarzem, a zaledwie czterech miało ciemne włosy i niebieskie oczy; niemniej jednak pokusa złapania groźnego przestępcy była zbyt silna, aby poszczególne jednostki MO potrafiły jej się oprzeć.

Potrójne (z prawego, lewego profilu i en face) fotografie

i dokładne rysopisy zatrzymanych przybywały do Warszawy. Biały Kapitan pokazywał je w szpitalu, badał, porównywał i ze wzrastającą wściekłością darł na strzępy. To nie był „jego” Karol Michalski! Żaden z nich!

Ale gdzież był wobec tego prawdziwy pielęgniarz Michalski?

- A może naprawdę umarł? - powiedział do Szczęsnego porucznik Kręglewski, gdy nadeszły dziewiąte z kolei fotografie. - Dowiedz się, czy nie miał sztucznej szczęki.

- Na co mi jego szczeka?

- Bo może każesz zrobić ekshumację wszystkich nieboszczyków z ostatnich trzech tygodni... Nie gniewaj się, kochany, ja tylko tak - straszny upał dzisiaj!

Szczesny odburknął coś i wyszedł do stołówki. Był od rana zły, a dziewiąta przesyłka ze zdjęciami - jakiś blon-dasek dwudziestoletni o twarzy tłustego prosięcia - zupełnie wyprowadziła go z równowagi.

A kelnerka w stołówce jakby uwzięła się, aby go wprowadzić w lepszy humor. Nawet podając pieczeń wołową z buraczkami, uśmiechnęła się uprzejmie, co jej się nieczęsto zdarzało.

- Doskonała dziś pieczeń! - powiedziała pogodnie.

- Na pewno twarda - odparł ponuro.

- Miękka. I buraczki dobre.

- Nie cierpię buraczków.

Miał przy tym tak nieszczęśliwą minę, że stroskana dołożyła mu cichaczem ogórek.

- Sflaczały... - mruknął dźgając w niego widelcem. Mimo to po obiedzie poczuł, że mu złość przechodzi.

Zapalił papierosa i poczęstował kelnerkę, chcąc jej jakoś wynagrodzić swoje humory.

Nie gniewała się; jej wczorajsza randka, od dawna oczekiwana, udała się tak znakomicie, że zapas zadowolenia i równowagi ducha wystarczał jej jeszcze co najmniej na trzy doby.

Szczesny wrócił do swego pokoju i prześlęczał nad notatkami do dziewiątej wieczór.

Wtedy to postanowił odwiedzić Jana Dzwonia.

Trolejbus „52” zjeżdżał Myśliwiecką w dół, kołysząc się na zakręcie. Biały Kapitan siedział naprzeciwko konduktora. Rozmyślał trochę o rozmowie, która go czekała, a trochę o tym, że jeżeli znowu trzaśnie w trolejbusie opona i rozerwie podłogę, jak to się zdarzyło poprzedniego dnia na placu Wareckim, to nie wyjdzie stąd na własnych nogach, bo już ich nie będzie miał. Tak jak nie wyszła wczoraj tamta

kobieta, na placu...

Przypomniał mu się najkrótszy chyba wiersz Tuwima: Jak brzytwą masło, tak przetnie mózg; Jak kamień w wodę - cicho: plusk...

Trwał tak przez dłuższą chwilę w melancholijnym nastroju, do którego z pewnością przyczyniały się i wiosen-no-jaśminowe porywy. Z zamyślenia wyrwała go rozmowa o charakterze finansowym.

- Najlepsze weksle są z fałszywymi żyrami - mówił siedzący obok niego gruby pan do drugiego, łysego jak kolano, z opaloną na różowo czaszką. - Wtedy jestem pewien, że będą w terminie wykupione. Bo facet wie, że jeżeli nie wykupi, to za fałszerstwo pójdzie do kryminału. Więc płaci.

- He, he! - odpowiedział pan z różową łysiną. - A Kozi-kowski dostał cztery lata.

- Bo głupi. Ja bym wiedział, co mówić prokuratorowi. Ja bym... - Pochylił się tamtemu do ucha i coś długo szeptał. Łysy potakiwał głową ze zrozumieniem. Nagle skrzywił się i odsunął.

- Napluł mi pan do ucha - powiedział z niesmakiem. -A w ogóle, wysiadamy.

Kilka przystanków dalej wysiadł i Szczęsny.

Ulica, którą szedł od paru minut, ciągnęła się daleko w pole, była źle oświetlona, pełna kocich łbów i wyboi. Z szeroko pootwieranych okien dolatywały dźwięki muzyki i głos spikera, a w ciemnych bramach stały grupki ludzi: starsi mężczyźni w szelkach, pachnący piwem i sportami, tęgie, spocone kobiety w kwiecistych sukniach lub szlafrokach, senne o tej porze dzieci, dziewczyny opalone na brąz, młodzi chłopcy w sportowych koszulkach i obcisłych „farmerkach”.

Oficer doszedł do bramy oznaczonej numerem dwudziestym czwartym, zwolnił kroku i z nawyku rozejrzał się nieznacznie dokoła. Zastanawiał się przez chwilę, czy po-

90

91

zna twarz inwalidy, zanim usłyszy jego głos. Głosów bowiem Szczęsny nigdy nie zapominał i rozróżniał je nawet po wielu latach.

Nie oświetlone drewniane schody z połamaną poręczą prowadziły stromo w górę, aż

na poddasze. Posługując się latarką, wszedł w wąski korytarz, o mało nie rozbił głowy o wystające belki i zawadziwszy nogą o pozostawiony przez jakieś dziecko lalczyny wózek zatrzymał się przed numerem jedenastym.

Tu miał mieszkać Jan Dzwoniec. Szczęsny zapukał, wpierw delikatnie, potem silniej, stanowczo. Może już śpi? Za drzwiami coś zachrobotło i męski głos zapytał:

- Kto tam?

- On! - mruknął oficer do siebie i odparł głośno: - Do pana Dzwonia. Czy można?

- Zaraz...

Po dłuższej chwili czyjaś ręka ostrożnie odsunęła skobel i uchyliła drzwi. W pokoju na stole paliła się mała lampka, rzucając słaby, żółty blask na odrapane ściany.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, miał na oku czarną opaskę. Na widok Szczęsnego uklonił się i lekki uśmiech przewinął mu się przez wargi.

- Aaa, pan kapitan do mnie. Proszę, proszę do środka! Nigdy bym się nie spodziewał... że też pan trafił na tę moją „górkę"! Proszę, tu jest krzesło - podsuwał uprzejmie.

- Dziękuję. Cóż to, nie ma pan lepszego światła, tylko taką słabą żarówkę?

- A, nie, tylko ja oszczędzam... prąd drogi, to tak sobie siedzę. Czytać i tak nie mogę, jednym okiem trudno, a i to jedno w nienajlepszym stanie.

Usiadł na łóżku, złożył ręce na kolanach i patrzył na przybyłego wyczekująco. Twarz jego, ukryta w cieniu, wydawała się żółtawą, nieruchomą maską.

Szczęsny obserwował go uważnie; nagle zmarszczył brwi. Coś mu się w tej twarzy nie podobało. Ale co? Gdy wzrok jego przywykł do półmroku, rozróżniał już i przypominał sobie jej rysy: prosty nos, wąskie, blade wargi, ciemne, gładko zaczesane włosy, lekko wystające kości

policzkowe. Inwalida nie zmienił się przez kilka ostatnich miesięcy, może tylko schudł jeszcze bardziej i zmizerniał. Mimo woli Szczęsny wypowiedział tę myśl na głos. Dzwoniec uśmiechnął się jakby przepraszająco.

- E, zdaje się panu kapitanowi... światło mizerne, to i ja źle wyglądam. No, pracy człowiek nie miał od stycznia do maja, może i trochę przez to schudłem.

- A teraz gdzie pan pracuje?

- Na Bazarze Różyckiego, u takiego tam, co ma stoisko z owocami. Pomagam mu w robocie, noszę skrzynki i co trzeba. Sprzątam...

- Pamiętam, że pan tak lubił jabłka - powiedział oficer ze śmiechem. - Czy i truskawki też? Albo czereśnie?

- Truskawki, owszem. Ale to drogi owoc. A czereśnie dla mnie nie bardzo... za ciężkie na żołądek.

Przez chwilę panowało milczenie. Oko Dzwonca wciąż patrzyło wyczekująco i Szczęsny czuł, że musi przecież jakoś wyjaśnić powód swej nieoczekiwanej wizyty.

- Pan kapitan coś chciał ode mnie? - zapytał cicho inwalida, jakby odpowiadając na jego myśli.

- Tak. Widzi pan, chciałem raz jeszcze porozmawiać o tamtej nocy w styczniu, kiedy zamordowano kierownika Zadrożnego. Czy teraz, po upływie blisko pół roku, nie mógłby pan mi dać jakiejś wskazówki - śladu, kto to zrobił?

Znowu milczeli przez dłuższą chwilę. Dzwoniec trząśł głową przecząco, potem powtórzył:

- Wskazówki? Śladu?... Ciężko mnie, takiemu dziadowi, rzucać na kogokolwiek posądzenie. Grzech to wielki obciążyć drugiego człowieka winą, jeżeli nie ma się pewności. A ja tej pewności nie mam...

- Czasem najmniejszy ślad doprowadza milicję do przestępcy - powiedział Szczęsny ostrożnie. - Czasem jakiś pozorny drobiazg...

Dzwoniec wsunął się w jeszcze głębszy cień i opuściwszy głowę przymknął oko. Zdawał się drzemać. Biały Kapitan czekał cierpliwie.

- Są tacy ludzie - doleciało go wreszcie od strony łóżka - co dla nich życie to tylko pieniądz. Bez pieniądza dla

92

93

nich, jak bez życia. Taki człowiek musi te pieniądze mieć. A jak ich nie ma... jak ich nie ma albo ma za mało, to drugiemu zabierze. Jak nie po dobroci, to siłą.

Umilkł i znowu trząśł głową w zadumie. Szczęsny milczał.

- Czasem to nie będzie pieniądz, ale jakieś kosztowności. Złoto, pierścionki, dolary...

Można sprzedać. I żyć. Dobrze żyć! A jak się takich dwóch dobierze, co bez pieniędzy żyć nie mogą i razem je po świecie zbierają - to już do końca muszą być we wspólności i zgodzie. Bo jak nie...

Znów przerwał. Czarne oczy Szczęsnego rozbłysły nagle jak latarnie i zgasły pod opuszczonymi powiekami.

- Jak nie, proszę pana, to, jednemu z nich śmierć pisana z drugiej ręki. Ja nic nie mówię i na nikogo posądzenia nie rzucam. Pan kapitan swoje wie i ja swoje wiem... A jak młodszy ze starszym za pieniądzem się uganiają, zawsze ten młodszy starszego przegoni, bo jemu więcej potrzeba... jemu kobiety i ubranie modne, i radiowy aparat, a to wszystko mało. Długów narośnie, narośnie... Na co staremu pieniądze? Staremu zabrać nie żal - Dzwoniec mówił tak cicho, że oficer pochylił się, aby dosłyszeć jego słowa - starego i zabić nie żal... Pan kapitan człowiek kształcony, mądry, ja już nic więcej nie powiem.

Zaczął kaszleć, przyłożył do ust jakąś szmatę wyciągniętą spod kołdry. Szczęsny rozejrzał się dokoła. Obok stołu zobaczył wiadro z wodą. Zaczepnął kubkiem i podał kaszłacemu. Ten wypił parę łyków i odstawił.

- Przeziębilem się trochę! - powiedział z zażenowaniem. - To przejdzie, ciepło teraz na dworze. Niech pan kapitan już idzie, tu ulica ciemna, chuligaństwa pełno, jeszcze się co przytrafi.

Szczęsny roześmiał się.

- Pan zapomina, że jestem pracownikiem milicji. To ja właśnie powinienem pilnować, aby się komuś innemu co nie przytrafiło. Ale pójdę już, niech pan się położy i wypocznie. Dziękuję za rozmowę. Do widzenia!

Gdy wychodził z bramy, od strony Sadyby podjeżdżała właśnie taksówka. Podniósł rękę. Kierowca zatrzymał się i uchylił drzwiczki.

- Na Piękną przy Mokotowskiej! — powiedział Szczęsny sadowiając się na tylnym siedzeniu.

Zanim ruszyli, rzucił mimowolne spojrzenie na okienko na poddaszu, gdzie mieszkał inwalida. Spoza zaciągniętej story przebijał teraz blask mocnego elektrycznego światła...

Na podłodze w przedpokoju swego mieszkania Szczęsny, jak co dzień, zastał kartkę od wywiadowcy z Rozbrat, który widocznie bardzo upodobał sobie taki rodzaj korespondencji.

„Wczoraj od godziny 21.47 do 23.12 - pisał wywiadowca - doktor Aster przebywał w mieszkaniu ob. Renaty Lu-bicz-Kępińskiej. Dziś w południe posłaniec z kwiaciarni przy ul. Brackiej przyniósł bukiet nie znanych mi bliżej kwiatów - w tym miejscu Szczęsny, czytając kartkę, parsknął śmiechem - przeznaczonych dla ob. Kępińskiej. Przy bukiecie nie było żadnego listu. Posłaniec powiedział mi, że kwiaty są od wysokiego, eleganckiego pana o czarnych włosach i bladej twarzy. Ten rysopis wskazywałby na Astra”.

Biały Kapitan odłożył list i spojrział na zegarek. Było kilka minut po dwunastej. - W sam raz - mruknął zrzucając marynarkę.

Wziął chłodny tusz, przebrał się w szare, „spekulanc-kie” (jak je nazywał) ubranie, przeczesał starannie włosy i skropił lawendą. Był gotów. Po kwadransie stanął na progu kawiarni „Kameralna”, rozglądając się w poszukiwaniu wolnego stolika. Na sali był tłok, spoceni kelnerzy lawirowali między tańczącymi parami, a w szatni zupełnie pijany pan bez marynarki bezskutecznie usiłował trafić do drzwi toalety.

- Hej, mambo! Mambo italiano! - wrzasnął ktoś Szczęsnemu nad uchem, aż ten wzdrygnął się i odsunął.

- Taki ładny, a taki sam? - szepnęła przechodząca obok tęga brunetka rzucając mu zachęcające spojrzenie. Zmrużył oczy i odpowiedział jej leniwym, ledwo widocznym wzruszeniem ramion.

Nagle uczył, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Odwrócił głowę i uśmiechnął się z zadowoleniem.

94

95

- Jak się masz, Zbyszku! Właśnie ciebie szukałem - powiedział, witając się serdecznie z mężczyzną o jasno-brązowych, wesołych oczach. - Masz jakieś miejsce przy stoliku?

- Nie, straszny tłok. Chodźmy lepiej do baru, tam będzie można pogadać.

- Co u ciebie nowego? - zapytał Biały Kapitan, kiedy zamówili już jakąś wódkę i kanapki. - Pisziesz piękne poematy, tłumaczysz... czytuję „Twórczość” z dużą przyjemnością. Chociaż muszę ci powiedzieć, że w ostatnim numerze nie ze wszystkim się zgadzam.

Zagłębili się w dyskusję i Szczęsny co najmniej na godzinę zapomniał o wszelkich morderstwach na świecie. Wreszcie, gdy wyczerpał już swoje argumenty i uznał się za „pokonanego”, przypomniało mu się, po co tu przyszedł.

- Słuchaj, Zbyszek, ty z pewnością znasz dobrze warszawski świat teatralny. Co mówią o zabójstwie doktora Kępińskiego, męża pani Renaty Lubicz, tej znanej aktorki i reżysera?

- Co mówią? - poeta uśmiechnął się pobłaźliwie. - Mój drogi, mówią, że ich małżeństwo było właściwie fikcją. Przynajmniej w ostatnim czasie. Przecież tam był ktoś inny „na tapecie”... Kolega po fachu.

- Aktor?

- Nie, kolega jej męża! Inny lekarz. I właśnie o tym ludzie mówią najczęściej. Że mąż w porę umarł, rozumiesz, et cetera.

- Kto to jest?

- Nie znam jego nazwiska, pokazywano mi go tylko raz w teatrze. Wysoki, czarne włosy, bardzo blady. Przystojny. Gdyby był aktorem, dawałbym mu role tragiczne. Taka twarz...

- Rozumiem. Czy nie obilo ci się o uszy nazwisko: Aster?

- Aster? - Poeta uniósł brwi w górę i namyślał się przez chwilę. - Zdaje się, że jest taki chirurg. Ach, poczekaj, myślisz, że to właśnie on?

96

- Myślę. Ale nie wiem. No, mniejsza z tym. Posłuchaj, znam dobry kawał: mąż wyjechał na wczasy, a do jego żony przychodzi...

Przez cały następny dzień męczyła Białego Kapitana jedna uparta myśl: co w postaci Jana Dzwonca napawało go czujnością i niepokojem. „Inwalida był na pozór taki sam - mizerny, spokojny i jakby pokorny. Jego filozoficzne rozważania na temat pieniędzy i potrzeb życiowych prowadziły niewątpliwie do osoby Cichonia. Były

jednak tak ostrożne i ogólnikowe, że trudno by na ich podstawie budować konkretny akt oskarżenia. Szczęśny wiedział, że Dzwoniec, sprowadzony do komendy, nie wyduzi z siebie ani słowa na temat zabójstwa. Wtedy, w styczniu, po kilkanaście razy przesłuchiowano każdego z pracowników sklepu; nie było jednak sposobu, aby inwalidzie rozwiązać język. O ile rzeczywiście coś wiedział.

Dlaczego więc teraz naprowadza milicję na Cichonia? Czyżby wreszcie, po tak długim czasie, zdecydował się na mówienie prawdy...

Po południu Szczęśny wybrał się do Reszkego. Przed bramą szpitalną zatrzymał się jednak, zawrócił i wstąpiwszy do najbliższego sklepu ze szkłem i porcelaną, kupił maleńką, zieloną solniczkę.

- Czy ma pani trochę soli? - zapytał ekspedientkę. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Obok, w sklepie spożywczym - odparła urażonym tonem. Nie była wrażliwa na męską urodę.

W sklepie spożywczym zaproponowano mu co najmniej kilo. - Mamy już odważoną, w torebkach kilowych. Może w sąsiednim...

W sąsiednim sklepie był remanent. Naprzeciwno powiedziano Szczęśnemu: - Niech pan przyjdzie pod koniec tygodnia, jak będziemy przenosić sól z magazynu, to się tam z worka trochę usypie.

Zżuł w ustach parę niecenzuralnych słów i mruknąwszy: - Bez łaski! - z pustą solniczką powędrował do szpitala.

Reszke powitał go bojowym okrzykiem w nieokreślonym bliżej języku. Siedział w fotelu, szczelnie zawinięty

97

w pstrokaty szlafrok, pełen wielbłądów, palm, słoni i nagich, tańczących kobiet.

- Cóż za wspaniały szlafrok! - zauważył oficer z ledwo dostrzegalną ironią. - Cała menażeria plus kudłate baletnice!

- To nie szlafrok - odparł Reszke pogodnie - to ser szwajcarski. Nie widzi pan?

Dziury obszyte ciałem stałym. Przywiozłem go z Kanady iks lat temu. Kiedyś budził powszechny zachwyty, a moja czterdziesta szósta kochanka usiłowała mi go ukraść.

- Haniebny zamiar. Panie Ignacy, czy poczynił pan jakieś postępy w oblaskawieniu

zwierza?

- O, tak! - malarz westchnął i nachmurzył się. - Chociaż przyznam się panu, że wolałbym już chyba spać z gorylem. To znaczy, z gorylicą - czy jak tam się to nazywa.

Drzwi od pokoju były uchylone i doktor Goldberg, który przechodził właśnie korytarzem, usłyszał słowa „spać z gorylem” i wzdrygnął się.

- Cóż za atawizm! - szepnął do siebie. - Teraz rozumiem, dlaczego on mi tak przypomina małpę...

- Irma nie jest aż tak bardzo brzydka - powiedział Szczęsny. - A poza tym plan naszej współpracy nie przewiduje przecież żadnych konkurów. Chodzi tylko o to, aby uzyskać pan jej zaufanie.

- Robię, co mogę - rzekł Reszke, wichrząc w zadumie swoje rzadkie, rudawe włosy. - Wydaje mi się jednak, że to jeszcze trochę potrwa. A moja noga już wydobrzała i pewnie za tydzień czy dwa opuszczę ten rozkoszny lokal, w którym śmierdzi trupami.

- Gdzie pan mieszka, panie Ignacy?

- Na drugim piętrze - odparł malarz z roztargnieniem. Szczęsny uśmiechnął się i wyjął notes. - Adres, kochany. .. ulica, numer domu i tak dalej, dobrze?

- Padam, padam, padam! Ecoutez le chalum, qu'il me fait! Padam... - zanucił basem. - Co pan chciał właściwie, Biały Kapitanie?

- Pański adres - odparł Szczęsny łagodnie. Rozmowy z malarzem wprawiały go w dobry humor.

- Mój adres? A wie pan, że zapomniałem. To nieważne, znajdzie pan w książce telefonicznej. Powinienem chyba mieć telefon?

Do pokoju weszła ruda pielęgniarka. Kiwnęła głową oficerowi i zwróciła się do pacjenta:

- Proszę zmierzyć temperaturę. Gdzie pan znów schował termometr?

- Mieszałem nim cukier w herbacie - przyznał Reszke ze skruszoną miną. - Pewnie siostra zabrała razem ze szklanką.

- Boże, co ja z panem mam!

- W każdym razie nie dziecko - odparł wyniośle. - Żadnych takich rzeczy sobie nie przypominam.

Irma mimo woli rzuciła okiem na Szczęsnego, zaczerwieniła się i wyszła z pokoju. Reszke wzdychając sięgnął do szufladki nocnego stolika, grzebał w niej chwilę i wyciągnąwszy termometr, wsadził go sobie pod pachę.

- Niech pan mnie nie bierze za zupełnego wariata - powiedział kładąc się na łóżku. - Zdaję sobie sprawę z zaufania, jakim pan mnie obdarza, i bardzo chciałbym panu pomóc. Zyskałem już tyle, że ten rudzielec rozmawia ze mną wieczorami o różnych sprawach... tylko o tamtej nocy nie chce mówić. Ja jej opowiadam o swojej pracy, o obrazach, różne głupstwa - nawet jak mam urządzone mieszkanie, jakie meble itede. Te rzeczy ją bardzo interesują. Może widzi siebie w roli przyszłej pani domu? - uśmiechnął się.

Ale Szczęsny nie odpowiedział uśmiechem. Zmarszczył swe wąskie, ciemne brwi i nad czymś się zastanawiał.

- Czy pytała pana na przykład o rozkład mieszkania? Albo o rozmieszczenie drzwi i okien?

- Tak. Właśnie mówię, że te rzeczy ją ciekawią. Więc opowiadam, żeby się obłaskawiła.

- Panie Ignacy, niech pan mnie bezwzględnie uprzedzi o terminie opuszczenia szpitala! Zaczynam się obawiać, że wkopałem pana w jakąś nieprzyjemną historię. Nie mam do tego żadnego prawa.

- Skrupuły bez uzasadnienia. Co ma wisieć, nie utonie, a ja będę wisiał. Za swoje partackie obrazy... - Zapatrzył

98

99

się w okno. - A swoją drogą, żeby się tak ululać! - powiedział nagle ze zdumieniem. Na ustach błąkał mu się nikły uśmieszek.

Szczęsny spojrział przez okno, ale na dziedzińcu szpitalnym nie było żadnego pijaka.

- O kim pan mówi?

- O sobie. Przecież przywieźli mnie tu zalanego w drobny mak! Dlatego wlałem pod

samochód. No i jakoś żyję. Ech! - trzepnął Szczęsnego po ramieniu. - Życie jest jednak interesujące. Nieprawdaż, Biały Kapitanie?!

Doktor Krystian Aster z ciężkim westchnieniem odrzucił gazetę, wstał z fotela i zapalił lampę. Męczyło go czytanie, męczył hałas uliczny... męczyło wszystko. Przeszedł do łazienki i odkręciwszy kran przykładał mokry ręcznik do czoła. To sprawiało ulgę. Mimo woli spojrzął w lustro nad umywalnią. Z prostokątnej tafli zwierciadła patrzyła na niego blada twarz chorego człowieka. Cienie pod przymglonymi oczami i jakieś bezradne, żałosne skrzywienie ust nadawały jej wyraz cierpienia.

Długo spoglądał w lustro, nie zważając, że z mokrego czoła krople wody ściekają mu na szyję i za kołnierz. Wzdrygnął się, rozejrzał dokoła nieprzytomnym wzrokiem i porwawszy z półeczki butelkę z wodą kolońską, zamierzył się nią w lustro. Lecz ręka, uniesiona w górę, opadła w dół ze znużeniem. Usiadł na brzegu wanny i uśmiechnął się do siebie gorzko, z politowaniem.

Wtedy właśnie zabrzączał dzwonek u drzwi wejściowych. Chirurg ocknął się, odstawił szybko butelkę, wytarł mokre czoło i przyglądziwszy włosy wyszedł do przedpokoju. W oczach miał wyraz radosnego napięcia, jakby oczekiwał kogoś, kto dotąd nie chciał przyjść, ale teraz się zdecydował...

Otworzył drzwi. Twarz mu poszarzała, a usta skrzywił przelotnie ironiczny uśmiezek. - Proszę, kapitanie...

Szczęśny zauważył niezwykłą bladość lekarza, ale nic nie powiedział. Pomyślał tylko, że Zbigniew miał rację: w tym człowieku był jakiś tragizm, który wyciskał na rysach twarzy swoje trudne do zatarcia piętno.

- Czy nie przeszkadzam panu w pracy? - zapytał z mimowolną nutą współczucia w głosie.

Aster potrząsnął tylko głową. Usiedli w gabinecie lekarskim, w którym chirurg widocznie sypiał, bo stał tu szeroki, ładnie zasłany tapczan, a obok stół z książkami i wysmukła alabastrowa lampa. Sięgając po papierosy, podawane mu przez gospodarza, Szczęśny rzucił okiem na biurko. Zobaczył na nim dużą, bardzo dobrą fotografię pani Renaty Lubicz-Kępińskiej.

- Napije się pan czegoś? - spytał doktor Aster podchodząc do szafki w roku pokoju. Wyjął dwa kieliszki i butelkę francuskiego koniaku. Szczęsny zawahał się przez sekundę, potem odpowiedział swobodnym tonem:

- Chętnie.

Lekarz nalał koniak do kieliszków, podsunął jeden gościowi i wzięwszy drugi do ręki, podszedł do okna, jakby chciał coś zobaczyć na ulicy. W szybie okiennej, która odbijała część pokoju, oficer dostrzegł, że chirurg szybkim ruchem wylał zawartość kieliszka do stojącej na parapecie doniczki z kaktusem.

Biały Kapitan zamyślił się na chwilę. Potem zdecydowanie podniósł do ust swój koniak. Kątem oka obserwował sylwetkę stojącego tyłem lekarza. Nie drgnęła, a w pochyleniu ramion i głowy było coś bardzo smutnego. Szczęsny odstawił na stół pusty kieliszek.

- Przepraszam za moje milczenie - powiedział cicho Aster, siadając w fotelu po drugiej stronie stołu. - Jestem trochę niezdrów. I przepracowany...

- Doktorze, gdzie pan był owego wieczoru, kiedy zabito w szpitalu doktora Kępińskiego? - padło nagle pytanie.

Krystian Aster po raz pierwszy uniósł głowę i spojrzał oficerowi prosto w oczy. Potem odwrócił twarz.

- Byłem w domu, jak to już wyjaśniałem pańskiemu koledze porucznikowi - zdaje się, Mirskiemu.

Szczęsny nie sprostował pomyłki: to było nieważne.

100

101

- A jeżeli potrafię udowodnić, że był pan zupełnie gdzie indziej? Chyba że mieszkanie numer osiem przy ulicy Rozbrat dwanaście nazywa pan już swoim domem.

Cios był celny. Aster cofnął się w fotelu, jak pod uderzeniem.

- Źle by było, gdyby milicja nie wiedziała tego, o czym mówi od dawna cały warszawski świat teatralny - ciągnął dalej Szczęsny. - Przyznam się, że nie bardzo rozumiem, dlaczego pan nas okłamuje. Czy to jest jakiś - zawahał się - ładny

skądinąd gest szlachetności wobec kobiety, którą chce pan osłonić przed tak zwaną opinią publiczną? Ależ ta opinia i tak już wszystko wie!

- Co to znaczy?! - Aster zerwał się z miejsca. Oczy błysnęły mu oburzeniem. - Czego pan chce ode mnie?

- Aby pan nie utrudniał śledztwa. I nie ściągał na siebie podejrzeń - być może - bezpodstawnych.

- Ach tak, „być może”!... - Lekarz oddychał ciężko. - Tak. A więc i pan... i wy wszyscy myślicie...

- Drogi doktorze Aster! Przede wszystkim niech pan usiądzie i uspokoi się. A teraz proszę posłuchać: na jakiej podstawie mam pana wyłączyć z podejrzeń? Umyślnie wprowadza pan mnie w błąd - to jedno. Jest pan, proszę nie przeczyć, zaangażowany uczuciowo - czy jakkolwiek to nazwiemy - wobec żony zamordowanego - to dwa. Jest pan chirurgiem, a więc dysponuje pan olbrzymim kompletem instrumentów, z których co najmniej jedna czwarta przypomina w poważnym stopniu narzędzie użyte do zbrodni - to trzy. Wreszcie, kiedy do pańskiego mieszkania przychodzi oficer milicji, częstuje pan go alkoholem, lecz zawartością swego kieliszka dyskretnie podlewa pan kaktusy... - mówiąc nawiasem, ten kaktus uschnie, choćby nawet w koniaku nie było luminalu czy trucizny, bo rośliny nie lubią alkoholu! I w rezultacie zmusza mnie pan do zmożenia rękawa i połowy koszuli; dobrze jeszcze, że nie był to likier, bo bym się cały lepił...

Nastała długa chwila milczenia. Szczęsny chusteczką wycierał mokrą rękę.

- Dobrze - powiedział wreszcie doktor Aster, podnosząc na niego swoje ciemne oczy, w których był teraz jakiś szklany, otępiały wyraz. - Dowie się pan o wszystkim. Ale nie dziś... Dzisiaj ja już nie mogę! Niech pan tu przyjdzie jutro, niech pan obstawi dom milicją, jeżeli pan się boi, że ucieknę - ale niech pan już idzie! Proszę...

- Dobrze, przyjdę jutro.

Szczęsny wstał widząc, że lekarz rzeczywiście jest u kresu wyczerpania nerwowego. Gdy był już przy drzwiach, Aster dotknął lekko jego ramienia:

- Z tym koniakiem... niepotrzebnie pan go wylewał do rękawa. Ja po prostu nie mogę pić. Źle zrobiłem, trzeba było zwyczajnie powiedzieć, że mi alkohol szkodzi. Trudno,

niech mi pan wybaczy.

Następnego dnia kilka minut po ósmej Szczęsny otrzymał telefon ze szpitala.

Dzwonił profesor Szczerbiński. W paru urywanych zdaniach zawiadamiał, że w nocy doktor Aster usiłował popełnić samobójstwo.

- Psiakrew!... - wyrwało się oficerowi. - Ale żyje? Aster żył. Zażył wprawdzie olbrzymią dawkę luminalu,

traf zrzucił jednak, że krótko po północy wróciła z urlopu gospodyni mieszkania, od której wynajmował dwa pokoje. Widząc drzwi od gabinetu uchylone, zajrzała przez prostą babską ciekawość. Zobaczyła doktora leżącego w ubraniu na nie pościelonym tapczanie. Przyjrząwszy mu się bliżej - jako kobieta już niemłoda, która z niejednego pieca chleb jadła - zorientowała się w mig, że coś tu nie jest w porządku, i zaalarmowała szpital. Szybka pomoc dyżurnego lekarza przywróciła Astra do życia. Szczerbiński długo lamentował w telefonie nad pechem, prześladowującym widocznie jego szpital - wpiery mordując jednego lekarza, potem drugi usiłuje wyprawić się na tamten świat bez niczyjego pozwolenia.

- Cóż za skończony kretyn ze mnie! - powiedział Szczęsny do Daniłowicza odkładając słuchawkę. - Kretyn, bałwan spod ciemnej gwiazdy! Mogłem być się domyślić, że on coś takiego urządzi. Wystarczyło spojrzeć uważnie na jego twarz, na oczy...

102

103

- W każdym razie usiłowanie samobójstwa obciąża go dodatkowo - zauważył major. Szczęsny gładził przez chwilę swoje jasne włosy.

- Wiesz co, Stefan? Opowiem ci krótką historię. Wyobraź sobie, że jesteś przystojnym, znanym chirurgiem i poznajesz pewnego pięknego dnia żonę jednego z twoich szpitalnych kolegów. Jej uroda, wdzięk, inteligencja robią na tobie kolosalne wrażenie, a i ona nie pozostaje wobec ciebie obojętna. Bywasz w ich domu... z mężem toczysz dysputy zawodowe, z gośćmi grasz w brydża, a z nią rozmawiasz o teatrze, o literaturze, sztuce. Mijają miesiące, pomiędzy wami nawiązuje się jakieś głębsze, mocne uczucie. W końcu - ja nie wiem, może fantazjuję, ale chyba mam

rację - przychodzi taki wieczór, kiedy jej mąż ma dyżur nocny w szpitalu, i wy oboje o tym wiecie. W taki wieczór odwiedzasz ją pod byle jakim pretekstem i zostajesz jej kochankiem. Krótco przed północą, oszołomiony nagłym spełnieniem swych pragnień, wracasz do domu i -prawie natychmiast telefon wzywa cię do szpitala, gdzie mąż twej ukochanej został zamordowany... Właśnie tej nocy! Rozumiesz, co za perfidia losu?!

- Cholera! - mruknął major, zasugerowany opowiadaniem.

- W dodatku morderstwo zostało dokonane w taki sposób, że nasuwa się podejrzenie, iż zabójca posługiwał się jakimś chirurgicznym narzędziem. W dodatku komuż mogło bardziej zależeć na śmierci Kępińskiego, jak nie Astrowi? Rzecz jasna, ten ostatni pogląd utrwała się w opinii wszystkich tych, którzy obserwowali przez szereg miesięcy wzrastające uczucie pomiędzy Astrem a panią Renatą.

- A Michalski? Co on robi w tym całym interesie?

- Michalski naturalnie jest najbardziej podejrzany, ale dopóki nie mamy go w rękę, nic nie możemy mu udowodnić. To całe fałszerstwo z dokumentami i telefonem oraz ucieczka mogły być zrobione z jakiegoś zupełnie innego powodu, którego dotąd nie znamy.

- Dobrze, więc w końcu - bo nie rozumiem - podejrzewasz Astra o zabójstwo czy nie?

- Wiem, że był u niej w mieszkaniu owego wieczoru, ale nie wiem jak długo... Nie wiem, czy pomiędzy wyjściem od niej a powrotem do domu nie był, choćby przez krótki czas, w szpitalu. Może pod wpływem silnego uczucia do Renaty chciał od razu „na gorąco” porozmawiać z jej mężem na przykład o rozwodzie? Wszedł do pokoju lekarskiego, zobaczył, że Kępiński śpi. I wtedy przyszło mu na myśl, że... rozumiesz?

- W takim razie istnieją dwie przyczyny, dla których usiłował popełnić samobójstwo. Albo zabił - i nie wytrzymał wyrzutów sumienia, względnie jego ukochana zaczęła go podejrzewać i odsunęła się od niego; albo nie zabił -i nie wytrzymał atmosfery krążącej wokół niego... atmosfery podejrzeń, domysłów. Chciałbym bardzo wiedzieć, jaki był do wczoraj stosunek do niego tej Renaty, bo to właśnie mogło być głównym motywem samobójstwa.

- Przypuszczam, że ją w jakiś sposób zawiadomił o zamiarze ucieczki z tego najlepszego ze światów. Rozumiesz, list pożegnalny... pewnie leżał tam u niego na biurku. Ach, do licha!

Spojrzeli na siebie, tknięci tą samą myślą.

- Naturalnie, że w takim liście będzie prawda o Krystianie Astrze! - powiedział major. Szczęsny już brał za słuchawkę i łączył się z mieszkaniem chirurga. Po dłuższej chwili podszedł do telefonu jakiś mężczyzna, który - rozpoznawszy kapitana po głosie - zameldował mu się służbiście. Był to wywiadowca milicji, obserwujący od wczorajszego wieczoru dom i mieszkanie lekarza.

Biały Kapitan obrugał go wpierw za niedopilnowanie „pacjenta”, czym milicjant uczył się dotknięty, bo nie mógł, rzecz prosta, przewidzieć, że ucieczka odbędzie się nie z mieszkania, lecz ze świata... Zapytany o list, odparł, iż nic takowego na biurku i w ogóle w całym domu nie leżało i nie leży. Leży jedynie sam doktor w stanie nie bardzo chyba przytomnym, bo nie chce gadać i ma oczy zamknięte.

Szczęsny zniecierpliwiał się.

104

105

- Musi być list! - krzyknął w słuchawkę. - Szukaliście dobrze? Przeszukajcie jego marynarkę. Czy tam jest jeszcze ktoś w mieszkaniu?

- Jest gospodyni, znaczy się: główny lokator.

- Dajcie babę do telefonu!

W kilku zdaniach wytłumaczył jej, o co chodzi.

- Niech pan kapitan tu przyjdzie - odparła zagadkowo. - Wtedy pogadamy. Ja coś wiem...

Gdy Biały Kapitan wszedł do mieszkania, gospodyni poprosiła go do swojego pokoju i oznajmiła z wielce tajemniczą miną, że jakiś list - owszem, leżał na biurku, widziała go, gdy weszła pierwszy raz, ale że potem zniknął. Być może list zabrał lekarz ze szpitala.

Podziękowawszy za informacje, Szczęsny zajrzał do gabinetu, lecz Aster spał.

Wywiadowca siedział przy nim, trochę zdezorientowany rolą, jaka mu przypadła. Nie

mógł ustalić, czy pilnuje przestępcy, czy też ofiary. Na razie więc odpędzał muchy z czoła śpiącego i czekał, co dalej nastąpi. Oficer wywołał go na korytarz i zabronił kategorycznie wpuszczać kogokolwiek poza lekarzem do niedoszłego samobójcy.

- Rozumiecie, kapralu? Nikogo! Zwłaszcza kobiet. Doktor Aster pozostaje na razie pod zarzutem przestępstwa i dopóki sprawa się nie wyjaśni, nie wolno mu utrzymywać żadnych kontaktów z postronnymi osobami. Co do lekarza zaś, postaram się, aby opiekował się nim jeden i ten sam przez cały czas choroby. To wszystko. Po południu zmieni was ktoś z komendy.

Z mieszkania Astra Szczęsny pojechał do szpitala. Młody lekarz, który miał tej nocy dyżur, nie położył się jeszcze spać i był właśnie w gabinecie profesora

Szczerbińskiego. Na zapytanie oficera odpowiedział zupełnie szczerze, że list w zaklejonej kopercie oddał własnoręcznie - na prośbę Astra - pani Lubicz-Kępińskiej, do której zresztą list był adresowany. Stało się to mniej więcej pół godziny temu.

- To doktor Aster odzyskał przytomność? - spytał Szczęsny czując, że ważna nić śledztwa wymknęła mu się z rąk.

106

- Owszem, rozmawialiśmy trochę, już po przepłukaniu żołądka i zastosowaniu zastrzyków. Nie pytałem go o powód tak desperackiego kroku... było mi jakoś głupio, to przecież znany, ceniony chirurg, a ja nie utrzymywałem z nim żadnych bliższych stosunków. Podziękował mi tylko za zabiegi, prosił o zawiadomienie pana profesora, no i... właśnie o oddanie listu.

- Bez żadnych ustnych, dodatkowych wyjaśnień? - zdziwił się kapitan.

- Oddając list, powiedziałem - musiałem przecież powiedzieć - pani Kępińskiej, co zaszło - odparł młody lekarz. - Wydawała się bardzo przejęta, ale uspokoilem ją, że teraz niebezpieczeństwo już nie grozi. Listu przy mnie nie czytała. Swoim przyjściem przerwałem jej próbę, którą prowadziła na scenie. Sądzę, że musiała tam na razie powrócić.

- A cały pasztet teraz na mojej głowie! - wybuchnął Szczerbiński, biegając po pokoju i roztrzucając po drodze meble. - Skaranie boskie z tymi ludźmi, trują się, kochają, zabijają. Bóg wi co! Czerwiec, przychodzą urlopy, upały letnie, a tu naraz odpada mi

dwóch świetnych lekarzy! Jednego diabli wzięli na amen, drugi nie wiadomo, kiedy się wykaraska. Panie złoty! - chwycił nagle Szczęsnego za rękaw. - Obstaw mi pan resztę ludzi waszymi „aniołami stróżami”, bo cały szpital w końcu szlag trafi.

Przecież chorzy - to nie kolejka po cytryny, chorzy nie mogą czekać! Kto ich będzie leczył, ja się pytam?! Znachory?

107

ROZDZIAŁ VII

Jakaś obywatelka do was, kapitanie - zameldował dyżurny podoficer z biura przepustek. - Nazywa się Kępińska. Przyjmiecie?

- Natychmiast!

Szczęśny przyczesał się i naciągnął mundur, zawieszony na poręczy krzesła. Pani Renata przychodzi pewnie z awanturą. No, trudno. Podniecona gniewem, będzie może szczerza i powie prawdę. Bo w to jej „idealne małżeństwo” przestał już wierzyć. Zastukano do drzwi; jeden z milicjantów wprowadził panią Kępińską, zasalutował i zmrużył domyślnie jedno oko, ale dojrzawszy groźne spojrzenie oficera, ulotnił się w głąb korytarza. Spotkał kolegę i ulżył sobie: - Taaaka babka do Białego Kapitana, mówię ci! - trącił go łokciem. - Blondyna jak lala. A zła! Rany Julek, tak sadziła na trzecie piętro, że ledwom za nią zdążył.

Szczęśny podsunął Renacie krzesło i papierosy. Nie zdążył jednak ust otworzyć, gdy go uprzedziła:

- Kapitanie, co to ma znaczyć?! Dlaczego nie dopuszczacie mnie do Krys... do doktora Astra? Jakim prawem? On jest chory, wzywał mnie, ale zastałam w jego mieszkaniu jakiegoś milicjanta, który nie chce mnie wpuścić!

Machinalnie przyjęła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

- Doktor Aster jest podejrzany o dokonanie przestępczego czynu - odparł Szczęśny obojętnie - i dlatego nie wolno mu przyjmować wizyt osób postronnych. Gdy stan jego się polepszy, przewieziony zostanie do więziennego szpitala.

Renata patrzyła na mówiącego ze wzrastającym zdumieniem i grozą.

- Czy pan zwariował?! - wybuchnęła zrywając się z krzesła. - Ależ to po prostu oszczerstwo!

- Proszę nie zapominać, gdzie pani jest i do kogo mówi - upomniał ją oschle. - Proszę usiąść. Możemy chyba rozmawiać bez takich... epitetów.

Zmieszała się i przygryzła wargi. Jej zraniona ambicja cierpiała w tej chwili bardziej niż serce. Milczała chwilę.

- Trzeba było mnie nie okłamywać - powiedział Szczęsny bawiąc się ołówkiem. - Oboje postąpiliście nie jak dorośli, ale jak para nierozumnych dzieciaków. Ta zabawa dla jednego z was mogła się skończyć tragicznie.

- Krystian nic złego nie zrobił! Za co pan go aresztował?

- Proszę pokazać mi list, który napisał do pani przed zamachem na swoje życie.

Zawahała się.

- Nie mam go przy sobie - mruknęła.

- Proszę pani, niechże pani raz wreszcie przestanie kłamać! List ma pani w torebce - zaryzykował. - Doprawdy, żeby inteligentna, wykształcona kobieta nie umiała postępować jak uczciwy obywatel... Czy nikt pani nigdy nie uczył, że wobec milicji mówi się zawsze prawdę?

Znał ten typ kobiet: miłość własna przerasta u nich nawet uczucia. Czekał jeszcze chwilę, patrząc w okno. Usłyszał trzask zamka w torebce i szelest papieru. Milcząco podała mu białą kopertę.

List był krótki. Aster zegnał Renatę, nie tłumacząc bliżej powodów swego kroku, pisał tylko: Dłużej już tego wszystkiego nie zniosę, nie jestem w stanie. Nie zrobiłem tego, o czym myślisz. Ty i wiele innych osób... Nie zrobiłbym za żadną cenę, nawet za cenę naszej wspólnej przyszłości...

- Dlaczego opowiedziała mi pani o swoim rzekomo idealnym małżeństwie? - zapytał oficer oddając jej list. - Przecież wcale tak nie było. Natomiast pani słowa o doktorze Astrze bardzo przyczyniły się do pogłębienia pewnych moich podejrzeń.

Zbladła. Zacisnęła dłonie na poręczach krzesła.

- Moje słowa? - wyjąkała.

- Proszę sobie przypomnieć: „Janek pokłócił się z Astrem”... „czułam tę zawiść wśród lekarzy”... „bywali

u nas najczęściej: profesor Szczerbiński, doktor Aster" i tak dalej. Czy to wszystko w połączeniu z innymi poszlakami nie sugeruje, że właśnie doktor Aster jest zabójcą?

- Jakimi poszlakami?

- Gdzie był Aster w ów wieczór, kiedy zamordowano pani męża? On twierdzi, że u siebie w domu - my wiemy, że przyszedł tam dopiero około północy.

- Był u mnie - odparła ze znużeniem. Twarz jej postarzała nagle, nie unikała teraz wzroku oficera. Zrozumiał, że nie będzie już nic ukrywać. - Kochaliśmy się od dawna... to było niemal beznadziejne, Janek nigdy by mi nie dał rozwodu.

Następnego ranka po - zawahała się - po jego śmierci Krystian przybiegł do mnie rano... byłam przerażona, na wpół przytomna. Nie mogłam tego znieść, że w tej chwili, kiedy my... on tam umierał pod ciosem jakiegoś bandyty. Potem, na drugi czy trzeci dzień, usłyszałam, jak ktoś powiedział w teatrze podczas próby: „W porę umarł jej mąż! Astrowi się powiodło...” Poczulałam jakiś potworny chłód koło serca, zemdlalam. Nie potrafiłam już tych słów zapomnieć. Zaczęłam dręczyć się myślą: a jeżeli on to zdażył zrobić po wyjściu ode mnie! Jeżeli zdażył wejść do szpitala, nie zauważony przez portiera; przecież mógł się poruszać swobodnie po korytarzach, bez zwrócenia specjalnie czyjejs uwagi. Chciałam ukryć w sobie te myśli, ale nie bardzo mi się udawało i może dlatego w rozmowie z panem mimo woli coś takiego powiedziałam, co mogło ściągnąć na niego podejrzenie. Potem, właśnie w ten wieczór, przyszedł zgnębiony, zrozpaczony, powiedział, że koledzy jakoś dziwnie na niego patrzą, pielęgniarki szepczą coś do siebie. Że pan był u niego w mieszkaniu, a on postąpił bardzo nieostrożnie, wylewając koniak ze swego kieliszka tak, aby pan tego nie widział. „Milicja jest przekonana, że to ja zrobiłem - mówił - śledzą mnie, nachodzą w domu...” W szpitalu podobno nikt nie wierzy w winę Michalskiego, tego pielęgniarza: mówią, że pewnie uciekł, bo miał jakieś stare sprawy na sumieniu i przestraszył się milicji... Miał, zdaje się, papiery nie w po-

rządku. W pewnej chwili Krystian powiedział: „Ty też tak myślisz o mnie, tylko nie chcesz przyznać”. Nie umiałam wtedy spojrzeć mu w oczy i zaprzeczyć! Ja, aktorka -

uśmiechnęła się żałośnie - nie potrafiłam tej roli zagrać, jak należy...

- Jedno pytanie: złota bransoleta, którą pani nosi, czyim jest podarunkiem?

- Obydwóch... Zaraz wytłumaczę, to nie jest ściśle. Bransoletę kupił mi mąż na prezent gwiazdkowy.

- Gdzie? Zmieszała się.

- No? Szczerze, szczerze!

- W sklepie komisowym, tak - pokątnie. Miał tam znajomego kierownika. Jego potem zamordowano, jakaś okropna historia. Tydzień czy dwa, nie pamiętam dokładnie, przed śmiercią męża zgubiłam bransoletę. Bardzo się martwiłam, bo w tej całej sytuacji specjalnie nie chciałam Jankowi robić przykrości.

Szczesny mimo woli uśmiechnął się. Gdyby Kępiński miał wybierać pomiędzy utratą miłości żony a - bransolety... To tak jakby pożar zniszczył dom, zostawiając nietkniętą wycieraczkę.

- Krystian zauważył moje zmartwienie - ciągnęła dalej Renata. - Powiedziałam mu, co się stało. Odparł, że takie same bransolety widział w oknie u „Jubitera” na placu Konstytucji. Ucieszyłam się. Odkładałam pieniądze na wycieczkę SPATiF-u do Francji i miałam parę tysięcy na książeczce. Chciałam pójść następnego dnia i kupić, ale Krystian mnie uprzedził...

- O której godzinie doktor Aster przyszedł do pani owego wieczoru?

- Dokładnie: kwadrans po dziewiątej. Może zaświadczyć Antosia, moja gospodyni. Podała nam kolację. Był też około dziesiątej dozorca z kwitem za komorne; Krystian otwierał mu drzwi, ja byłam wówczas w kuchni.

- A o której Aster wyszedł?

- Około wpół do dwunastej, może parę minut wcześniej.

111

- W takim razie brama musiała być już zamknięta. -Szczesny sięgnął po słuchawkę. - Kazik? Przyślij do mnie Otoczkę, dobrze? Ale zaraz!

Po chwili wszedł do pokoju kapral milicji.

- Byliście już u dozorczy na Rozbrat dwanaście?

- Tak jest, towarzyszu kapitanie. Przypomina sobie, że otwierał wówczas bramę doktorowi Astrowi, zna go od dość dawna.

- Nie wątpię - mruknął Szczęsny, rzucając na Renatę przelotne spojrzenie.

Gdy milicjant wyszedł, pani Kępińska zwróciła na oficera oczy pełne łez.

- Czy teraz pan mnie wpuści do Krystiana? Pokiwał głową z wyrzutem:

- A można było tego wszystkiego uniknąć... - Podniósł się z krzesła, nałożył pas. - Ech, te kobiety! Pójdziemy do niego razem.

Porucznik Kręglewski ziewnął, otrząsnął się jak pies z wody i, szerzej otworzywszy okno, odetchnął świeżym, wilgotnym powietrzem. Deszcz przestał już padać, na zachodzie przejaśniło się.

- Dość roboty! - zawyrokował.

Zamknął biurko i zajrzał do pokoju Szczęsnego, który wsparty na łokciach siedział nad notatkami, wsunąwszy palce w rozwichrzone włosy.

- Mam bilety do teatru na dziś wieczór, może pójdziesz ze mną? - spytał siadając na brzegu biurka. - Moja sympatia puściła mnie w trąbę i jestem samotny jak obcięty palec.

Szczęsny odmruknął przecząco.

- Żyjesz niczym pustelnik - ciągnął Kręglewski, nie zrażony. - Chodzisz od miesiąca jak zacządziały, nie widzisz świata dokoła...

- Odczep się ze światem!

- Czy zauważyłeś na przykład, że na twoich tyłach stoi już nowy dom? Wczoraj właśnie tamtędy przechodziłem.

112

Szczęsny wykręcił głowę w prawo, a potem w lewo, usiłując dojrzeć własne plecy, co mu się, rzecz jasna, nie udało.

- Na moich tyłach nie ma nic więcej prócz przybrudzonej koszuli i spodni - odparł - jeżeli nie liczyć oparcia od krzesła. O ile zaś miałeś na myśli podwórze domu, w którym mieszkam, to masz rację. Mogę ci nawet powiedzieć coś niecoś o jego lokatorach.

- To nieciekawe. Opowiedz mi raczej, jak się odbyło czule spotkanie romantycznej

pary: Aster - Kępińska... A swoją drogą - nie chciałbym w takich okolicznościach uzyskać wolnej drogi do ukochanej!

Po wyjściu Kręglewskiego Szczęsny siedział jeszcze jakiś czas w komendzie, po czym wrócił do domu. Po drodze wstąpił do apteki, skąd wyszedł z małą paczuszką, zawiniętą w biały papier.

W mieszkaniu rozwinął opakowanie i wyjął czarną opaskę, taką, jaką się zakłada na chore oko. Stał przed lustrem i ze skupioną twarzą, powoli nałożył sobie opaskę.

Chwilę patrzył na siebie marszcząc brwi. Nagle z ust jego wyrwało się krótkie:

- Ach, psia!... No tak.

Szybko zerwał opaskę, przebrał się w podniszczony, brązowy garnitur i wsunął do kieszeni rewolwer, nie zapomniawszy przedtem sprawdzić magazynku. Gwiżdżąc wesoło, zbiegł ze schodów, kierując się w stronę trolejbusu.

Przystanął przed bramą i spojrzał w górę. W oknie było ciemno. Śpi albo go nie ma - pomyślał. Mżył znowu deszcz, ulicą z rzadka przemknął się jakiś przechodzień.

Pusto... Właściwie powinien był zapewnić sobie pomoc i zabrać kogoś z komendy. W tej zakazanej dzielnicy nie widać nawet patrolu. Po przykrym doświadczeniu z pogrzebem Szczęsny bał się jednak znów narazić na kpinki, a sprawa, którą chciał teraz wyjaśnić, być może, nie była wcale podejrzana.

113

Rozejrzał się dokoła. Nikogo. Wzruszył ramionami. W razie czego będę strzelał - zdecydował i wszedł do bramy.

Jak i poprzednim razem, Dzwoniec przez dłuższy czas nie dawał znaku życia.

Wreszcie za drzwiami coś się poruszyło i szcęknął klucz w zamku. W słabym blasku lampki na stole Szczęsny zobaczył zdziwioną twarz inwalidy.

- Pan kapitan? O tak późnej godzinie? Co się stało? - spytał wpuszczając oficera do środka. - Proszę, tu jest krzesło.

Ale Biały Kapitan, nie spuszczając oczu ze szczupłej, pochylonej postaci, nagłym ruchem przekreślił kontakt w ścianie. Silne, białe światło zalało pokój. Dzwoniec zamrugnął okiem i cofnął się podnosząc rękę do twarzy.

- Oko boli? - rzucił Szczęsny drwiącym tonem. - Które oko, panie... inwalido?!

Błyskawicznie wyciągnął rękę, chcąc zerwać czarną opaskę. Ale tamten zwinął się nagle jak wąż na podłodze, tuż przed jego nogami. Szczęsny zachwiał się tracąc równowagę. W tej samej chwili otrzymał z dołu tak silny cios butem w brzuch, że krzyknął i zatoczył się pod ścianę.

Górne światło zgasło. Oficer, przygryzając z bólu usta, sięgnął do kieszeni po rewolwer; nie zdążył go jednak wyjąć, gdy nowy cios powalił go na ziemię. Tym razem uderzenie było mniej bolesne, toteż zerwał się niemal natychmiast. Dzwoniec jednak siedział mu już na karku. Dysząc i sapiąc przewracali się po podłodze i Szczęsny zrozumiał, że walczy już nie tylko o schwytanie przestępcy, ale o własną skórę.

W pewnej chwili pod szarpnięciem prawy rękaw koszuli rzekomego inwalidy rozdarł się obnażając ciało. W nikłym świetle palącej się na stole lampki Biały Kapitan dojrzał na chudym, żylastym przedramieniu wytatuowaną postać marynarza, w czapce i wykładanym kołnierzu w podłużne paski...

Zrobił olbrzymi wysiłek i udało mu się namacać ręką chłodny metal broni. Wtedy jednak poczuł tak okropne uderzenie kantem dłoni w szyję, że dławiąc się i krztusząc upadł na podłogę. Nie wypuścił z zaciśniętej dłoni rewolweru, lecz nie miał siły strzelić. Zorientował się tylko, że Dzwoniec unosi w górę jego bezwładne ciało, niczym atleta, i wychodzi z pokoju. Po co? - zdziwił się. Uczuł w ustach smak krwi, miał mdłości. Zobaczył, że tamten usiłuje przełożyć jego nogi przez balustradę schodów. Zrzuci mnie w dół z trzeciego piętra - zrozumiał. - Widocznie chce upozorować wypadek.

Zacisnął szczęki, przywołując na pomoc cały swój system nerwowy, nieźle szkolony przez ostatnie lata, i resztką sił kopnął Dzwonca w kolano. Ten syknął z bólu i opuścił na chwilę ręce. Huknął strzał. Leżąc przy balustradzie, Biały Kapitan zobaczył, że bandyta znika w drzwiach swego pokoju. Nie zmieniając pozycji, wycelował w zamek; mimo panującej w korytarzu ciemności chybił tylko o centymetr, lecz drzwi pozostały zamknięte. Jeszcze dwa strzały - podczołgał się bliżej, mierząc starannie; przecież teraz mu już nie ucieknie... - zamek rozleciał się, drzwi zakołysały w zawiasach. Dźwignął się na nogi i słaniając z osłabienia wtoczył

się raczej, niż wszedł do pokoju.

Ale pokój był pusty.

Próżno Szczęsny zamglonymi z bólu oczami rozglądał się pilnie dokoła, nie wypuszczając broni z ręki. Nie było innych drzwi, tylko te jedne na korytarz. Nie było szafy ani żadnych skrytek. Dzwoniec zniknął, rozplynał się, ulotnił jak kamfora. Okno? Szczęsny podczołgał się do parapetu. Przedtem było chyba zamknięte?... Czyżby wyskoczył z trzeciego piętra?... Wychylił się i spojrzał w dół, przekonany, że ujrzy tam rozplaszczone zwłoki. Zwłok jednak nie było. Na szarych płytach chodnika nie zobaczył żadnego śladu krwi i tylko deszcz pluskał wesoło, nie przejmując się żadnymi ludzkimi sprawami.

W wiadrze obok żelaznego piecyka stała woda. Zaczepnął ręką i wypił chciwie parę łyków, starając się nie myśleć o jej czystości. Zmoczył twarz, odetchnął głęboko. Zakłuło go w płucach, aż jęknął. - Żebra... - mruknął spluwając.

I nagle zdumiała go cisza, jaka panowała w kamienicy. Strzały, szamotania, krzyk - czyżby nic nie wzbudziło za-
interesowania mieszkańców? Wyszli wszyscy z domu czy pomarli...

Stał przez dłuższą chwilę nieruchomo, nasłuchując. Z palcem na cynglu podszedł do rozwalonych drzwi i wyjrzał na korytarz. Naprzeciwno, w szparze między deskami, dojrzał czyjeś błyszczące oczy, które na jego widok szybko znikły. Wyszedł na schody. Gdzieś blisko przekrecono klucz w zamku. Gdy schodził w dół, na piętrach szybko przymykały się drzwi, szczękały zasuwki. Nikt w kamienicy nie chciał wiedzieć, co się stało - i nikt nie przyszedł z pomocą.

Co za diabelski dom! - myślał wstrzymując głębszy oddech, bo klucie stawało się coraz dotkliwsze. Gdy wykręcił głowę w tył, aby dojrzeć, co się dzieje za jego plecami, z nosa rzuciła mu się krew. Klnąc usiłował zatamować ją chustką. Poczuł, że jeżeli szybko nie nadejdzie pomoc, sprawa przybierze dla niego niebezpieczny obrót. Oparł się o bramę i nasłuchiwał. Z poprzecznej ulicy doszedł go tupot kilku par nóg i przyciszone głosy. Ściągnął brwi usiłując rozpoznać, kto idzie. Tupot był rytmiczny, jakby szli „w nogę”. Patrol! - ucieszył się. Ale jeżeli skręcą w lewo i ominą go? Wyciągnął rewolwer, strzelił w górę. Kroki zamarły na sekundę, po czym spieszenie

skierowały się w jego stronę. Zobaczył zielone mundury i białe otoki na czapkach. Był to patrol Wojskowej Służby Wewnętrznej, dwóch żołnierzy i oficer, wszyscy wysocy, silni, o rozrośniętych barach, z automatami przewieszonymi przez ramię.

- Kto to strzelał? Pan? - rzucił spiesznie oficer, widząc broń w ręku Szczęsnego. - Co się stało?

Biały Kapitan okazał swoją legitymację i nie wchodząc w szczegóły streścił krótko, co zaszło. Poprosił, aby żołnierze zostali na straży przed kamienicą, a oficer udał się z nim do komendy. Po paru minutach pojawił się jeszcze patrol milicyjny, który był w pobliżu i usłyszał strzał. Gorzej było ze znalezieniem taksówki i oficer WSW grzecznie, lecz stanowczo zarekwirował jakiegoś prywatnego fiata. Wraz ze skonsternowanym, choć chętnym do pomocy wła-

116

ścicielem odwieziono Szczęsnego wpierw na Pogotowie, gdzie okazało się, że prócz licznych potłuczeń ma złamane dwa żebra, a potem - po prowizorycznym opatrunku - do komendy.

Przyjechał wyrwany ze snu Daniłowicz, nagadał swemu zastępcy od ryzykantów i wariatów i natychmiast zorganizował obławę, w której sam wziął udział.

Obejrzawszy dokładnie parapet, okno i mur pod nim, major powiedział do towarzyszącego mu porucznika Stępki:

- Patrzcie, a jednak wylazł tędy! O, tu jest świeża rysa na lakierze, tutaj ślad buta, a tu... - pochylił się, Stępka świecił latarką - musiał mieć zakrwawione palce, spójrzcie, jaki wyraźny odcisk kciuka... zdejmijcie to na folię. Dobrze, że deszcz w tym miejscu nie zmył.

Wychylił się przez okno, popatrzał na gładką ścianę domu i pokręcił głową:

- Cyrkowiec czy co, u licha! - zdumiał się. - Po takim murze kot by nie zszedł.

Stępka zatoczył krąg światła.

- Zsunął się chyba po rynnie. Ale i tak... rzeczywiście — cyrkowiec.

- Towarzyszu majorze! - Jeden z milicjantów podszedł i pokazał coś niedużego, zawiniętego w brudne, ciemne szmaty. - Znaleźliśmy to pod żelaznym piecykiem, głęboko wsunięte. Widać nie zdążył zabrać.

I z triumfującą miną wyjął ze szmat szeroką złotą bransoletę. Zamigotała w jasnym świetle lampy, dziwnie kontrastując z ubóstwem i brudem pokoju.

O ósmej rano profesor Szczerbiński jak zwykle bardzo punktualnie wszedł do swego szpitalnego gabinetu. Szeroko otworzył okno, zdmuchnął jakiś strzępek papieru ze szklanej płyty na biurku, a widząc gliniany wazonik z kwiatami, skrzywił się i zadzwonił na sekretarkę.

- Nie stawiajcie mi tu naczyń! - burknął, odsuwając wazonik na sam brzeg płyty. - Dostyc już tego natłukłem. Co słyhać?

117

Sekretarka westchnęła i zaczęła składać obszerne sprawozdanie z wszystkiego, o czym zdążyła się dowiedzieć między godziną siódmą trzydzieści a przybyciem profesora. Był to jej codzienny obowiązek. Mówiła wolno, rozwlekle i Szczerbiński, wybijając palcami rytm jakiejś melodii, popędzał ją niecierpliwie: - No? No i? Wiem. Co dalej? - Wreszcie spojrzała przez uchylone drzwi do sekretariatu i stwierdziwszy, że wszedł ktoś obcy, zniknęła, aby za chwilę oznajmić:

- Introligator Kępski do pana profesora... W sprawie książek.

- Kto? - zdziwił się Szczerbiński. - Jakich książek? Nic nie wiem. Wszystko jedno, niech wejdzie.

Mężczyzna, który wszedł do gabinetu, był tak chudy i wiotki, że profesor na jego widok spieszenie zamknął okno, aby nie uleciał z wiatrem.

- Niech pan siada - powiedział. - Czemu pan tak mało je, panie Kępski? A w ogóle o co chodzi?

- Nie nazywam się Kępski i nie jestem introligatorem - odparł przybysz - ale pan sobie nie życzył, aby milicja...

- O, Boże! - profesor z jękiem opadł na fotel - znowu milicja!

- ... pokazywała się w szpitalu - kończył tamten - więc wymyśliłem introligatora, bo to spokojne zajęcie. A chodzi o to, że jeden z naszych oficerów, kapitan Szczęsny...

- Wiem! - przerwał Szczerbiński. - Blondyn, bez krawata.

- ... uległ pobiciu, ma złamane żebra i inne potłuczenia; jest w tej chwili w komendzie, ale prosi pana profesora o umieszczenie go w separacie szpitalnej. Ze

względu na dobro śledztwa.

- Śledztwa czy jego żeber? Chce tu przebywać jako pacjent czy jako śledzi... ten, jak to się nazywa? No, detektyw czy jak tam.

- I jedno, i drugie. Dlatego prosi, aby zajmował się nim wyłącznie pan profesor, a z pielęgniarzy - Słupski.

- Już wiem, co to za ziółko ten wasz Słupski! - powiedział profesor zjadliwie. - Niedługo w każdym kącie szpitala znajdę jakiegoś milicjanta.

- Niestety, nie mamy aż tylu pracowników. Więc czy mogę pojechać po Białego Kapitana?

- A jedź pan po białego, czarnego, rudego... Weźmie pani wreszcie ten garnek czy nie?! - ryknął w stronę sekretariatu. Porwał gliniany wazonik i rozglądając się bezradnie dokoła, umieścił go na samym środku pokoju. W chwilę potem sekretarka wchodząc potknęła się o ludowe dzieło sztuki, przewróciła je i wylała wodę na dywan. Wprawilo to profesora w doskonały humor.

W parę dni później, gdy kapitan Szczęsny przestał gorączkować i czuł się nieco silniejszy, do jego separatki wszedł Daniłowicz. Ucieszył się z poprawy stanu zdrowia swego zastępcy i opowiedział mu o, negatywnych zresztą, wynikach poszukiwań Jana Dzwonia.

W pokoiku na poddaszu prócz złotej bransolety nie znaleziono nic, co mogłoby naprowadzić na ślad zbiegłego przestępcy. Trochę niewyraźnych odcisków palców na przedmiotach, kawałek zwykłej niebieskiej koperty z urwanym napisem: „Warsza...”

- i to wszystko. Dochodzenie na Bazarze Różyckiego, gdzie jakoby Dzwoniec miał pracować u jakiegoś handlarza, było przysłowiowym szukaniem igły w stogu siana.

Albo rzeczywiście nikt go tutaj nie zatrudniał, albo nie chciał się do tego przyznać.

Najciekawsze wyniki dało dokładne przebadanie lokatorów kamienicy, w której mieszkał Dzwoniec. Przy tej okazji bowiem milicja znalazła kilku od dawna poszukiwanych złodziei, paskarzy i spekulantów, którzy widocznie upodobali sobie właśnie ten dom. Nie natrafiono jednak jak dotąd na powiązania pomiędzy nimi a osobą byłego sprzątacza sklepu komisowego.

- To się jeszcze okaże - powiedział Szczęsny w zamyśleniu. - Daj, stary, papierosa!

- A wolno ci palić?

- Nie zwracaj głowy! Otwórz okno, to dym wyjdzie... Więc wygląda na to, że mamy w tej chwili do czynienia z dwoma przestępcami, którzy zniknęli bez śladu. Stefan!

118

119

- Uniósł się na łokciu. - Czy nie widzisz powiązania pomiędzy Dzwoncem a Michalskim? Czy nie wydaje ci się -zniżył głos do szeptu - że to jest jakaś dobrze zorganizowana szajka, z rudą pielęgniarką Irmą do spółki?

Major myślał przez chwilę, obracając w palcach guzik od koldry.

- Tak, chyba masz rację - odparł, wsuwając machinalnie do kieszeni urwany guzik. - I mnie to przyszło na myśl już dwa dni temu, jak przeglądałem akta obu spraw.

Nazwiska są pewnie i tak fałszywe, więc może to bracia? Zresztą pokrewieństwo nieważne. Jeżeli mamy rację, to jedynym źródłem... jakby to powiedzieć? -

informacji może być dla nas ta pielęgniarka. Weźmiemy ją pod stałą obserwację.

Przydzielę do niej najlepszych wywiadowców.

- Pamiętaj, że jest jednak dość sprytna. Jeżeli cośkolwiek zauważy, to leżymy. Myślę poza tym, że trzeba ją nie tylko obserwować, ale i strzec jak oka w głowie. Tamci mogą chcieć się jej pozbyć. Wtedy tracimy wszelki ślad.

Pielęgniarka Słupski vel sierżant Wiązek ostrożnie uchylił drzwi separatki.

- Ja nie śpię - powiedział Szczęsny. — Co tam nowego?

- At, specjalnie nic. Tak tylko zajrzałem, czy pan czego nie potrzebuje.

W szpitalu obaj przestrzegali zwracania się do siebie per „pan”, jak zwykły chory i... zwykły pielęgniarz.

- Potrzebuję papierosa - odparł oficer - jeżeli nie ma tam w pobliżu profesora.

- Iii, gdzieżby, przecie noc! Profesor chrapie pewnie w swoim łóżku. Proszę giewonta...

Po chwili obaj zaciągali się dymem, zamknawszy na wszelki wypadek drzwi na klucz.

- Szymańska od jutra przechodzi na salę piątą - powiedział Słupski.

- Tak? - mruknął Szczęsny. Nagle usiadł na łóżku. -A co się stało z Reszkiem, tym

malarzem, którego pielęgnowała?

- Już dwa dni temu pojechał do domu. Wyzdrowiał.

- Psiakrew! Czemuście mi nie powiedzieli?

- Pan kapitan nic nie mówił... Co pan robi, ojej?!

- Słuchaj, bracie, gdzie moje ubranie? - Szczęśny stał już przy szafie, wyrzucając z niej wszystko na podłogę. -Musimy zaraz tam iść.

- Do tego malarza? Z gipsem na żebrach, kapitanie?! Za nic na świecie. Major mnie posadzi, ja odpowiadam, kapitanie! No i do czego to podobne...

- Co masz pod tym białym kitlem? Idziemy razem, w razie czego sam nie dam rady.

- Ja bym i tak pana samego nie puścił. Mogę iść w koszuli i spodniach - odparł Słupski zrezygnowawszy z oporu. - Broń mam, to najważniejsze. A na dworze ciepło.

- Tylko którądy wyjdziemy? Może portier śpi, zobaczą, sierżancie!

- E, po co? Wyjdziemy przez jedno z tylnych wyjść; tamtędy pielęgniarki wyskakują czasem „na jednego”. Klucz jest niby u portiera, ale te łobuzy dorobiły drugi. No, a ja mam naturalnie trzeci...

Gdy znaleźli się na ulicy, Szczęśnego ogarnął nagły niepokój. Próżno usiłował wytłumaczyć sobie, że przecież bandyci nie ryzykowaliby chyba napadu w tak krótkim czasie po obławie na ich siedzibę - i dlaczegóż to akurat dziś, a nie jutro czy za trzy dni... Z drugiej jednak strony przychodziło mu na myśl, że tamci wiedzą przez Irmę o jego bytności w szpitalu, o stanie zdrowia, który uniemożliwia mu kontynuowanie śledztwa. Okazja doskonała, nie ma co!

Wszystko jedno, trzeba zobaczyć się z Reszkiem. zapewnić mu ochronę; Irma za bardzo interesowała się rozkładem jego mieszkania i wszystkim, co posiada... - rozważał przyspieszając kroku. - A w dzień profesor ze szpitala nie wypuści, szkoda marzyć!

Wreszcie skręcili w Mokotowską. Szczęśny zatrzymał się na chwilę i spojrzał w górę. Na drugim piętrze dwa okna były oświetlone. Według tego, co mu Reszke opowiadał, powinny to być właśnie okna jego mieszkania. Czyżby malarz nie spał do tej pory?

120

121

Targnął nim nagły strach. A jeżeli naraził starszego, Bogu ducha winnego człowieka na... śmierć?

Brama była otwarta, co nie wzbudzało podejrzeń, bo część domu opleciona była rusztowaniami; naprawiano stare uszkodzenia i w sieni leżały cegły, piasek i jakieś rury.

- To tu... - mruknął Szczęsny, gdy weszli na górę; dyszał ciężko, bo ściśle przylegający gips utrudniał mu głębszy oddech.

Mała mosiężna tabliczka z napisem „Ignacy Reszke”. Szeroka smuga światła, padająca na schody z uchylonych drzwi... I cisza.

- Coś niedobrze, kapitanie - szepnął sierżant wyciągając broń z kieszeni. - Czekajcie, ja pójdę pierwszy.

Powoli, niemal bezszelestnie pchnęli drzwi szerzej i wśliznęli się do przedpokoju.

Szczęsny pamiętał, że Reszke zajmuje dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką. Światło biło z obu pokoi, pootwieranych na oścież. Zbliżyli się i stanęli na progu jednego z nich. Przewrócone krzeselko, powyciągane szuflady, zmięta i rozrzucona pościel na pustym tapczanie - oto co wpierw zobaczyli.

- Do diabła! Spóźniliśmy się - syknął Szczęsny przez zęby. - Niech to jasna cholera! Słupski zajrzał do drugiego pokoju. Podobny obraz. Zamknęli drzwi wejściowe i szybko przebiegli kuchnię, łazienkę... Nikogo. Żywego - ani martwego. Czyżby bandyci wprowadzili malarza albo zabrali ze sobą zwłoki?

- Panie Ignacy! - zawołał kapitan. - Gdzie pan jest? Panie Reszke!...

Cisza.

- Panie Ignacy!

- Miau... - usłyszeli nagle gdzieś spod sufitu. Jak na komendę obaj podnieśli głowy w górę.

- Gdzie ten kot?!

Sierżant wzruszył ramionami, rozglądając się bezradnie dokoła. - Kici, kici... - zawołał.

- Miau...

- Cicho, Kaśka! - głos, który teraz się odezwał, docho-

dził również gdzieś jakby spod lampy. - Ja pana widzę, kapitanie, ale nie mogę zejść.

- Gdzie pan jest, u licha?!

- Na szafie.

Szczęśny uczuł nagle, jak - wbrew wszelkim przewidywaniom - wzbiera w nim gwałtowny atak śmiechu. Podeszli z sierżantem do wielkiej, czarnej szafy, ozdobionej na górze wysoką balustradą i girlandami. Właśnie za tą balustradą, zwinięty w kłębek, siedział Ignacy Reszke w zielonej piżamie i z potężnym guzem na czole, tuląc do siebie szarobiałą, wystraszoną kotkę.

Sierżant przysunął krzesło, wspiał się na nie, zdjął malarza z szafy wraz z kotką i postawił jak lalkę na dywanie.

Reszke chwiał się na nogach, był blady, a oczy błyszczały mu podnieceniem. Przez chwilę rozglądał się wokoło, jakby zastanawiając się, co zrobić, wreszcie machnął desperacko ręką i ruszył do kuchni. Po chwili wrócił stamtąd, niosąc butelkę i trzy kieliszki.

- Zaraz, panie Ignacy! - powiedział kapitan. - Co tu się stało? Dlaczego drzwi były otwarte i po co pan siedział na szafie?

Malarz napełnił kieliszki i wychyliwszy swój duszkiem, odetchnął z ulgą.

- Co się stało? - powtórzył podsuwając im wódkę. - Myślę, że nasza umowa w szpitalu przybrała właśnie tej nocy realne kształty. Nie rozumiem tylko, dlaczego było ich dwóch... Według tego, co mi pan mówił, spodziewałem się tylko Michalskiego. Bo ten rudzielec się nie pokazał... Chyba że stała na schodach jako tak zwana „czujka”.

Słupski łakomie spoglądał na swój kieliszek, ale bał się go ruszyć bez zezwolenia Szczęsnego. Bądź co bądź widać, że w mieszkaniu odbył się napad, i wizytę ich u Reszkego należało teraz traktować „służbowo”. Westchnął i schyliwszy się pogłaskał kotkę. Żeby tak kapitan wypił...

- Gdybym wiedział, że przyjdziecie - ciągnął Reszke - nie wlaźlibym na szafę, zwłaszcza że przy tej operacji pękły mi szwy w spodniach. Ale bałem się, że tamci wrócą. Ach, kapitanie, co to była za scena!

Nalał sobie drugi kieliszek, posmakował i wychylił. Słupski nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Więc tak... - odsapnął malarz i usiadł w fotelu. - Była już chyba dwunasta albo wpół do pierwszej, kiedy zbudził mnie jakiś szelest. Usiadłem na łóżku. Ktoś wchodził do przedpokoju. Zapaliłem światło na nocnym stoliku i właśnie zdążyłem wsadzić nogi w pantofle, gdy na progu zobaczyłem jakiegoś mężczyznę. „Co pan tu robi?” - zapytałem trochę głupio, bo na pewno nie czekał na tramwaj. Patrząc na mnie, podchodził coraz bliżej i nagle - zupełnie nagle, bez jakiegoś ostrzeżenia: „ręce do góry” czy coś takiego - wyrznął mnie w łeb czymś twardym, tak że zwałem się na dywan i na chwilę straciłem przytomność. To ten guz... - dotknął ręką czoła i skrzywił się. - Potem ocknąłem się. Leżałem w dalszym ciągu na dywanie, w obu pokojach paliło się światło i jacyś dwaj mężczyźni gospodarowali sobie w nich jak u siebie w domu. Znaleźli walizki, wyciągnęli je na środek i zaczęli ładować co lepsze rzeczy... Na mnie nie zwracali żadnej uwagi, pewnie myśleli, że leżę nieprzytomny albo w ogóle trup. Starąłem się nie drgnąć, oddychałem ledwo-ledwo, kiedy przechodzili obok mnie. Leżałem jednak w takiej pozycji, że rozchyliwszy lekko powieki mogłem ich obserwować. Obaj byli wzrostu raczej średniego, jeden trochę niższy i zwinniejszy. Ten właśnie miał szalik zasłaniający mu twarz.

Znowu napełnił kieliszek i wypił. Sierżant rzucił Szczęsnemu błagalne spojrzenie, ale czarne oczy oficera utkwione były bez przerwy w mówiącym.

- Kiedy już skończyli rabowanie, ten niższy z szalikiem wyniósł jedną walizkę na schody, a ten drugi rozejrzał się jeszcze dokoła, potem podszedł do mnie i nachylił się. Zdrętwiałem... wstrzymałem oddech... I nagle... wie pan, kapitanie, to było coś zupełnie niesamowitego - przedtem nie zauważyłem nawet, że na dworze lał deszcz i była burza - więc nagle błysnęło straszliwie i huknęło jak sto piorunów! Widać uderzyło w drzewo pod moim balkonem. Ten niższy wpadł do pokoju, coś bąknął przez szalik, usłyszałem oddalające się kroki, skrzyp podnoszonej walizki,

jeszcze jakieś stuknięcie i - cisza. Leżałem długo na dywanie, jakby mi sparaliżowało

nogi. Bałem się ruszyć, bałem się nawet wyjrzeć do przedpokoju. Sam nie wiem, jakim cudem i właściwie po co wdrapałem się na tę szafę... zdawało mi się, że tam mnie nie znajdą, jeżeliby wrócili. Dlatego nie odzywałem się z początku, jak weszliście, dopiero jak pana dobrze rozpoznałem.

- Więc jednak było dwóch... - powiedział Szczęsny trąc w zamyśleniu czoło. Nagle oczy jego błysnęły żywo. - Panie Ignacy! Czy zapamiętał pan twarz tego wyższego bandyty? Jako malarz-portrecista ma pan przecież specjalnie uczuloną pamięć wzrokową. Czy potrafiłby pan go naszkicować?

Reszke wydał wargi i unióśł brwi w górę. Potem przymknął oczy, usiłując przywołać w myśli obraz postaci, której - choć w dość niezwykłej pozycji - to jednak trochę się przyglądał. Sięgnął do biurka i wyjął mały szkicownik.

- Spróbuję - mruknął. - Idźcie sobie... gdzieś tam! Jak wielu malarzy, nie znosił, gdy ktoś przyglądał się jego pracy.

Szczęsny nie miał zresztą zamiaru tracić czasu na przyglądanie się. Przede wszystkim odnalazł aparat telefoniczny, na szczęście nie uszkodzony, i połączywszy się z komendą, poprosił o przysłanie wywiadowcy z walizką śledczą oraz fotografa. Potem wraz ze Słupskim obejrzeni dokładnie ślady włamania i rabunku. Okazało się, że dwaj przestępcy zabrali właśnie te wszystkie rzeczy, o których Reszke wspominał Irmie w szpitalu. Nie szukali więc na ślepo, co upewniło Szczęsnego, że ruda pielęgniarka maczała palce w organizacji napadu.

- Dlaczego pan mnie nie zawiadomił o opuszczeniu szpitala! - powiedział do Reszkego z wyrzutem. - Zrobię wszystko, aby odnaleźć pańskie rzeczy, ale to nie będzie łatwe... Naprawdę nie sądziłem, że nasza umowa zaprowadzi aż tak daleko! Czuł wyrzuty sumienia. Mimo woli naraził malarza na poważne straty. Reszke nie zwrócił jednak uwagi na jego słowa, cały pochłonięty szkicowaniem.

125

Szczęsny wyszedł więc do drugiego pokoju. Na stole stała szklana waza, pełna owoców. Patrzył na nią w zadumie i przyszło mu na myśl, że dawno nie widział tak pięknych, dorodnych gruszek, śliwek, brzoskwiń... Nagle coś go zastanowiło.

O tej porze roku brzoskwinie? I śliwki? Podszedł bliżej i wziął pierwszy z brzegu owoc do ręki. Podniósł do nosa i uczuł zapach farby czy lakieru. Uśmiechnął się i odłożył gruszkę, podziwiając doskonałą robotę jakiegoś rękodzielnika.

- Skąd pan ma tak świetnie zrobione owoce, panie Ignacy?' - zawołał. - Myślałem, że to prawdziwe.

- A, to... z Czechosłowacji, znajomy mi kiedyś przywiózł. Malowałem je. Ładne, prawda? Zwłaszcza brzoskwinia i jabłko.

Szczęśny poszukał oczami, ale jabłka nie znalazł. Spojrzał pod stół, rozejrzał się po pokoju... Nie ma.

- Mówi pan, że było i jabłko?

- Nie: było, a przecież jest! - odparł malarz ze zdziwieniem. - Leży na samym wierzchu.

- Nie ma.

Oficer już coś przeczuwał. Zawołał Słupskiego i we dwójkę zaczęli przetrząsać cały pokój. Wreszcie pod szafą - widać odrzucone niecierpliwą ręką - leżało żółtoróżowe, duże jabłko. Było nadgryzione. W sztucznym miąższu owocu wyraźnie odcisnęły się ślady zębów.

- Mój inwalida pozostawił za sobą cenny dowód rzeczowy - powiedział z uśmiechem Biały Kapitan, ostrożnie zawijając jabłko w papier. - Biedak, jakże się zawiódł! A tak lubi owoce...

U drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. Reszke skoczył na równe nogi i przewracając krzeselko wpadł do drugiego pokoju.

- Idą! - zawołał ochryłym szeptem. - Może co zapomnieli? Niech pan strzela!

- Ależ, panie Ignacy... - oficer przygryzł wargi ze śmiechu - bandyci zazwyczaj nie wracają po parasol albo kapelusz. To pewnie nasi z komendy.

Słupski już otwierał drzwi. Wszedł jeden z podoficerów MO, a za nim fotograf.

Szczęśny wyjaśnił im sytuację i po-

lecił zająć się zebraniem wszelkich śladów, odcisków palców oraz sfotografować mieszkanie.

Sam powrócił do pokoju, gdzie był telefon. Stał właśnie z ręką na słuchawce,

zastanawiając się nad czymś, gdy od strony biurka doleciało go zadowolone mruknięcie. Odwrócił głowę. Reszke spoglądał na ukończony rysunek i uśmiechał się. Szczęsny podszedł do niego i ujął szkic w rękę.

Podłużna, koścista twarz z prostym nosem i lekko wysuniętą brodą... Wąskie, zacięte usta. Oczy przymrużone jak u czającego się kota. Gładko zaczesane, ciemne włosy. Oficer długo wpatrywał się w tę twarz, rozważając każdy jej rys, każdą fałdkę skóry czy zmarszczkę na czole. Do jakiego stopnia rysunek oddawał podobieństwo? Oto najważniejsze zagadnienie. Czy była to twarz Karola Michalskiego? Na to pytanie mógł odpowiedzieć tylko ktoś ze szpitala. Czy szkic był podobizną Jana Dzwonia? Trudno orzec... opaska na oku bardzo zmienia wyraz twarzy.

Ale właściwie na jakiej podstawie przypuszcza, że rabunkowe morderstwo w sklepie i tajemnicza zbrodnia w szpitalu w ogóle mają ze sobą jakiś związek! Tylko i wyłącznie na podstawie narzędzia i metody zbrodni. A to naprawdę nie wszystko... Załóżmy - rozważał - że Michalski i Dzwoniec działają wspólnie. Jeżeli rysunek przedstawia Michalskiego, to ten niższy bandyta w szaliku był pewnie Dzwoncem. Piekielnie sprytna para! W jakim jednak celu zabili doktora Kępińskiego? Należałoby cofnąć się aż do momentu, kiedy w styczniu przywieziono do szpitala konającego kierownika sklepu, Andrzeja Zadrożnego. Ach, gdy-byż ściany małej sali operacyjnej umiały mówić! Załóżmy jednak, że...

- O czym myślisz, kapitanie? - zapytał Reszke po dłuższej chwili, widząc w czarnych oczach Szczęsnego jakieś niezwykle, gorączkowe podniecenie.

Oficer spojrział na niego mało przytomnym wzrokiem.

- O czym myślę? - powtórzył wolno. I uśmiechnął się. - Myślę, że diablo wówczas ryzykowałem! I gdyby nie wejście profesora Szczerbińskiego...

126

127

- Nic nie rozumiem - powiedział malarz obrażonym tonem. - Co zrobił ten stary ramol?

Ale Białego Kapitana nie było już w pokoju ani w mieszkaniu. Nie było również rysunku. Reszke podumał chwilę, podreptał do kuchni, nalał kotce mleka i

kiwnawszy na obu milicjantów i fotografa, zaprosił ich na „skromną kolację”, którą o tej godzinie można było właściwie nazwać śniadaniem.

Profesor Szczerbiński zdjął okulary i przysunawszy rysunek do oczu parsknął gniewnie:

- Co znaczy: kto to jest? Przecież to Michalski, którego pan szuka od paru tygodni. Skąd pan wziął jego portret?

- Przepraszam... - Doktor Goldberg nie wytrzymał i wyrwał profesorowi szkic z ręki.

- Michalski jak żywy! Skąd pan to ma, kapitanie?

Rysunek krążył po gabinecie, przechodząc z rąk do rąk, a wszyscy zebrani od razu poznawali pielęgniarza Michalskiego. Sześć par oczu z niecierpliwością spoglądało na Białego Kapitana, który stał na środku pokoju nie udzielając żadnej odpowiedzi.

Dopiero kiedy szkic powrócił do niego, schował go starannie i zapytał:

- A więc wszyscy z państwa rozpoznali na rysunku pielęgniarza Michalskiego?

- Naturalnie! Tak, oczywiście! No pewnie... - posypały się odpowiedzi.

- Bardzo dziękuję. To mi na razie wystarczy. Do widzenia. I oficer spiesznie opuścił gabinet, wywołując wśród

obecnych pomruk oburzenia i pozostawiając za sobą niezaspokojoną ciekawość.

Sekretarz Związku Inwalidów potrząsnął przecząco głową.

- Ależ nie, kapitanie! Ani go nie polecaliśmy dyrekcji sklepów komisowych, ani w ogóle nikt od nas w tej sprawie nie telefonował. To jakieś nieporozumienie.

- A jednak w dyrekcji twierdzą, że przyjęto Dzwonca na telefoniczną rekomendację i prośbę waszego związku - od-

parł Szczęsny. - Nie mogłem tylko ustalić nazwiska osoby, która wówczas dzwoniła.

- Widocznie ktoś się podszył pod sekretariat Związku Inwalidów. I mówicie, że ten facet miał naszą legitymację? Ja sprawdzałem w kartotece, żaden Jan Dzwoniec u nas nie figuruje. Legitymacja musiała być fałszywa.

- Dyrektor Nowacki? Mówi kapitan Szczęsny, dzień dobry. Dyrektorze, czy może mi pan powiedzieć coś bliższego o przedsiębiorstwie usługowym „Frontem do mas”?...

Na Grochowskiej sto siedemdziesiąt trzy... Dobrze, poczekam przy telefonie... Tak, słucham?... Nie istnieje już? A co się stało?... Rozleciało się po prostu... Chodzi mi o

Jana Dzwonca, który pracował tam jako posługacz... Tak, miał od nich świadectwo. A może zna pan kogoś, kto tam pracował, a teraz zatrudniony jest gdzie indziej?...

Dwóch ludzi tylko? To cóż to było za przedsiębiorstwo! A kim był ten drugi?...

Wyjechał do NRF?... Hm. No, trudno, dziękuję panu. Do widzenia.

Sierżant Kamiński obciągnął mundur, przygładził włosy i zastukał.

- Proszę!

Wszedł z uśmiechem, zameldował się przepisowo, a potem powiedział z przyjazną troską w głosie:

- Kapitanie, źle wyglądacie. Możecie chorzy?

- Będę zawsze źle wyglądał, jeżeli wy będziecie robić głupstwa - odparł Szczęsny surowo. - Co to za raport? - podsunął mu pod nos jakiś papier.

- To? - Kamiński zmieszał się i poprawił guzik przy mundurze.

- No to, to! Do d... z taką robotą, rozumiecie, sierżancie?! Śmiem twierdzić, że przez wasze karygodne niedbalstwo zginął doktor Kępiński.

- Ja... - zaczął sierżant, ale Biały Kapitan nie dał mu skończyć.

128

129

- Obejrzelście wówczas ramiona wszystkich trzech? Coście tu napisali: „na żadnym z zatrzymanych nie znalazłem śladu zadrapania”... Na żadnym? A oglądaliście ręce posługacza Dzwonca?

Sierżant milczał, zaczerwieniony po uszy.

- Dzwoniec ma tatuaż na prawym przedramieniu - powiedział Szczęsny spokojniejszym już tonem. - Dałbym głowę, że miał wtedy zadrapaną skórę, i to właśnie w miejscu tatuażu, rozumiecie? Na tym strzępku skóry, który znalazłem na szafie, widać ciemne prążki; musiałbym się bardzo mylić, gdyby to nie były paski z marynarskiego kołnierza, wytatuowanego na przedramieniu. Gdybym był wówczas o tym wiedział, Dzwoniec nie wykręciłby się odgrywaniem roli półkretyna, półinwalidy!

Milczeli chwilę. Szczęsny wstał od biurka, przeszedł się parę razy po pokoju, potem zatrzymał się przed sierżantem i powiedział z głębokim wyrzutem:

- Ach, ty stary idioto! Widzisz, coś narobił?...

- To ja już chyba nie mam co robić w milicji - odparł ponuro Kamiński. - Pewnie mnie teraz posadzą, a potem...

Machnął wymownie ręką.

- Słuchajcie, sierżancie, dam wam szansę! - powiedział Biały Kapitan po namyśle. - Wiem, że robię to wbrew regulaminom i tak dalej. Ale pracowaliśmy razem parę lat i pamiętam, że jest to wasze pierwsze wykroczenie.

Kamiński podniósł głowę i spojrzał na oficera ze wzruszeniem.

- Towarzyszu kapitanie, zrobię wszystko, żeby się zrehabilitować! Powiedźcie tylko, o co chodzi. Uwierzcie mi znowu! Jak pragnę zdrowia, ja wtedy chyba zgłupiałem czy co...

- No dobrze, siadajcie. Przedstawię wam mój plan, który - zaznaczam od razu - opiera się tylko na jednej przesłance: użytym narzędziu zbrodni. W tę przesłankę nie wierzy już nikt w komendzie prócz mnie. Szanse są więc słabe i sprawa niełatwa. Posłuchajcie...

Gdy po godzinie podnieśli się z krzeseł, obaj mieli rozpalone twarze i błyszczące oczy. Kamiński pożegnał się

130

i wyszedł spiesznie, kierując się w stronę swojej komendy dzielnicowej. Pilno mu było rozpocząć działanie. Wierzył w powodzenie planu, ale przede wszystkim wierzył w instynkt i „nos” Białego Kapitana.

A Szczęsny wolno, wolniutko, noga za nogą, w przewidywaniu potężnej awantury za swoją „ucieczkę” - wracał do szpitala.

131

ROZDZIAŁ VIII

Był październik. Od kilku dni padał nudny, monotony deszcz, strącając z drzew mokre liście i zalewając ulice miasta potokami wody. Zachmurzone niebo zmuszało do zapalania świateł już o wczesnym popołudniu i do utyskiwania na „obrzydliwie wczesną jesień”.

W jedno z takich szarych popołudni do drzwi pokoju Białego Kapitana w komendzie

ktoś mocno zastukał i wszedł spiesznie, nie czekając na zaproszenie. Szczęsny uniósł głowę znad papierów i spojrzawszy na wchodzącego odłożył pióro.

- Jest?!

- Jest, kapitanie! - odparł sierżant Kamiński, zrzucając po prostu na podłogę ociekającą wodą pelerynę. - Jeżeli to nie on, to ja jestem ostatni jełop i tuman.

- Siadaj, stary, i mów! Gdzieś go widział?

- Tropiłem tę rudą Irmę od paru tygodni, odkąd wywiadowca z komendy miasta przestał się nią interesować...

- Major twierdził, że to już bezcelowe - przerwał mu Szczęsny. - Pomyślcie: lipiec, sierpień, wrzesień, bez żadnych rezultatów. Ja się nie upierałem, bo wiedziałem, że wy ją macie na oku.

- Kapitanie, myślałem już, że nogi wyciągnę! To babsko ma jakiś dar znikania nagle z ulicy, jakby ją kto wymiótł. W dodatku łązi po najgorszych dzielnicach, po przedmieściach i ciągle sama. W końcu, kiedy już straciłem nadzieję, złapałem ją w takim maleńkim, obskurnym barze na Pradze, gdzie się schodzi sama „śmietanka” handlarzy, złodziejasków i bandziorów. Siedziała przy stoliku z niedużym, chudym facetem: ciemne, uli-zane włosy, twarz koścista, wąskie usta, kubek w kubek jak na tym rysunku, coście mi go dali... Ferajna dokoła taka, że gdybym nawet ściągnął patrol z ulicy i próbował

tych dwoje przyskrzynić, to byśmy jeszcze nie dali rady. Pilnowałem więc tylko, żeby mi nie uciekli. Piłem przy bufecie, zjadłem jakiś klops, po którym mnie do dzisiaj brzuch boli - a to było z tydzień temu - udawałem, że mam w czubie, i miętosilem jakąś flądre, od której potem nie mogłem się odczepić. Ani rusz jednak nie udało mi się podchwycić choć paru zdań z ich rozmowy. Kiedy wyszli, poszedłem za nimi, ale nawinęło mi się po drodze dwóch pijaków i zanim się ich pozbyłem, tamci znikli mi z oczu. Wiedziałem już jednak, gdzie się spotykają. No, a wczoraj - Kamiński przerwał dla wywołania większego efektu - wczoraj zobaczyłem ich po raz drugi. Tylko że jego ledwo poznałem...

- Dlaczego?

- Bo ma teraz siwe włosy, utyka na nogę, jakieś zmarszczki sobie porobił na twarzy,

jakby nie ten sam człowiek. Ale to on, jak pragnę zdrowia, jego oczy, usta, ja przecież nie taki znów frajer. Kapitanie, oni już coś nowego przygotowują! Ja to czuję - sierżant pociągnął znacząco nosem.

- Tak... - powiedział Szczęsny. - Więc mówicie, że siwy, utyka na nogę, zmarszczki na twarzy... Utyka? Znowu jakieś kalectwo. Ale to by potwierdzało moje przypuszczenia. Sierżancie, w najbliższych tygodniach trzeba będzie wziąć pod obserwację wszystkie szpitale i kliniki, wszystkie większe restauracje i kawiarnie, wszystkie... co to jeszcze? Aha, hotele. Poza tym banki, ministerstwa, urzędy. Nie, ja wiem, że to jest niemożliwe, więc weźcie tylko szpitale, zakłady gastronomiczne i hotele. Szatniarze, portierzy, posługacze - coś takiego. Rozumiecie? Zajęcia odpowiednie dla starszego, kulejącego mężczyzny bez specjalnych kwalifikacji. A ja porozumiem się z komendami dzielnicowymi, aby zwróciły uwagę na nowo przyjętych do pracy inwalidów. I jeszcze jedno, sierżancie: nie próbujcie go na razie aresztować. Obawiam się, że to by nam zepsuło całą robotę. My go i tak dostaniemy, ale musimy go złapać in flagranti.

- In... co?

132

133

- No, na gorącym uczynku. Tylko wtedy nasz plan się powiedzie, a przypuszczenia okażą się słuszne. Porozmawiali jeszcze chwilę i Kamiński wyszedł.

Minęło dziesięć dni, dla Białego Kapitana pełnych niepokoju i oczekiwania.

Chwilami zaciskał zęby, myśląc z uporem: musi się udać! - chwilami znów opadało go zniechęcenie i zwątpienie.

A jeżeli się mylę? - rozważał, krążąc po swym pokoju jak niepokojone zwierzę. -

Jeżeli Stefan i tamci mają rację? No, cóż... Wtedy i tak bandyci w końcu zasiądą na ławie oskarżonych, ale jakże trudno będzie jednemu z nich udowodnić przestępstwo!

Jedenastego dnia, a właściwie jedenastej nocy, Szczęsnego zbudziło niecierpliwe stukanie do drzwi wejściowych. Wyskoczył z łóżka. To mógł być tylko Kamiński!

Tak jak stał, w piżamie i boso, podbiegł do drzwi. Jedno spojrzenie na okrągłą, rozpromienioną twarz sierżanta wystarczyło, aby zorientować się, że przynosi dobre

nowiny.

- No, to już tak, jak byśmy go mieli, towarzyszu kapitanie! - powiedział Kamiński pakując się od razu do pokoju. - Siwy, kulejący portier pracuje od paru dni w hotelu „Mazowsze”. Mieliście rację, żeby szukać po hotelach.

Szczesny usiadł na brzegu biurka i nerwowo zaciągnął się papierosem.

- Widzieliście go?

- Jak was teraz widzę. Od trzech dni jestem w charakterze „poszukującego pokoju”.

Łążę z walizką, parasolem i w kaloszach! Kapitanie, wyobrażacie sobie milicjanta w kaloszach?!

- Nie. Nie cierpię kaloszy.

- Ja też. Ciągłe mi z butów spadają. No i dzisiaj jak raz trafiam do „Mazowsza”, podchodzę do lady - rany Julek, myślałem, że mnie zatknie... On. Ta sama gęba z trochę wysuniętą szczęką i zaciętymi ustami. Ale uśmiechnięty, grzeczny, do jakiegoś zagranicznego gościa parle franse

odstawia, a jakże! Wiedzie, że się spocilem ze strachu, żeby mnie, cholera, przypadkiem nie poznał z tego baru na Pradze, chociaż to prawie niemożliwe, no i zresztą nie wie przecież, kto jestem, ale z takimi czortami to nigdy nic nie wiadomo. Pamiętacie, jakeśmy się kryli przy tropieniu tego zabójcy kolejarza? A poznał mnie, bestia, choć byłem ucharakteryzowany, że rodzona matka by się mnie wyparła... No, więc spytałem tylko drugiego portiera, takiego młodzika, czy jest wolny pokój, naturalnie nie było, i odszedłem.

- Hotel „Mazowsze”... - Szczesny w zamyśleniu pogładził włosy. - „Mazowsze”... poczekajcie!

Sięgnął do szuflady biurka, pogrzebał w papierach i wyjął jakiś zeszyt. Przerzucił parę kartek i twarz mu się rozjaśniła.

- „Mazowsze”? Doskonale. Będziemy mieli ułatwioną robotę. Przecież tam jest dyrektorem Witkowski, emerytowany major z II Armii. Daniłowicz go dobrze zna. Już brał za słuchawkę, ale spojrzał przypadkiem na zegarek i odłożył ją z westchnieniem żalu. Dochodziło wpół do drugiej.

- Najważniejsze teraz - to nie spłoszyć ptaszka - mruknął. - Muszę się jednak

upewnić, że to na pewno on.

- Ależ, kapitanie - zaczął Kamiński z urazą. Szczęsny machnął jednak ręką.

- Był kiedyś taki pogrzeb... - urwał.

- Jaki pogrzeb?

- Starego pijaka. Mniejsza z tym. Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha.

On ma tej nocy dyżur?

- Ten siwy portier? - myśli Szczęsnego skakały jak rozbiegane konie i sierżant usiłował je połapać. - Tak? Chcecie tam iść? Ej, nie radzę. Macie, towarzyszu kapitanie, taką - jakby to powiedzieć - podpadającą twarz...

- Wiem, psiakrew! Całe moje nieszczęście... Ale muszę, rozumiecie? Zanim cokolwiek zaczniemy działać, muszę mieć niezbitą pewność, że to on.

- Ha, jak musicie, to nie ma rady. Pozwólcie, pomogę wam się przebrać. Tylko te włosy to trzeba jakoś...

134

135

O godzinie drugiej minut dwadzieścia do hotelu „Mazowsze” wszedł z walizką starszy czarnowłosy mężczyzna w okularach. Miał na sobie elegancki nieprzemakalny płaszcz, miękki kapelusz, nasunięty mocno na czoło i grubą złotą obrączkę na palcu.

Podszedł do lady, niedbale dotknął ręką kapelusza i zapytał po angielsku, czy jest dla niego zarezerwowany pokój.

Po drugiej stronie lady siwy, blady portier o wąskich ustach i lekko wysuniętej brodzie z zażenowaniem rozłożył ręce. Nie, po angielsku on nie mówi...

- Peut-etre parlez vous français, monsieur? - zapytał -Oder sprechen Sie deutsch?

Przybysz wzruszył ramionami.

- I am asking, may I get a room for a night? a free room? I called for it. I am professor Robert Houll from Glasgow University, M.I.M.E. - W głosie jego czuć było zniecierpliwienie.

Portier domyśliwszy się, o co chodzi, przerzucił szybko stos depeesz i zajrzał do książki hotelowej, po czym z ubolewaniem potrząsnął głową.

- Pan profesor Houll? Niestety, nie ma... No, it is not -wydusił z siebie gdzieś słyszane zdanie. - Kein Zimmer! Nie mamy nic wolnego. Może hotel „Orbis”?

„Orbis”! - powtórzył parokrotnie nazwę. I wychyliwszy się zza lady w stronę drzwi wyjściowych, pokazał ręką kierunek: na prawo, a potem prosto.

- O, yes! „Orbis”, I know - odparł spiesznie profesor. -Thank you.

Wyszedłszy z hotelu skręcił wprawdzie na prawo, ale tuż za rogiem zmienił widać swoje zamiary, bo ruszył w odwrotnym kierunku, niż mu pokazano. Sto metrów dalej do profesora przyłączył się jakiś mężczyzna z parasolem i w kaloszach.

- No i jak, kapitanie? - zapytał Kamiński, gdy powrócili na Piękną i Szczęsny, uwolniwszy się od czarnej peruki i okularów, zmywał wazeliną zmarszczki na twarzy.

- Mielicie rację - odparł Biały Kapitan. Oczy jego lśniły jak dwa żarzące się węgle, a koło ust błąkał się le-

136

dwie widoczny uśmiezek. Kamiński przyjrzał mu się i pokiwał głową.

- Ej, nie chciałbym ja być w skórze tego faceta! - mruknął. - A te dwa żebra już wam się zrosły?...

Szczęsny parsknął śmiechem.

Siwy, kulejący portier nazywał się Adolf Zenkis. Według dokumentów, nie budzących zresztą wątpliwości, był to reemigrant z Niemiec, inwalida drugiej wojny światowej. Doskonałe świadectwa z kilku niemieckich hoteli i jednego francuskiego w Lyon, jak również znajomość dwóch obcych języków - były powodem, że dyrektor hotelu „Mazowsze” przyjął Zenkisa z otwartymi ramionami. Taki portier, oblatany po świecie, a przy tym -o dziwo! - bez wysokich wymagań finansowych, zdarza się niezbyt często.

Toteż kiedy dyrektora Witkowskiego poproszono o przyjęcie „w pewnej sprawie” do komendy miasta, ani przez myśl mu nie przeszło, że sprawa ta może mieć jakikolwiek związek z nowo przyjętym portierem.

Zdumienie jego i oburzenie przemieniło się wkrótce w podejrzliwość.

- Eee, jakieś bajki! - powiedział do Daniłowicza wzruszając ramionami. - Powiedz od

razu, że chcecie mi zabrać dobrego portiera do „Orbisu” czy „Polonii”...

Trzeba było sporo czasu, aby przekonać dyrektora, że to nie żadne „bajki” i że pomoc jego jest tu absolutnie konieczna. Zgodził się wreszcie, zastrzegając, że robi to tylko przez życzliwość dla dawnego kolegi z wojska, bo w żadnego bandytę nie wierzy. Rezultatem jego zgody było przyjęcie do hotelu „Mazowsze” nowego windziarza i elektromontera oraz dwojga gości - na czas nieograniczony. Nowym pracownikom nie można było zarzucić braku umiejętności fachowych, a to, że posiadali przy sobie dość specjalne legitymacje służbowe, nikogo nie powinno było obchodzić. „Goście” - młode małżeństwo - umieszczeni na pierwszym piętrze, płacili za pokój punktualnie i zachowywali się wzorowo.

137

Minął jeszcze tydzień - i „windziarz” zameldował Białemu Kapitanowi, że siwy portier zaczyna wyraźnie interesować się pewną starszą panią, Zofią Grzędowską, zamieszkałą od trzech dni w „Mazowszu”. Była to właścicielka sklepu galanteryjno-komisowego w Lublinie, która co miesiąc przyjeżdżała do Warszawy po zakupy i zawsze „stawiała” w tym samym hotelu. Krążyła wówczas po bazarach, ciuchach, podkupywała towary z PKO, przynosiła do swego numeru różne paczki i paczuszki.

- Czy zauważyliście, że interesują go te paczki, czy też raczej sama ich właścicielka?

- zapytał Szczęsny.

- Wiecie, kapitanie, trudno to określić, ale chyba jedno i drugie... Rozmawiał z nią już parokrotnie, dawał jakieś adresy, odnosił paczki do pokoju. Kapral Milecki, nasz „elektryk”, reperował wczoraj światło i podpatrzył, jak szeptali sobie na korytarzu, przy oknie. Baba musi być zasobna w forszę, nawet głupi by to zauważył, a co dopiero taki szczwany lis jak ten siwy...

- Ile dni zostaje ona jeszcze w hotelu?

- Dziś mamy wtorek, prawda? Słyszałem, że w piątek rano ma odjechać do Łodzi, a stamtąd do Lublina.

- W piątek. A więc pozostały nam dwa dni, nie licząc dzisiejszego. A raczej - trzy noce...

We środę rano, w gabinecie majora Daniłowicza zebrało się kilka osób. Prócz majora,

Białego Kapitana i poruczników: Stępki i Kręglewskiego, był dyrektor Witkowski, „elektryk” i „goście” z hotelu oraz sierżant Kamiński, który z niepewną miną zajął skromne miejsce przy samych drzwiach. Nie wiedział jeszcze, jak wygląda sprawa jego rehabilitacji...

Kapitan Szczęsny poinformował zebranych o sytuacji w hotelu i przedstawił swój plan.

- Pani Grzędowska - mówił szkicując na papierze rozkład pokoi - mieszka w pokoju 226, na drugim piętrze. Obok niej pokój 227 jest od wczoraj pusty, trzymany w rezerwie dla jakiegoś zagranicznego gościa, prawda? - spojrzał pytająco na Witkowskiego, który przytwierdził skinieniem głowy. - Pomiedzy tymi dwoma pokojami są drzwi,

zamknięte stale na klucz i zasłonięte z obu stron kotarami. Klucz znajduje się w administracji hotelu. Myślę, że siwemu portierowi nietrudno było - jako że jest już w dość zażyłych stosunkach z panią Grzędowską - zrobić woskowy odcisk zamka, a z niego drugi klucz.

- Można, towarzyszu kapitanie?... - wtrącił „elektryk”.

- Parę dni temu zauważyłem, że miał na palcach zaschniętą stearynę, jakby nosił kapiącą świeczkę.

Dyrektor Witkowski poruszył się niespokojnie. Wciąż po cichu żałował swojego „bandyty”.

- To pewnie było wtedy, gdy w hotelu zepsuło się światło - powiedział. - Zenkis mógł rzeczywiście chodzić gdzieś ze świeczką.

„Elektryk” uśmiechnął się.

- Światło się nie zepsuło, tylko ja umyślnie wyłączyłem

- odparł. - Trzeba mu przecież stwarzać okazje...

- I siwy szedł na pierwsze piętro z latarką, nie ze świeczką - dodał „gość-mąż”. - Byłem wówczas na korytarzu.

- Naprzeciwko pokoi 226 i 227 - ciągnął dalej Szczęsny

- czyli pod 219 zamieszkał dziś rano porucznik Stępka; jego pokój znajduje się dokładnie nad numerem 116, czyli waszym - zwrócił się do „gości”, którzy skinęli

potakująco głowami. - Jak wygląda teraz strona zewnętrzna, że się tak wyrażę? Otóż okno numeru 227, tego pustego, wychodzi na podwórze, ściślej mówiąc, na róg podwórza, ciemny i nocą nie oświetlony. Idealne miejsce do różnych sztuk cyrkowych...

- Czyli pole do popisu dla drugiego bandyty - mruknął major.

Sierżant Kamiński otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale napotkawszy wzrok Szczęsnego, zamknął je z powrotem.

- Pani Grzędowska ma zamiar wyjechać w piątek rano; zagraniczny gość zapowiedziany jest na czwartek wieczorem. O ile więc moje przewidywania są słuszne, napad odbędzie się - może się odbyć - tylko i wyłącznie... dziś w nocy.

138

139

- Dziś w nocy - powtórzył major z namysłem. - Czy wystarczy naszych ludzi do ujęcia trzech przestępców? Bo trzeba liczyć się też z obecnością tej pielęgniarce. Porucznik Stępka, was troje i „windziarz” - to pięciu. Kapitan Szczęsny nie może się tam pokazać wcześniej niż po ujęciu całej bandy... Będziemy więc czekać w komendzie i na pierwszy sygnał wyjedziemy. Trzeba, żeby jeszcze ktoś był z wozem przed hotelem, naturalnie w cywilu. Czego się uśmiechasz?

- Bo myślę, że wystarczy nas aż nadto - odparł Biały Kapitan.

- Pamiętaj, że mamy do czynienia z dwoma mordercami, którzy na pewno nie będą się patyczkować! Już ci raz połamano żebra. Nie masz dość?

Po tym retorycznym pytaniu Daniłowicz wstał, uważając swój udział w naradzie za skończony. Wzywano go już od kwadransa do Komendy Głównej MO. Zaś Szczęsny wraz z pozostałymi zajął się szczegółowym opracowywaniem obławy.

Dochodziła północ. W portierni hotelu „Mazowsze” drzemał za ladą młody blondyn o krótko ostrzyżonej czuprynie. Był bardzo zmęczony. Pełnił dyżur już drugą dobę - najpierw za siebie, a teraz za tego starego Zenkisa, który miał jakieś tam ważne sprawy rodzinne do załatwienia i poprosił go o zastępstwo. Młody portier nie uznawał właściwie żadnych zastępstw; tym razem jednak prośba została poparta szeleszczącym banknotem, a takiemu argumentowi trudno było się oprzeć.

Swoją drogą, staremu musiało baaardzo zależeć na spędzeniu tej nocy w domu - myślał, budząc się co chwila z nerwowej drzemki - żeby aż setkę za to wybulić... Ziewnął i przeciągnął się. W mrocznym hallu, skulony na fotelu, spał „windziarz”. Właściwie mógł już pójść do domu, dyżur kończył mu się o dwunastej. Portier nie chciał go jednak budzić. Zasnął człowiek, to niech śpi... w hallu ciepło.

140

Szklane, obrotowe drzwi zakołysały się gwałtownie. Weszła grupka ludzi, śpiesząc się i depcząc sobie po piętach. Każdy chciał być pierwszy, aby dostać pokój.

Widocznie przyjechał niedawno jakiś pociąg.

Portier otrząsnął z siebie resztki snu i zajął się przybyłymi. Zajął się gorliwie, toteż jednemu z nich - a właściwie jednej - udało się bez żadnego trudu przemknąć z małą walizeczką po schodach w górę. Dziwna rzecz... nie uszło to jednak uwagi tak smacznie śpiącego „windziarza”, który ledwie dostrzegalnym ruchem trzykrotnie nacisnął guziczek dzwonka przy windzie.

"Elektryk", reperujący korki na drugim piętrze, na odgłos dzwonka szybko odłożył trzymany w ręce drucik i zbliżywszy się do drzwi naprzeciwko pokoju 226, zastukał w nie delikatnie: raz - potem szybko dwa razy. To samo, tylko butem w podłogę, zrobił gość z tego numeru, a małżeństwo na pierwszym piętrze natychmiast wyskoczyło z łóżek, przy czym okazało się, że spali w ubraniu...

W hallu na dole „windziarz” rozprostował kości, kichnął i niedbałym, wolnym krokiem wyszedł na ulicę. Rozejrzawszy się bystro dokoła, szepnął coś do szofera ciemnozielonej warszawy i wrócił. Warszawa ostrym pędem wystrzeliła sprzed hotelu, znikając na zakręcie.

Tymczasem z numeru 219 człapiąc pantoflami wyszedł ziewający mężczyzna z ręcznikiem i mydłem w ręku. Na zakręcie obok łazienki omal nie zderzył się ze spiesznie idącą kobietą, ubraną w płaszcz i chustkę na głowie. Niosła małą walizkę. Z bladej, piegowatej twarzy musnęły go przelotnie niebieskie, wypukłe oczy.

- O, i am sorry... - bąknął usuwając jej się z drogi. Poczłapał dalej. Zdążył jednak zauważyć, że wkłada klucz w drzwi numeru 227. Gdy weszła, zamykając je za sobą, błyskawicznie zawrócił do swego pokoju. Tempo jego przebierania się w brązowe

ubranie i półbuty na miękkiej gumowej podeszwie było zaskakujące. Jeszcze chyba nigdy porucznikowi Stępce tak się nie śpieszyło.

W pokoju o piętro niżej mąż wsunął do kieszeni rewolwer i spojrzał na żonę ze źle tajoną obawą. Mimo iż oboje

141

grali rolę małżeńskiej pary, była to jednak jego prawdziwa żona i troska, aby uchronić ją od niebezpieczeństwa, stwarzała mu dodatkowe kłopoty,

W tym samym czasie z komendy miasta wyjeżdżała ciemnozielona warszawa; prócz szofera siedziało w niej teraz kilku mężczyzn w milicyjnych mundurach.

Pani Zofia Grzędowska miała tej nocy niespokojne sny. Czy rumsztyk na kolację był nieświeży, czy trapiła ją obawa o sklep w Lublinie, pozostawiony w lekkomyślnych rękach syna - nie wiadomo. Dość że przewracała się na łóżku, stękała, wzdychała i coraz to budziły ją jakieś urojone szmery.

A może... może jednak nie urojone? Otworzyła oczy. Czy jej się zdaje, czy też naprawdę zasłona koło umywalni się porusza... W pokoju jest ciemno, można jednak rozróżnić sprzęty, błyszczą krany i lustro nad nimi. Właśnie w tym lustrze - coś jakby... nie, to chyba złudzenie? Ależ tak, przed lustrem przesuwają się jakieś cienie -jeden, za nim drugi...

- Złodzieje!!!

Z krzykiem zerwała się z łóżka. W tej samej chwili światło nagle zapalonej lampy zalało cały pokój. W tym świetle pani Grzędowska z przerażeniem zobaczyła stojącego przy szafie siwego portiera, a za nim jakąś obcą kobietę.

- Stój! Ręce do góry! - krzyknął ktoś od strony drzwi. Ktoś drugi stał przy kontakcie, z bronią gotową do strzału, trzeci, również uzbrojony, zachodził drogę od strony okna.

Siwy portier i kobieta wolno unieśli ręce w górę... Szczęknęły dwukrotnie zamki kajdanków. Porucznik Stępka schował broń i rozkazawszy wyprowadzić oboje aresztowanych do drugiego pokoju, udzielił oniemiałej pani Grzędowskiej kilku zdawkowych wyjaśnień. Nie pytała o szczegóły, szczęśliwa, że milicja - jakimś cudem - zjawiała się tak bardzo w porę i ocaliła jej kosztowne gałganki.

W parę minut po tym wszystkim do numeru 227 weszli: major Daniłowicz i Biały Kapitan. Na widok Szczę-

snego siwy portier drgnął i zrobił ruch, jakby chciał rzucić się w bok, ale powstrzymały go mocne ręce „elektryka”, który stał tuż za jego plecami. - Siedź, łobuzie, pókim dobry... - mruknął.

Major Daniłowicz przyjrzał się rudej pielęgniarce, potem Zenkisowi i zapytał ostro:

- No, a gdzież jest wasz trzeci współnik od mordowania?

Portier rzucił mu krótkie spojrzenie i nie odpowiedział. Irma wzruszyła lekko ramionami.

- Chwileczkę... - powiedział wtedy Biały Kapitan. Podeszedł do Zenkisa i odsunął aż do barku prawy rękaw jego marynarki i koszuli. Na chudym, żyłastym ramieniu rysował się wyraźnie niebieski tatuaż: głowa i szyja marynarza, w czapce i z kołnierzem w podłużne prążki.

- Nie ma trzeciego współnika! - zabrzmiał niezwykle żywo głos Szczęsnego. - Jest i był przez cały czas tylko jeden morderca obu ofiar: Zadrożnego i Kępińskiego. Jeden człowiek o kilku nazwiskach i kilku twarzach - Jan Dzwoniec vel Karol Michalski vel Adolf Zenkis... Jak się naprawdę nazywa, tego się jeszcze dowiemy.

- Poczekaj, poczekaj, kapitanie... ja jeszcze wielu rzeczy nie rozumiem - przerwał Reszke, napełniając filiżanki pachnącą, mocną kawą. - Notabene zwracam ci uwagę, że tak zaparzonej kawy nie dostaniesz nigdzie, tylko u mnie w domu.

- Czego pan nie rozumie, panie Ignacy? - zapytał Biały Kapitan, mrużąc oczy z zadowoleniem i wciągając w nozdrza aromat brunatnego nektaru.

- A więc, primo: szedł pan, jak to mówią „na pewniaka”, że Michalski i Dzwoniec to jedna osoba. Na jakiej podstawie?

- Wcale nie szedłem na pewniaka. Czuję tylko, że obie zbrodnie popełniła jedna i ta sama ręka, używając jednego i tego samego narzędzia, a jak się teraz okazało, miałem rację.

142

143

- Dobrze. Secundo: po co ten wariat zabił doktora Kępińskiego, nie okradłszy go przy

tym? To znaczy, chcę powiedzieć, jaki był cel drugiego morderstwa?

- Widzi pan... Kiedy w styczniu przywieziono do szpitala konającego kierownika, Andrzeja Zadrożnego, zajął się nim doktor Kępiński, jego dobry znajomy, który niejednokrotnie kupował w sklepie różne drobiazgi - i nie drobiazgi, jak na przykład złotą bransoletę za dziewięć tysięcy osiemset złotych. Za tę właśnie bransoletę, kupioną u Zadrożnego prywatnie, na lewo, był mu winien jeszcze jakąś sumę pieniędzy. Kiedy więc przywieziono Zadrożnego i położono w sali operacyjnej, ten - w ostatnim momencie świadomości - wybełkotał parokrotnie imię „Jasiu”. Kępiński miał na imię Jan; Jasiem nazywano czasem w sklepie posługacza Dzwonca, też Jana. Widocznie Zadrożny, który wyszedł w nocy z domu, aby sprawdzić stan swej skrytki, czy coś w tym rodzaju, tego już dziś nie stwierdzimy, natknął się tam na złodzieja i poznał w nim Dzwonca. Dlatego też, jak zeznała Szymańska, powiedział do Kępińskiego „Jasiu”, aby zwrócić jego uwagę na przestępcę. Gdyby był przytomniejszy, wymieniłby przede wszystkim nazwisko, ale on już konał.

- Aha, rozumiem, lekarz wziął to „Jasiu” do siebie, widocznie byli na ty.

- Przypuszczam. Pani Kępińska powiedziała mi, że w kalendarzu męża znalazła pod datą dwudziestego stycznia, czyli krótko po zabójstwie kierownika, taką notatkę: „zwrócić resztę żonie Zadrożnego”. Resztę, to znaczy pieniądze, które lekarz był jeszcze winien za bransoletę. Nie wiem i nigdy się już nie dowiem - czy ten dług, czy inne sprawy wprawiły doktora Kępińskiego w zakłopotanie i stale rosnące zdenerwowanie. Może dręczył się myślą, że to nie o bransolecie, a zupełnie o czym innym chciał mu powiedzieć umierający człowiek... Była tu jeszcze inna przyczyna zdenerwowania: sprawy małżeńskie. Kępiński podejrzewał, że żona przestała go kochać, co zresztą było prawdą. Szukał rywala, nie wiem, czy go znalazł, ale to zdenerwowanie i roztargnienie w pracy dobrze zaobserwowała ruda pielęgniarka. Skojarzywszy je z wymienionym przez Zadrożnego imieniem Dzwonca doszła wspólnie z nim do wniosku, że widocznie lekarz zrozumiał jednak, o kogo chodziło, i tylko waha się, czy zawiadomić milicję, aby szukała jakiegoś „Jasia”. Ten fałszywy, acz mający pewne cechy prawdopodobieństwa wniosek stał się przyczyną śmierci Kępińskiego.

- A luminal czy weronal w herbacie?

- Doktor Wiśniewski, dawny asystent Kępińskiego, powiedział mi wczoraj, że chirurg w ostatnich tygodniach przed śmiercią często zażywał luminal, gdyż był tak zdenerwowany, że nie mógł sypiać. Pani Renata o tym nie wiedziała... mało już wówczas interesowała się własnym mężem.

- Kim jest właściwie Dzwoniec vel Michalski, czy jak mu tam?

- Nazywa się rzeczywiście Adolf Zenkis i ostatnie dokumenty, którymi się posługiwał, są prawdziwe, wyjąwszy świadectwa hoteli, które podrobił na ukradzionych blankietach. Miał już w życiu niejeden fach, obijał się po świecie, był parę lat cyrkowcem - stąd jego umiejętność chodzenia po rynnach i dachach. Jak pan już pewnie słyszał, do pokoju 227 dostał się z podwórza po rynnie, a potem przez okno, które otworzyła Irma. Przez jakiś czas Zenkis pracował jako pomocnik w Zakładzie Medycyny Sądowej. Stamtąd wyniósł umiejętność posługiwania się nożem sekcyjnym i znajomość anatomii, co w połączeniu z pomocą Army pozwoliło mu być zupełnie dobrym pielęgniarzem.

- Brr! - wstrząsnął się Reszke. - Dostać się w łapy takiego „pielęgniara” od truposzów... dziękuję! Jakim cudem przyjęli go do szpitala?

- Właśnie przy pomocy sfalszowanych papierów i fikcyjnego telefonu. To bardzo sprytna bestia i naprawdę -bestia! Posłużyło mu też obrzydliwe niedbalstwo sierżanta Kamińskiego. Gdyby był wówczas dokładnie obejrzał ramiona wszystkich trzech mężczyzn, nie doszłoby do drugiej zbrodni. Tak to w naszej milicyjnej robocie mszczą się czasem pozorne drobiazgi.

144

145

- Poczekaj, kapitanie... no, a kto wobec tego był u mnie w mieszkaniu? Kim był ten niższy, w szaliku na twarzy?

- Żeby takie malarskie oczy, jak pańskie, nie potrafiły mimo przebrania rozpoznać kobiety...

- A, psiakręć! Więc to był ten rudzielec? Niesłychane! -Reszke pokręcił głową ze zdumieniem. Coś go jednak zastanowiło, bo umilkł na dłuższą chwilę, pocierając w

zamyśleniu podbródek. Wreszcie odezwał się z wahaniem:

- Wie pan, nie mogę sobie wytłumaczyć, co ją właściwie związało z Zenkiszem? I jak pogodzić fakt, że była bezsprzecznie bardzo dobrą, troskliwą pielęgniarką, a jednocześnie współdziałała z bandytą, gorzej: z mordercą!

- To stara historia. Zenkis poznał Szymańską jeszcze przed wojną, gdy jako młoda dziewczyna rozpoczynała dopiero swój staż pielęgniarski. Oboje zeznają o tych sprawach niechętnie, zwłaszcza on... Mogłem się tylko domyślić, że przydarzył jej się jakiś... określimy to jako „błąd życiowy”... nie wiem, kradzież czy oszustwo. Zenkis o tym wiedział. Zastosowanie szantażu było w tym wypadku skuteczną metodą zrobienia z niej w ciągu paru lat powolnego sobie narzędzia, kogoś mocno z nim związanego i w pewnym sensie oddanego. Taki ktoś był Zenkiszowi potrzebny. Niewątpliwie wywierał na nią również silny wpływ jako mężczyzna. Można by tu dyskutować, jak określić ściślej to, co z biegiem lat nawiązało się pomiędzy nimi. Irma jest raczej typem prostym, dość ograniczonym w inwencji, biernym. Jej prymitywne kłamstwa, którymi usiłowała mnie wyprowadzić w pole, jej - właściwie - nieudolność przestępcza sprawiała, że Zenkis musiał jej zawsze udzielać dokładnych wskazówek i wytyczać kierunek działania. Dlatego tam, gdzie musiała bronić się sama, gdzie wydarzyło się coś, czego przedtem wspólnie nie przewidzieli i nie omówili - jak na przykład moje przyjście z siostrą Elżbietą do pańskiej separatki - tam popełniała błędy, denerwowała się, wycofywała.

- Jak pan myśli, czy on dla niej chował tam u siebie, pod piecem, złotą bransoletę? Szczęsny parsknął śmiechem.

- Skądże znowu! Niech pan go nie posądza o taką hojność czy sentymentalizm. Po prostu nie zdążył jej wcześniej sprzedać, a potem zorientował się, że milicja nie zrezygnowała z szukania zabójcy Zadrożnego, i bał się ryzyka. Nawiasem mówiąc, złota bransoletka odegrała w obu zabójstwach dość znaczną rolę i była dla mnie przysłowiową nitką śledczą...

- Zaraz, bo zapomnę: a czym ten Dzwoniec czy Zenkis otworzył skrytkę w ścianie?

- Kluczykiem, znalezionym w kieszeni Zadrożnego, który leżał już wtedy bez przytomności na podłodze. Zenkis nie zdążył jeszcze otworzyć skrytki swoimi

narzędziami, kiedy zaskoczyło go przyjście Zadrożnego - akurat tej nocy i o tej godzinie! Nie wiem zresztą, może on tak częściej chodził nocami i pilnował tej swojej skrytki... W każdym razie tej nocy szedł na śmierć. Zenkis był na tyle chytry, że włożył później kluczyk z powrotem, dla zatarcia śladów. No, czego pan jeszcze nie rozumie?

- Chyba już wszystko... Szkoda mi tego Astra, o mały włos, a byłby się przejechał na tamten świat.

- Pan też, panie Ignacy - powiedział Szczęsny ze skruchą - gdyby nie piorun...

- Błogosławione niech będą wobec tego pioruny. Jeszcze filiżankę kawy, Biały Kapitanie?

- Nie, dziękuję bardzo, muszę już iść.

Pożegnali się serdecznie i Szczęsny wyszedł. Reszke wyniósł do kuchni brudne naczynia, mrużąc coś pod nosem, potem wrócił i zajrzał ostrożnie do koszyka stojącego przy tapczanie. Spała tam Kaśka, a wraz z nią trzy małe pstre kociaki. Przyglądał im się chwilę z uśmiechem. Potem pościelił sobie tapczan, szykując się również do snu. Wyciągnął pantofle nocne, pomacał jeden, zajrzał do środka i, oburzony, odstawił na podłogę. Pantofel był mokry.

- Strasznie źle wychowane te twoje dzieci - powiedział do Kaśki z wyrzutem. - Znowu któreś nalało mi do pantofla!

KONIEC

Nota redakcyjna

Powieść Anny Kłodzińskiej „Złota bransoleta” jest czternastą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawą. Jest to wznowienie powieści opublikowanej po raz pierwszy w 1958 roku przez Wydawnictwo MON w serii „Labirynt”.

Pomysł wydawania serii z Warszawą zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd. Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - „Tęczowy cocktail”
2. Helena Sekuła - „Kieliszek Bordeaux”

3. Helena Sekuła - „Wstęga Kaina"
4. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Czwarty klucz"
5. Piotr Kitrasiewicz - „Sherlock Holmes i koledzy"
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Nieudany urlop majora Downara"
7. Anna Kłodzińska - „Królowa Nocy"
8. Anna Kłodzińska - „Jak śmierć jest cicha"
9. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Za dużo kobiet"
10. Jerzy Edigey - „Uparty milicjant"
11. Jerzy Edigey - „Czek dla białego gangu"
12. Helena Sekuła - „Złoty blues"
13. Jerzy Edigey - „Niech pan zdejmie rękawiczki"
14. Anna Kłodzińska - „Malwersanci"

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego grona. Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd www.klubmord.com

oraz na Forum Mordu

www.klubmord.fora.pl

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest do miłośników starych polskich kryminalów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki (prezesik13@wp.pl) prezes Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd

Wykaz książek Anny Kłodzińskiej

1. Śledztwo prowadzi porucznik Szczęsny (1957) Labirynt
2. Złota bransoleta (1958) Labirynt
3. Srebrzysta śmierć (1959) Labirynt
4. Dwa włosy blond (1960) Labirynt
5. Przegrana stawka (1961) Labirynt
6. Kim jesteś Czarny? (1963) Labirynt
7. Błękitne okulary (1965) Jamnik
8. Jedwabny krawat (1966) Jamnik

9. Nie bój się nocy (1968) Jamnik
10. Świetlista igła (1969) Jamnik
11. Potem przychodzi ktoś inny (1970) Jamnik
12. Nocny gość (1973) Labirynt
13. Wrak (1973) Jamnik
14. Pokolenie dłużników (1973)
15. Czy pan pamięta inżynierze (1975) Labirynt
16. Taniec szkieletów (1977) Labirynt
17. Trzeci gang (1979) Labirynt
18. Szukam tego człowieka (1979) Labirynt
19. Dzieci milionerów (1980, 1982) Labirynt
20. Złocisty przegrywa (1980) Labirynt
21. Grzęzawisko (1981) Labirynt
22. W pogardzie prawa (1983) Labirynt
23. Malwina przegrała milion (1984) Labirynt
24. Zdrajca (1984) Labirynt
25. „Nietoperze" (1985) Labirynt
26. Trzy ciosy sztyletem (1986) Labirynt
27. Sygnały śmierci (1988) Labirynt
28. Za progiem mroku (1988) Labirynt
29. Śmierć za karę (1990) Labirynt
30. Zemsta „Wilka" (1990) Labirynt
31. Wynajęty morderca (pod pseudonimem Stanisław Załęski) (1991) Labirynt
32. Królowa Nocy (2009) Seria z Warszawą
33. „Jak śmierć jest cicha" (2010) Seria z Warszawą
34. „Malwersanci" (2010) Seria z Warszawą

148

149

Książki wydawnictwa „Wielki Sen"

do nabycia na stronie internetowej

www.klubmord.com

Pierwsza seta

„Serią po kryminalach”

czyli Katalog konesera kryminalów z PRL

HB

arm

!?!?i

i

ęSSW

i

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945 do początku lat 90. Staramy się zainteresować Czytelników gatunkiem. Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do tematu: są tu teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy. Jednych interesuje sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło społeczno-obyczajowe, zaglądają do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zмага się bowiem z gatunkiem na swój własny sposób.

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRL-u mieli do tej pory poważny problem z gromadzeniem ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach: Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różowa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żadnego wykazu czy katalogu, grupującego w kompleksowy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje. Nasz katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kiedy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawą Helena Sekuła

„Tęczowy cocktail”

Helena Sekuła

„Kieliszek Bordeaux”

„Tęczowy coctail” ukazał się po raz pierwszy w roku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza. Już w tej debiutanckiej

powieści Heleny Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki. Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowąt-kowość fabuły, nagłe zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

„Kieliszek Bordeaux” może z powodzeniem uchodzić z „Tęczowym cocktailem” za dylogię. Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - „jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji”. Tym razem major Korosz musi odkryć, któż to był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu, niejakiego Igora Ordon - z zajęcia producenta ceramiki, z zamiłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

Helena Sekuła

„Wstęga Kaina”

„Wstęga Kaina” to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawą. Napisana z epickim rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnąca wielkim światem, powieść Heleny Sekuły miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza. Niestety, nie miała szczęścia.

Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990, kiedy seria przestawała istnieć. Dotąd zatem „Wstęga Kaina” jest znana jedynie tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się z pierwodrukiem gazetowym.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Czwarty klucz”

-i

Powieść kryminalna Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Czwarty klucz” nie miała dotąd wydania książkowego. Była publikowana w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1981. Miłośnicy twórczości tego autora na pewno nie będą zawiedzeni. Wielkie emocje i zazdrości kulminują morderstwem przy użyciu sztyletu. Ginie piękna kobieta, a podejrzanych nie brakuje. Brawurowe zwroty akcji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprzeczalne atuty „Czwartego klucza”.

Piotr Kitrasiewicz

„Sherlock Holmes i koledzy”

t'

.. | -.....

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Nieudany urlop majora Downara”

Książka Piotra Kitrasiewicza „Sherlock Holmes i koledzy” jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe, poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa Bonda. Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z Zachodu, ale nie wątpimy, że prędzej czy później napisze monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszowi i innym tuzom rodzimych organów ścigania.

Prawdziwy oficer milicji jest na służbie zawsze. Jeżeli przebywa na urlopie, to też jest na służbie. Może o tym nie wiedzieć, ale rychło się dowie. Tak jest w wypadku majora Stefana Downara, któremu upragniony odpoczynek przerwał trup i to trup kobiety, znaleziony w sopockim pensjonacie, w którym Downar zamieszkał.

Prywatne uciechy muszą poczekać - Downar rzuca się w wir dochodzenia.

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborow-skiego „Nieudany urlop majora Downara” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Łódzkiego” na przełomie 1968 i 1969 roku.

Anna Kłodzińska

„Królowa nocy”

Anna Kłodzińska

„Jak śmierć jest cicha”

lLOHp

II II

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Królowa nocy” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Zachodniego” w roku 1971.

Dyrektor Derbach miał stosowne stanowisko, odpowiednią do niego żonę oraz perspektywę na awans. Do pełni życiowego szczęścia brakowało mu tylko skoku w bok. Gdy nadarzyła się ku temu okazja, poszedł w nią jak w dym. Miał jednak pecha. Rychło po zaznaniu cielesnych uciech dyrektor Derbach dostał propozycję nie do odrzucenia. W zamian uzyskał obietnicę nierozpowszechniania pięknych zdjęć wiadomego rodzaju...

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Jak śmierć jest cicha” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” w roku 1962.

Po Warszawie grasuje tajemniczy morderca. Najpierw śmiertelne strzały padają na Dworcu Warszawa Główna. Potem akcja przenosi się na prawą stronę Wisły. Kolejny trup na stacji Warszawa Wileńska. Z kolei w wykopie na Mokotowie odkryto czyjeś zwłoki. Czy coś łączy te trzy sytuacje? Kapitan Szczęsny, jeden z asów Komendy Stołecznej Milicji, staje przed najtrudniejszym zadaniem w swej karierze...

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Za dużo kobiet”

Jerzy Edigey

„Uparty milicjant”

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Za dużo kobiet” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego” w roku 1986. Co łączy pracownika spółdzielni krawieckiej i estradową szansonistkę, poza nagłą śmiercią? Jakby dwóch trupów było mało, mamy jeszcze aferę szpiegowską oraz narkotykową. Na okrasę zaś cały tłum kobiet zaciemniających milicji drogę do prawdy. Całe szczęście major Stachurski z kontrwywiadu to spec jakich mało. Sprostą każdemu wyzwaniu.

Powieść Jerzego Edigeya „Uparty milicjant” nie miała dotąd książkowego wydania.

Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Głosu Pracy” w roku 1980. Jak wynika z tytułu, ważną cechą dobrego milicjanta jest upór. Czasem śledztwo może ciągnąć się latami. Tak właśnie było w przypadku tajemniczego zaginięcia w Kętrzyńskiem. Mianowicie zawieruszył się pewien mężczyzna po weselu. Milicja nie dała wiary sugestiom, jakoby zaginiony wyjechał w Kieleckie i tam zszedł z pola widzenia organów ścigania. Latami trwa zmowa milczenia w rodzinnej wsi. Milicja jednak na wszystko znajdzie sposób.

Jerzy Edigey

„Czek dla białego gangu”

Helena Sekuła

„Złoty blues”

Warszawska afera cementowa zatacza coraz szersze kręgi. Milicja wyłapała już prawie wszystkich i właśnie wtedy w Alei Szucha zostaje napadnięty pracownik prokuratury. Nieznany sprawca kradnie niezwykle cenny tom akt, do którego dołączony był czek na 80 tys. dolarów - należność za opchnięty na lewo transport szybkoschnącego cementu 404.

Tę piekielnie trudną sprawę dostaje major Stanisław Krzyżewski. Właśnie zakończył w Zambrowie sprawę pewnego kowala. Afera cementowa to sprawa zupełnie innego kalibru. Wygląda na niezły kopniak w górę. Czy major sprosta wyzwaniu?

Wznowienie pierwszej opublikowanej książkowo powieści Jerzego Edigeya - smakowita lektura nie tylko dla wielbicieli kryminałów, ale również dla miłośników Warszawy.

Major Stefan Korosz znowu w akcji. Tym razem as oficerów śledczych Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej musi zmierzyć się z gangiem przemytników i wyjaśnić co się stało z drogocenną kolia oraz kogo i dlaczego pchnięto nożem w portowej knajpie. Oczywiście tam gdzie Korosz, tam i piękna, tajemnicza modelka. Czyżby miała coś wspólnego z kryminalną aferą?

Legendarna powieść Heleny Sekuły „Złoty blues” po raz pierwszy ukazuje się w formie książkowej. Dotąd publikowana była jedynie w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1961.

Jerzy Edigey

„Niech pan zdejmie rękawiczki”

W peryferyjnej dzielnicy Warszawy grasuje morderca. Pierwsza ofiara zostaje znaleziona w wannie, we własnym mieszkaniu. Wkrótce giną kolejne dwie osoby. Nic nie wskazuje na motywy rabunkowe. Milicja rzuca na ten trudny dochodzeniowo odcinek majora Polakiewicza. Wspiera go dzielnicowy Lip-kowski. Czy to wystarczy?

Legendarna powieść Jerzego Edigeya „Niech pan zdejmie rękawiczki” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Dziennika Zachodniego” w roku 1971.

Anna Kłodzińska

Malwersanci”

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej nie miała dotąd książkowego wydania. Tylko wytrawni znawcy kryminałów z PRL mogą znać wersję gazetową „Malwersantów”. Powieść drukowano w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w 1961 roku. Pracownik zakładów garbarskich otrzymuje lukratywną, acz wiodącą ku bezprawiu propozycję: ma przejść z biura na produkcję i pomagać w tajnych machinacjach swoich szefów. Przestępczy proceder nielegalnego handlu skórami wyprowadzanymi z zakładu kwitnie w najlepsze do chwili, kiedy tropem szajki rusza porucznik Kręglewski, podwładny legendarnego „Białego Kapitana”, czyli kapitana Szczęsnego.

Wejdź na www.klubmord.com, zgłoś akces do Klubu MOrd

mm

i kupuj następne książki w Serii z Warszawą po cenie klubowej